

SHARON BRONDOS

PANI DOKTOR Z WYOMING

(Doc Wyoming)

Prolog

Terytorium stanu Wyoming, rok 1889.

Miejsce akcji: typowe Góry Skaliste.

Dramat, który się tu zaraz rozegra, też będzie typowym westernem.

Scena: szeroka równina, ciągnąca się po horyzont na wschodzie, pokryta grubą bawolą trawą, która przez tysiące lat utrzymywała bujne życie prerii. Równina stopniowo podnosi się, tworząc płaskowyż równy jak stół, z ziemią bogatą w minerały, odżywki soczystych traw. Dalej leżą góry, kręgosłup tej ziemi. Wysokie skały strzelają w niebo ostrymi krawędziami i załomami i zbiegają w dół, w rozwidloną dolinę na skraju płaskowyżu. Jej dnem płynie strumień, a pasmo sosnowego i osikowego lasu dzieli ją na dwie części.

Ciężkie, zimne powietrze skotłowało się nad szczytami na zachodzie i wionęło w dół, zapowiadając pierwszą zimową zawieruchę. Wiatr zagwizdał w koronach wyniosłych sosen, poniosł ze sobą ostro-słodki zapach ich wiecznej zieleni, ześlizgnął się zboczami gór, aby zmrozić dolinę.

Płytki strumień, który biegł po skałach u podnóża stromych gór, zdawał się drzeć i mamrotać szybciej, jakby próbował uciec przed nadciągającą burzą. Październikowy przymrozek ozłocił brzozy i starł resztki zieleni z trawy, lecz czyste, błękitne niebo rozciągało się ponad wichrem.

Nadchodził śnieg i ziemia o tym wiedziała.

Wysoko na niebie orzeł wzbijał się w górę gwałtownymi zrywami, od czasu do czasu korygując lot, gdy podmuch wiatru zrodzonego za zachodnim horyzontem przeszywał bezchmurne popołudnie nad doliną. Dwie górskie sójki musnęły powierzchnię wody, wypatrując pstrąga, i odleciały między drzewa. Niespokojna trójka: łania i dwa roczniaki, zbliżyła się do strumienia, napiła się i odeszła między sosny, gdzie mogła znaleźć schronienie na czas złej pogody.

Z wolna, nieznacznie tylko, słońce traciło swój blask, jakby ktoś rozciągał na niebie cienki welon. Z wyjątkiem hałasującego wiatru i strumienia, dolina pogrążyła się w milczeniu. Nie widać było żadnego znaku życia. Nawet orzeł opuścił wiszące nad nią niebo. Zapanował spokój, lecz nie na długo.

Dramat: grzmot zaczął się łagodnym pomrukiem, przypominającym werbel, który zaniepokoiłby trójkę jeleni, gdyby jeszcze znajdowała się na otwartej przestrzeni. W następnej chwili łoskot wstrząsnął doliną jak salwa artyleryjska, zaraz jednak złagodniał i rozsypał się w stukot i plusk kopyt końskich o płytkie dno strumienia.

Dziwiewięciu jeźdźców wtargnęło na scenę. Twarze mieli zdesperowane i złe. Jeden z nich jechał z tyłu, oglądając się przez ramię w obawie przed pościgiem. I jeden prowadził, a jego spojrzenie było spokojniejsze niż innych, wlepione w wysoką skalistą grań nad nimi i w płaskowyż, który znał tak dobrze.

Był wielkim mężczyzną o grubo ciosanych rysach i skórze spalonej przez słońce Zachodu. Oczy miał błękitniejsze niż czyste niebo, a włosy Miedziano-brązowe. Kapelusz z

szerokim rondem osłaniał mu twarz.

Ośmiu jechało za swym przywódcą, coraz dalej od strumienia, między osikami nad potokiem, między skałami u podnóża urwiska. Tam zniknęli. Jeszcze przez kilka minut kląskanie kopyt wspinających się coraz wyżej koni dźwięczało echem w dolinie.

I już nic więcej. Warstwa gleby na płaskowyżu była tak gruba i miękka, że wyciszała uderzenia kopyt.

Huragan w końcu uderzył z wyciem i zmiotł ślady ich przejścia. Nadeszła jedna z tych gwałtownych wichur, z jakimi zmieniają się pory roku, smagając ziemię deszczem, słońcem i śniegiem. Zanim zapadła noc, całą dolinę okryło białe, lodowate prześcieradło zimy.

Panowała cisza. Mijał czas. Tylko na jedną godzinę ludzkie głosy przerwały milczenie. Okrzyki złości i strachu odbijały się echem od wysokich ścian. Potem jeden huczący łoskot przebił krzyki. Przebrzmiał szybko, zbyt krótki na grzmot, zbyt głośny na dźwięk naturalny. Minęło jeszcze trochę czasu. I jeszcze jeden nienaturalny huk. Cichszy, lecz tak samo obcy tej dzikiej ziemi.

I znowu zapadło milczenie.

Dwa dni później ośmiu mężczyzn zjechało z góry, nie oglądając się za siebie. Jeździec, który przyprowadził ich tutaj, pozostał za nimi, pogrzebany w płytkim grobie pod skałami i odrobiną piasku, jaką jego towarzysze zdołali wydrzeć zamarzającej ziemi. Umarł od ran postrzałowych, ostatecznego rezultatu kłótni z kompanami. Nieufność, która była składnikiem trzymającego ich razem spoiwa, jątrzyła cały czas i wzmogła się podczas przymusowego napiętego wyczekiwania, aż w końcu rozerwała delikatną tkankę sojuszu.

Śmierć była rezultatem, lecz nie celem wyprawy. Człowiek niepotrzebnie stracił życie.

Zmarł pod przybranym nazwiskiem.

Później, gdy nadeszła wiosna, został przypadkowo znaleziony i pochowany głęboko w ziemi przez kogoś spoza tej ósemki. Niewinnego, który jednak poczuł strach i winę. Pogrzeb odbył się potajemnie, w przerażeniu, i nadal nikt nie wiedział, kim naprawdę był martwy mężczyzna ani dlaczego jechał z tą zdesperowaną ósemką.

To znaczy, nikt, kto chciałby lub mógłby powiedzieć.

Na razie... i

Seaside, Wyoming, rok 1993.

– No, dalej! Dasz radę! – powiedziała sobie. – Nie zasypiaj! Jeszcze jedna godzina!

Oparła czoło o chłodną kierownicę suburbana i na chwilę zamknęła oczy. Tylko na jedną chwilę...

Bładozłote promienie wschodzącego wyomińskiego słońca rozświetlały ciemność za jej mocno zaciśniętymi powiekami, ale wolała oglądać przez chwilę tylko szarość. Doktor Dixie Sheldon była śmiertelnie zmęczona, jeszcze bardziej niż podczas wyczerpujących dni praktyki i stażu w szpitalu.

Jak zdoła wytrwać tutaj trzy długie lata? Minęły zaledwie trzy tygodnie, dziś jednak wydawały się one długie jak całe życie.

Może dlatego, pomyślała, że nie jest już młodą lekarką, tryskającą dumą, energią i entuzjazmem, lecz zwyczajnie starzeje się? Nadal przepelniał ją entuzjazm, no, przynajmniej przez większość czasu. Uśmiechnęła się i otworzyła oczy.

Znajdowała się w stanie Wyoming, co nie stanowiło ani szczytu jej marzeń, ani też koszmaru. Było rzeczywistością, którą przyprawiała szczyptą wyobraźni. Spojrzała na ulicę i przez sekundę poczuła się, jakby przeniesiona o sto lat, w czasy, gdy Zachód był młody. Z jednej strony była to iluzja. Z drugiej autentyczny świat, jak już to zdążyła odczuć na własnej skórze.

Świt przekształcił główną ulicę Seaside w perłoworóżowy krajobraz ze snu, wyglądający jak sceneria do westernu. Wystarczyło zmrużyć oczy, aby asfalt stał się traktem zrytym końskimi kopytami i kołami wozów, aby betonowe trotuary zmieniły się w drewniane chodniki. Budynek za to pasowały tu doskonale, wiele z nich miało prawie sto lat. Za dziewiętnastowieczną drewniano-kamienną fasadą czekały co prawda na ranek, nowoczesne biura, teraz jednak był tu prawdziwy Dziki Zachód.

Szczególne wrażenie sprawiał budynek sądu i więzienia, przed którym zaparkowała parę minut temu. Różowy piaskowiec nie mógł stłumić nieprzyjemnych skojarzeń, jakie budziły kraty na wąskich oknach i ciężkie, drewniane drzwi. Gdyby widniał na nim napis „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić!”, ponury efekt byłby całkowity.

Dixie otrząsnęła się z marzeń. Zmęczenie osłabiło jej mięśnie. Zastanowił ją ten niezwykle stan bezsilności. Musiał zostać wywołany czymś więcej niż całonocnym czuwaniem przy rodzącej kobiecie. Odebrała już wiele porodów, a ten był stosunkowo łatwy, prawdę mówiąc – drobiazg. Skąd więc to zmęczenie?

Spojrzała na budynek.

Może stąd, że za chwilę będzie miała do czynienia z Halem Blanem.

Z szeryfem Halem Blanem.

Dla przestępców był zmorą w kowbojskich butach. Wielki, szorstki, twardy stróż prawa o włosach ciemnoblonde i przenikliwych, niebieskich oczach. Szeryf z klasycznego westernu...

Człowiek, wyglądający jak rodem z dawnego Dzikiego Zachodu, lecz obdarzony rzeczywistą władzą i wpływami tutaj i teraz.

Tak rzeczywistą władzą i wpływami, że prawie uniemożliwił jej otrzymanie pracy. Według wiadomości, które do niej dotarły, nie miał dobrego wyobrażenia o jej zdolnościach i możliwościach. Sprzeciwiał się jej zatrudnieniu, jeszcze zanim ją zobaczył.

Dixie westchnęła i wzięła w garść siebie i torbę lekarską. Wysiadła z wielkiego wozu. Był tak wysoki, ona zaś tak niska, że musiała zeskoczyć ze stopnia. Trzasnęła drzwiami, wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i ruszyła w stronę więzienia.

Poranne światło z trudem rozjaśniało mrok wnętrza. Wrażenie przebywania w czasie przeszłym spotęgowało się. Ponury, szary pokój przypominał typowe biuro w więzieniu na Starym Zachodzie. Wszystko było jak na planie filmowym, zamarłe w oczekiwaniu na reżysera, który zaraz każe włączyć jupitery i wrzasnie: „Kamera!”. W cieniu przy biurku siedział Hal Blane. Wielki cień w mroku. Przyczajony.

Dixie czekała przez chwilę, ale nikt nie krzyknął, nie odezwał się, nie poruszył. Nie widziała twarzy Blane’a, nie była więc nawet pewna, czy nie śpi. Chrząknęła głośno. Poruszył się. – Dzień dobry, szeryfie! – odezwała się, zmuszając głos, aby brzmiał dziarsko i życzliwie. – Przepraszam, że tak długo pan czekał.

Blane wstał, jak wielka i groźna puma, zbyt szybko i sprawnie jak na kogoś, kto drzemał. Nie spał, odnotowała w pamięci, chciał, aby odezwała się pierwsza.

Przyglądził dłonią gęste włosy. Wyprostował się i poszedł na tył biura. Ani słowa powitania! Miał na sobie regulaminowy, choć wygnieciony i wypchany brązowy mundur. Siedział na tym krześle przez całą noc, pomyślała, i czekał na nią. Odezwał się w końcu, głosem przypominającym stłumiony grzmot.

– Więzień jest tutaj, doktorko! To George Preston, tutejszy rozrabiaka, który czasami pracuje jako pomocnik na farmie, a w sobotnie wieczory pije. W tym tygodniu postanowił przedłużyć picie do niedzieli. Nie został ciężko poszkodowany, ale trochę krwawi. Zrobiliśmy, co można, gdy czekaliśmy na panią. Cieszę się, że w końcu znalazła pani czas dla nas w swym rozkładzie zajęć.

Szeryf odwrócił się plecami do doktor Dixie Sheldon i otworzył kratę, która zamykała przejście do cel.

Gapiąc się na jego szerokie ramiona, szukała najlepszej odpowiedzi.

– Odbierałam poród – powiedziała. – Pański zastępca, Travers, powiedział mi przez telefon, że życiu więźnia nic nie zagraża, więc uznałam, że zapewnienie dziecku właściwego startu jest ważniejsze.

Blane odwrócił się. Smuga porannego światła spoczęła na jego twarzy, wydobyła ją z mroku i dodała zdrowego, pociągającego blasku opalanej skórze. W słońcu jego włosy miały brązowy kolor.

– Czy Betsy Dumont w końcu urodziła dziecko? – zapytał i po raz pierwszy się uśmiechnął. Nagle stał się zupełnie inny.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec.

Ależ to będzie... – Jego uśmiech jeszcze się poszerzył. On sam wydał się jeszcze większy. Ogromniejszy, lecz bardziej przyjazny. – Wspaniale! – dodał i zrobił krok w jej kierunku.

Dixie cofnęła się. Przypomniała sobie. Widziała go już w mieście, odkąd sprowadziła się tu na dobre, ale jej pierwsze spotkanie z szeryfem nastąpiło kilka miesięcy temu, w marcu, podczas przesłuchania, gdy ubiegała się o stanowisko lekarza powiatowego w Seaside. Z tej okazji zmierzyła się z wyłącznie męskim gronem komisarzy powiatu i z ich najważniejszymi współpracownikami, między innymi z Blanem.

Spotkanie nie było przyjemne, ale w końcu zdobyła ich uznanie na tyle, że dostała pracę. Niewątpliwie, przyczyniła się do tego świadomość, że niewielu młodych lekarzy, mężczyzn, a nawet kobiet, chce ugrzęznąć na trzy lata w środku tej głuszy. Seaside leżało na środku pradawnego dna morskiego, a skamieliny trafiały się tu zdecydowanie częściej niż żywi ludzie.

Nie wiedziała, w jakiej kategorii umieścić Hala Blane'a: wśród wykopalisk czy żywych istot. Owszem, wybitnie męskie rysy, budowa i niebieskie oczy sprawiały, że był całkiem pociągającym mężczyzną, z całą pewnością jednak przedpotopowym.

Należał też do nielicznej w mieście grupy mężczyzn stanu wolnego, co ją mało obchodziło, choć inni nie pozostali obojętni wobec tego faktu. Nie minęło wiele czasu, a już doniesiono jej, że jest samotny, że jego rozwód był przed laty paskudną sprawą, że ekszona wyjechała stąd na zawsze, zostawiając jego i chłopca, że z nikim się nie spotyka, przynajmniej tutaj. I że był jednym z dwóch głoszących przeciwko jej kandydaturze ze względu na płeć. Ponieważ był to jedyny zarzut, jaki wysunął, uznała, że nie lubi kobiet z zasady, prawdopodobnie w wyniku nieszczęśliwego małżeństwa. Przynajmniej nie jest zatwardziałym antyfeministą, jeśli tak bardzo troszczy się o panią Dumont.

– Czy wszystko z nią w porządku? – zapytał. Jedną dłoń położył na biodrze, drugą na ścianie. Przytłaczał ją. – To znaczy, czy poród się udał? Dała pani sobie radę?

– Betsy urodziła piątkę dzieci, szeryfie. Prawie mnie nie potrzebowała – odparła Dixie. – A ja zrobiłam, co należało. Gdzie jest mój następny pacjent, pański więzień?

Skrzyżowała ramiona i czekała. Czuła presję jego spojrzenia, ale chciała się z nim zmierzyć. Był to najbliższy kontakt, jaki nawiązała z nim w ciągu tych trzech tygodni praktyki w Seaside. Stwierdziła, że ją niepokoi.

Nie chodziło tylko o jego wielkość w porównaniu z jej wzrostem. Czuła jakąś... negatywną energię. Siłę, która będzie jej się przeciwstawiać. Którą będzie regularnie spotykać. Której nie potrafi przewyciężyć. – Jest tam, doktoro! – machnął dłonią w kierunku celi.

Dixie skinęła głową i przeszła obok niego. Nie było to łatwym zadaniem, zważywszy ciasnotę korytarza i rozmiary tego mężczyzny. Nie przekraczając stu pięćdziesięciu kilku centymetrów w skarpetkach, była przyzwyczajona do tego, że czuje się mała, ale coś w szeryfie sprawiało, iż czuła się również nieważna. Nie przepadała za tym uczuciem. No cóż, tkwiło w niej jednak, nie da się tego ukryć. Dotarł do niej zapach mężczyzny. Nie był nieprzyjemny, choć mocny, niemal wyzywający. Bała się, że przechodząc obok niego odwróci twarz.

Ale nie, minęła go i poszła korytarzem. Pomieszczenia miały obskurny wygląd, ale nie śmierdziały. Musiała przyznać, że szeryf utrzymywał więzienie w porządnym stanie. Pacjent siedział w ostatniej celi. Przypomniała sobie, że nazywa się George Preston.

Zobaczyła leżącą, skuloną postać mężczyzny, zwróconego twarzą do ściany. Zaciśnęła dłoń na zimnej kracie i pociągnęła drzwi. Były zamknięte. Usłyszała brzęk kluczy. Szeryf ponad jej ramieniem włożył klucz do zamka. Poczowała dotknięcie jego ręki... Jego ciepło... Klucz obrócił się, zamek szczerknął. Drzwi otwarły się z tępym zgrzytem.

Ranny nie poruszył się.

– Co mu się stało? – spytała cicho. Weszła do celi. Blane wsunął się za nią.

– To rozrabiaka. Lubi to, nawet jeśli oberwie. Wdał się w walkę na noże z niewłaściwym facetem. Z Indianinem, któremu nie spodobał się jego stosunek do generała Custer a i bitwy pod Little Big Horn. – Przerwał na chwilę. – Nie wsadziłem tego drugiego, ale wiem, gdzie go szukać, jeśli będę musiał. Jeżeli George go nie oskarży, zostawię Toby'ego w spokoju. George sam się o to prosił. Rozwalał bar jeszcze zanim wziął się za Indianina. Jak powiedziałem, nie jest poważnie ranny, ale pokrojony w naprawdę artystyczny wzorek. Założę się, że nie widziała pani dotychczas czegoś takiego.

Podniosła na niego oczy. W jego twarzy nie znalazła ani cienia humoru czy kpiny. Ale przyglądał się jej uważnie. Wiedziała, że jest poddawana próbie.

– Przez rok co sobotę pracowałam w pogotowiu – powiedziała spokojnie. – Nie sądzę, aby coś mnie mogło zaskoczyć.

Blane uniósł brwi wysoko, ale nie odezwał się ani słowem.

Dixie podeszła do pacjenta. Poczowała stęchły, kwaśny zapach potu, alkoholu i krwi. Sobotnia wieczorna popijawa i rozróżba... Zawsze to samo; w śródmieściu Chicago, w Denver, czy Seaside, stan Wyoming. Mężczyźni piją, walczą, i krwawią. Żadna nowość!

Dotknęła ramienia mężczyzny i przemówiła do niego łagodnie. Odwróciła go i obejrzała ranę. Nic szczególnego. Z całą pewnością nic zaskakującego! Miał ranę ciętą od skraju brwi przez policzek i klatkę piersiową. Nie była głęboka. Zwykła, płytka rysa, wymagająca jednak starannego zszycia. Wyjęła instrumenty i rozłożyła je na czystym ręczniku. Więzień otworzył oczy i spojrzał na nią. Jego ordynarne rysy wykrzywił strach, ból i jak można było przewidzieć, zdziwienie.

– Cześć, George! – odezwała się łagodnie, kojąco. Oczy rannego biegały nerwowo. – Opatrzę cię i poczujesz się lepiej – dodała, nakładając czyste, sterylne rękawiczki. Zauważyła, że pacjent rzucił szeryfowi przerażone spojrzenie.

– Nie bój się! – rzekła. – Nie jestem policjantką. Jestem lekarką.

Hal Blane cofnął się, żeby mieć pełny obraz damy przy pracy. Słyszał, co mówili inni, że jest dobra, jeśli chodzi o leczenie zasmarkali i dziecięcych przypadłości, a nawet złamanej kości, jak u Edwardsa, kiedy jeden z oborowych rozwalił sobie rękę. Ale jakim cudem, zastanawiał się, zdoła zreperować ten bałagan, w jaki Toby Daniels przemienił George'a Prestona?! Widok jego gęby, przypominającej układankę o paru brakujących kawałkach, ścinał krew w żyłach. Nawet teraz, po obmyciu jej z krwi i gdy blizna zaschła, twarz George'a wyglądała paskudnie.

Kobieta nie mrugnęła okiem. Hal postanowił przyznać jej za to punkt. On sam poczuł mdłości, gdy wcześniej próbował obmyć rannego z krwi. Cięcie nie było głębokie, ale bieгло od oka do pępka!

– Muszę to lepiej oczyścić. Potem nałożę szwy – powiedziała. Była pochłonięta pacjentem, ale te słowa skierowane były do Hala. George i tak był zbyt pijany, by mówić. – Muszę mu podać antybiotyk i zastrzyk przeciwtężcowy. Nie będzie tym zachwycony – dodała. – Może mi pan pomóc, szeryfie?

– Jasne, że nie będzie zadowolony. Nic nie szkodzi. Od czegoś tu jestem – odparł. Odepchnął się od krat. – Pani mi tylko powie, co robić, doktorko!

Jej wielkie niebieskie oczy zdawały się przeszywać go na wylot.

– Dobrze, zaraz powiem. Proszę podwinąć rękawy, włożyć te rękawiczki i przestać nazywać mnie doktorką – rzekła, akcentując zdecydowanie ostatnie zdanie. Potem odzywała się już tylko w sprawach dotyczących rannego. Hal dotrzymywał jej kroku, pomagając jak pielęgniarka lekarzowi, ale nie miał nic przeciwko temu. Była dobra. Jej ręce poruszały się z wielką wprawą. Przyjemnie byłoby ją obserwować, gdyby nie to, że zszywała ciało, a nie ciuch. George stęknął raz czy drugi, gdy go bardziej zabolalo, ale nie protestował. Doktorka znała swój fach.

Zdecydowanie niechętna postawa Hala zaczęła się zmieniać. Po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzał wiosną i gdy dowiedział się, że dostała pracę w Seaside, uznał, że posiadanie jej jako jedyne go lekarza w promieniu paru setek mil mogło nie być takie złe. Spośród wszystkich, którzy głosowali nad jej kandydaturą, on najczęściej będzie korzystał z jej usług, bo z jego pracą wiąże się największe ryzyko urazów fizycznych. Dotyczyłoby go osobiście, gdyby nie potrafiła dać sobie rady w nagłych wypadkach, mimo całej swej akademii. Co innego zmagać się z krwią i urazami w szpitalu, a co innego funkcjonować w terenie, bez właściwej aparatury i bez drugiego lekarza gotowego pomóc, jeśli coś się nie uda.

Teraz, obserwując ją podczas wspólnej pracy, pomyślał, że może, mimo wszystko, okaże się dobra w swoim fachu. Cela więzienna w niczym nie przypominała najbardziej nawet prymitywnej izby przyjęć, ale ta kobieta dawała sobie radę. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby to miejsce jej odpowiadało. Gdy godzinę później skończyła pracę, George ciągle wyglądał jak Frankenstein, ale był porządnie zafastrygowany i nie marudził, że go coś boli. Na jakiś moment odzyskał pełną świadomość, otrzeźwiony przez czas i ból, lecz najwidoczniej delikatne, dodające otuchy słowa i przyjemny widok doktor Dixie sprawiły, że był cichy i potulny jak baranek.

Hal chyba rozumiał to pełne czei milczenie George'a. Głosował przeciwko niej między innymi ze względu na urodę. Drobna, z trudem sięgająca pięciu stóp wzrostu... Niewielka, owszem, ale zbudowana tak kształtnie, że uciszała każdego mężczyznę na bezcenną chwilę, w której nie mógł oderwać oczu od jej wdzięków. Miała krótkie, ciemne, prawie czarne jedwabiste włosy. Rysy jej twarzy były niemal doskonałe, a niebieskie oczy wydawały się prawie za duże jak na dojrzałą kobietę. Wysokie kości policzkowe nadawały jej figlarny wygląd. Była to twarz kotki, zdecydowanie ładna i pociągająca.

Może nawet zbyt pociągająca. Tak atrakcyjne kobiety nie są stworzone do takiej twardej i

wstrętnej roboty, jak zszywanie alkoholików w mieście o dwóch uliczkach na krzyż. Potrzebowała miasta, a co najmniej wielkiego szpitala, aby błyszczeć; miejsca, w którym przyciągałaby uwagę, jak do tego przywykła, i jak tego pewnie pragnęła. Przez całe życie musiała mieć adoratorów. Była po prostu zbyt ładna na prowincjonalną lekarzkę. Otarł krew z rękawic i pomyślał, jak miękkie i jedwabiste w dotyku muszą być jej włosy. Co za cholerne myśli go napadły?!

– Skończyła pani? – spytał. Wyprostował się i ściągnął rękawiczki.

– Chyba tak... – zawahała się, patrząc na pacjenta. – Czy ma pan kogoś, kto mógłby go doglądać? George na pewno nie będzie potrzebował dalszej pomocy, ale powinnam zostać wezwana natychmiast, jeśli pojawią się jakieś kłopoty.

– Travers jest w biurze – powiedział. – Słyszałem, jak przyszedł, gdy pani kończyła zszywać George'a. – Ujął ją za łokieć i wyprowadził z celi. – Niech mu pani powie, co trzeba.

– Dobrze! – Pozwoliła mu wyprowadzić się na korytarz, ale gdy przystanął, aby zamknąć drzwi, delikatnie uwolniła ramię. Z jego szerokiej piersi wyrwało się głębokie westchnienie. Niczym więcej nie skwitował jej odejścia.

Wrócili do biura nie mówiąc nic więcej. Dixie stała cicho czekając, aż on skończy rozmawiać ze swym zastępcą. Ted Travers był młodym mężczyzną o miłej twarzy, upiękzonej czymś w rodzaju rudawego wąsa. Uznała, że tego ranka Hal Blane wygląda na ojca młodego zastępcy. Długie nocne czuwanie zostawiło na nim ślady. Ciekawe, czy ona wygląda tak samo mizernie? Prawdopodobnie tak.

Lecz nawet tak wykończony był przystojny, jeśli się lubi grubo ciosane, westernowe typy. Ona lubiła. Całe dzieciństwo i młodość spędziła w Laramie, gdzie nie brakowało ani kowbojskich, ani uniwersyteckich typów. Było to świetne miejsce do obserwacji mężczyzn: kobiety zdecydowanie ustępowały im liczebnością. Jako nastolatka poświęciła się uważnemu studiowaniu płci przeciwnej. Czuła wówczas słabość do kowbojów, była jednak pewna, że zdążyła już z tego wyrosnąć. Zbyt wiele razy oddała serce mężczyznom, którzy posiadali wszystkie kwalifikacje, aby ją ekscytować, z wyjątkiem jednej: swoje myśli, jeśli je w ogóle mieli, zachowywali tylko dla siebie. Ona zaś wiedziała, że jakkolwiek stały związek w przyszłości musi być oparty przede wszystkim na równości wkładów intelektualnych.

Ted Travers zwrócił się do niej z prośbą o instrukcje, więc wzięła z biurka arkusz papieru i wypisała na nim listę sygnałów ostrzegawczych, na które należało zwrócić uwagę.

– Proszę poinformować mnie natychmiast, gdyby dostał gorączki – powiedziała. – Ale chyba nic takiego się nie zdarzy. Najbardziej będzie cierpiał z powodu kaca.

– Tak jest! – uśmiechnął się zastępca. – Nasz przyjaciel George urządził niezłe przedstawienie, gdy go zamknęliśmy. Co zatrzymało panią tak długo?

– Betsy Dumont rodziła dziecko – powiedział szeryf. – Doktorka odebrała chłopca.

– Naprawdę? – Znowu uśmiech. – Tag musi być szczęśliwy. Domagał się chłopaka po tych trzech córeczkach. Ciekawe, jak go nazwie?

– Przypuszczam, że da mu imię po dziadku. Kochał go bardzo! Byłem tam, gdy stary umierał. Tag płakał jak dziecko. Dziadek hodował owce aż do... – Szeryf monotonnym głosem przekazywał informacje o przodkach Dumonta.

Wyłączona z rozmowy Dixie odwróciła się. Postanowiła odejść niezauważenie. Dwaj mężczyźni odizolowali się od niej, od obcej. Ruszyła ku drzwiom, czując na karku i ramionach każdą minutę długiej nocy, marząc o pogrążeniu się w śnie. – Hej, doktorco!

Odwróciła się, gotowa zaprotestować przeciw nazywaniu jej w ten sposób, ale w ostatniej chwili uznała, że nie warto robić problemu. Będzie i tak wołał na nią jak chce, kiedy chce, czyjej się to podoba, czy nie.

Takim już jest facetem.

– Śniadanko? – zaproponował. Na jego twarzy widniał jakby cień życzliwości. – Zapraszam!

Potał dłonią szczękę. Dixie usłyszała szelest zarostu.

– Zgoda – odparła. – Czemu nie? – Skoro facet wykazuje coś w rodzaju życzliwości, stara się być miły... – Jestem rzeczywiście głodna – dodała. Jej nastrój poprawiał się. Powoli wracała jej pogoda ducha.

Seaside nie było rozległe, poszli więc pieszo. Większość głównych instytucji znajdowała się w zasięgu głosu. Nawet jej przychodnia mieściła się tuż przy głównej ulicy, tak blisko więzienia, że przyjmując pacjentów i ich rodziny słyszała funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości.

Bar był niemal pusty. Poranne słońce lśniło na wyszorowanym linoleum i blatach z formiki. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy, smażonego bekonu i drożdżowych bułek z cynamonem. Z radia w kuchni sączyła się muzyka country. Głośno brzęczały patelnie i garnki. Dixie wiedziała, że o tej porze, o godzinie siódmej, większość z tych, którzy się tu stołują, została już nakarmiona i poszła do pracy. W Seaside życie budziło się wcześniej.

Usiedli przy stoliku w głębi, z dala od rozgrzanego okna.

Przywitali się z kelnerką, żoną kucharza i współwłaściciela, Ettą Jennings, i złożyli zamówienie, a ona naląła im kawy do kubków z grubej, białej porcelany.

– Chcecie parę słodkich bułeczek? – zapytała Etta wskazując głową w stronę kuchni. – Sal upiekł je rano. – Przenosiła ciężar wiotkiej postaci z jednej nogi na drugą, jak gdyby stanie i wyczekiwanie, aż goście na coś się zdecydują, sprawiało ból jej stopom i plecom.

– Sal piecze je co rano – powiedział Hal zmęczonym głosem.

– Poproszę o jedną – odezwała się Dixie. Zapach cynamonu i drożdży pobudzał jej apetyt. – I grejpfruta.

– A ty, Hal?

Potrząsnął przecząco głową.

– Daj mi tylko to, co zwykle.

Etta plasnęła rękami o szczupłe biodra.

– W ten sposób nigdy nie przytyjesz, panie Blane!

– No i dobrze. – Zasłonił twarz kubkiem. Aby ukryć uśmiech – pomyślała Dixie. Etta odeszła mrucząc coś na temat upartych klientów, którzy nigdy nie spróbują czegoś nowego. Hal rzucił głośno, że za wiele cukru i tłuszczu nie służy nikomu. Lekarka odgadła, że ta scenka należy do codziennego rytuału, jest przyjacielskim przekomarzaniem się starych

znajomych.

Poczuła się jeszcze raz pozostawiona na uboczu i zajęła się kawą, która była gorąca, mocna i pachnąca. Pozwoliła jej uporać się z nastrojem.

– Ach! – westchnęła. – Elikzir przebudzenia! Mogłabym dzięki niemu odpracować swoje godziny przyjęć, zanim padnę na twarz.

Spojrzał na nią sponad krawędzi kubka.

– Sądzi pani, że to dobry pomysł?

– Raz, gdy studiowałam – uśmiechnęła się do niego – byłam na chodzie przez cztery dni i noce bez zmruczenia oka. * Tylko na kofeinie i nerwach.

– Ilu pacjentów wiedziało, że tak się pani ładowała?

– Ani jeden, rzecz jasna! – Przestała się uśmiechać.

– To nie jest dobry sposób.

– Ano, nie jest! – Łyknęła więcej kawy. Poczuła, jak jej szare komórki wracają do życia.

– I jest! Aczkolwiek nie było to doświadczenie, które chciałabym kiedykolwiek powtórzyć, przynajmniej do końca życia będę wiedziała, że potrafię tak pracować w razie potrzeby.

Zmarszczył pytająco brwi.

– Chodzi o to, że walcząc o ludzkie życie mogę wytrzymać więcej niż normalnie. Załóżmy, że w tej chwili, w której uporałam się z Georgem, zdarzyło się jakieś straszne nieszczęście. Takie, które wymagałoby ode mnie wszystkiego, bez względu na zmęczenie. Całą noc pomagałam pani Dumont, potem zszywałam biednego George'a...

Uśmiechnął się i zajrzał do swego kubka.

– Rozumiem, o co pani chodzi. Dobrze wiedzieć, że może pani funkcjonować na doładowaniu, ale...

– Ale co? Spojrzał na nią.

– Czy pani musi to robić?

– Czy muszę być lekarzem? – Pochylając się do przodu, oparła łokcie na stole. – Dlaczego wybrałam zawód, który jest tak wymagający?

Skinął głową. Uśmiech ciągle błąkał się w kącikach jego ust.

– Dlaczego jest pan gliną?

Uśmiech przybladł. Prawdę mówiąc – ulotnił się. Twarz Hala przybrała znów twardy, surowy wyraz.

– To jest robota, którą potrafię robić.

– Tylko tyle?

Zacisnął dłonie wokół kubka.

– Tak... Czasem jest czymś więcej niż robotą.

– No dobrze. – Chciała wyglądać zachęcająco. Miała nadzieję, że on zauważy, iż obchodzi ją to naprawdę. – Niech mi pan opowie o jednym takim konkretnym „czasie”. Niech mi pan opowie o jakimś wydarzeniu, kiedy praca znaczyła dla pana coś więcej.

– Doktorko! – potrząsnął głową. – Jestem zbyt zmęczony, żeby gadać. – Odchylił się do tyłu, gdy Etta stawiała talerze na stole. – Jedzmy, dobrze? – Włożył łyżkę do talerza z parującą owsianką i zajął się jedzeniem.

I tyle.

Dixie, zaskoczona szorstkością, z jaką odpowiedział na to szczere zainteresowanie się jego osobą, zaniknęła się w sobie i jadła w milczeniu. Nie jest wart jej nerwów. Spróbowała zignorować jego obecność i zajęła się słodką bułeczką. On jednak, milcząco, posepnie pochłaniający śniadanie, ciągle błąkał się na marginesie jej świadomości.

– Dobra bułeczka? – zapytała Etta. – Sal chce wiedzieć, jak ci smakuje.

– Powiedz Salowi – Dixie uśmiechnęła się zadowolona z jej obecności – że jadłam już bułeczki z cynamonem w Nowym Jorku i w Chicago, ale nie umywały się do tych. – Wzięła do ust spory kawałek. – Te są najlepsze!

– Powiem mu to – Etta uśmiechnęła się łobuzersko. – Będzie zadowolony. Dobra owsianka? – spojrzała na szeryfa.

– Ehe! – Hal podniósł na nią wzrok. – Powiedz Salowi, że kozuchy są świetne, jak zawsze. Najlepsze, jakie kiedykolwiek łykałem. Nowojorskie kozuchy nie mogą się z nimi równać.

Etta popatrzyła na Dixie. Wymieniły krzywe uśmiechy. Kelnerka wzruszyła ramionami i odeszła.

– Nabijał się pan ze mnie – powiedziała Dixie. – A ja tylko próbowałam być miłą dla Etty.

– Nie nabijałem się z pani. Niech pani nie będzie taka wrażliwa. Ja tylko próbowałem zażartować. Mój błąd: sądziłem, że pani to zrozumie. – Odłożył łyżkę. – Proszę pani, chyba jest pani trochę przeczulona.

Dixie spojrzała mu prosto w oczy.

– Może i jestem przeczulona, ale mam nadzieję, że zawsze będę troszczyła się o uczucia innych ludzi tak samo jak o swoje własne. A co do wrażliwości, to uważam ją za zaletę w moim zawodzie, nie za słabość.

Nie odzywał się przez chwilę.

– To jest słabość, jeśli człowiek za bardzo się przejmuje. To może wykończyć. Jeśli tylko się na to pozwoli.

Wyprostowała się na krześle. Pomyślała o jego słowach i o uprzejmości, łagodności, z jaką je wypowiedział, o zawartym w nich ostrzeżeniu. Czy płynęły one z jego doświadczenia? Czy była to szczelina ukazująca jego prawdziwą osobowość? A jeśli tak, to czy powinna w nią zajrzeć?

– Chyba wiem, o co panu chodzi – powiedziała powoli, starannie dobierając słowa. – I rozumiem, że miała to być życzliwa rada. Ale chcę, żeby pan wiedział, panie Blane, że jej nie przyjmuję. Nie zgadzam się też ze sposobem, w jaki mnie pan i parę innych osób traktuje, odkąd tu przybyłam. I odrzucam pańską sugestię, że jestem za słaba, aby dźwigać to podwójne brzemie odpowiedzialności i wrażliwości.

– Nie o to mi chodziło! Ja...

– Sądzę, że dokładnie to pan miał na myśli. – Otarła palce i położyła serwetkę obok talerza. – Dziękuję za śniadanie. Smakowało mi, chociaż towarzystwo pozostawiało nieco do życzenia. A oto mój udział! – Wyjęła z torebki parę dolarów i położyła je na stole. Wstała. –

Do zobaczenia, szeryfie! Muszę otworzyć klinikę. Czeka na mnie robota. Taka, w której jestem dobra, bez dwóch zdań!

I wyszła.

Hal siedział w milczeniu. Położył obie dłonie na stole. Odetchnął głęboko. Podniósł do ust kubek. Kawa była zimna.

Podeszła Etta i naląła mu świeżej.

– Nieźle, Romeo! – syknęła. – No i co zrobiłeś? Powie – f działaś, że jest za seksowna i za ładna, żeby być lekarzem? i Powiedziałeś, że powinna siedzieć w domu i niańczyć dzieci, (zamiast pomagać przy ich narodzinach? – Jej twarz nie mówiła niczego, ale głos miała surowy. – Ty nie traktuj źle tej doktorki! Wiesz dobrze, że jest nam tu wszystkim potrzebna. Spróbujcie tylko, ty i ci starzy mądrale, przepędzić ją, a będziecie musieli odpowiadać przed nami, babami. Uwważaj! My wszystkie bardzo ją lubimy.

– Nie zrobiłem nic złego, Etta! Dama jest na nogach całą dobę i ze zmęczenia kłuje jak osa. Nie moja wina! I nie przypieprzaj się do mnie! – Pociągnął wielki łyk kawy i oparzył sobie język. Spojrzał na kelnerkę. – Powiedz Salowi, że kozuchy w owsiance były w dodatku zimne – burknął, próbując gburowatością zabić dręczące go uczucia. Etta odeszła zirytowana, jak przed chwilą doktorka. Hal opuścił głowę i zajął do kubka, zastanawiając się nad sobą. Nad kobietami. Nad f życiem w ogóle.

Nie chciał jej przepędzać. Wprost przeciwnie. Obserwując ją przy pracy musiał w końcu przyznać, że mu się podoba. I postanowił zaproponować jej randkę, gdy nadarzy się okazja. To śniadanie miało być uwerturą. Do diabła! Dlaczego nie umie gadać z nią po ludzku?!

2

Dixie przetrzymała ranek na kofeinie i adrenalinie, w końcu jednak dopadło ją wyczerpanie. Wzniosła oczy do nieba w podzięcie za to, że pozostał jej tylko jeden pacjent. Później poprosi Frań, aby kazała ludziom przyjść po południu. Będzie już wtedy wypoczęta. Albo pozwoli Frań zająć się łatwiejszymi przypadkami.

Frań Coble umiała bardzo wiele. Była dyplomowaną pielęgniarką, która na kilka miesięcy przed przybyciem lekarki przerwała emeryturę, aby zapewnić mieszkańcom Seaside jako taką opiekę medyczną. Dixie uśmiechnęła się, gdy starsza kobieta weszła do gabinetu z kartą.

Frań była wysoka, szczupła i siwowłosa. Ścisłe przestrzegała tradycyjnego protokołu. Poza kliniką zwracała się do Dixie po imieniu, tutaj jednak zawsze nazywała ją „panią doktor”. Nie żartowała na temat nikogo i nie plotkowała, będąc pod tym względem absolutnym wyjątkiem w Seaside. Dixie bardzo szybko nauczyła się ufać jej profesjonalnym opiniom i osobistym radom.

– Kto następny? – spytała Dixie i z jękiem rozprostowała ramiona nad głową. – Mam nadzieję, że to nic poważnego. Zaraz zasnę tu, na biurku.

– Nie wiem, czy to poważny przypadek – powiedziała Frań i położyła kartę. – Od kilku miesięcy Hattie narzeka na bóle w piersiach. Wydaje mi się...

– Bóle w piersiach? – Dixie wzięła kartę. – Hattie?

– Tak, pani doktor! – Frań cofnęła się i splótła ręce na wykrochmalonej białej spódnicy. – Pięćdziesiąt osiem lat, po menopauzie, szczupła...

– Czy zrobiła pani EKG? – Dixie wstała zza biurka.

– Kilka razy! – Frań wyglądała na zadowoloną z siebie. – Proszę przeczytać wyniki. Posłałam je do Casper po...

– Aha! Widzę... – Dixie przesunęła palec w dół karty. Przejrzała dołączone wykresy EKG i opinie kardiologa z Casper. – Normalne, normalne, normalne. O co chodzi?

– Jest już w gabinecie, pani doktor. Wszystko pani zrozumie, gdy tylko zacznie pani z nią rozmawiać.

– Nie mam z ciebie żadnej pociechy, Frań! – Dixie żartobliwie pogroziła jej palcem. – Choć raz mogłabyś poplotkować. Domyślam się, że ma to związek z jakąś sytuacją rodzinną, którą powinnam poznać.

– No, właśnie! – Frań skinęła głową. – Ale wydaje mi się, że powinna pani usłyszeć o tym od Hattie.

Zainteresowało ją to. Poczowała, jak trybiki jej mózgu zazębiają się i przeganiają zmęczenie.

– Jak się nazywa? – odwróciła kartę.

– Blane! – powiedziała Frań i umilkła. – Matka szeryfa.

– O!

– Aha!

– Też miałabym bóle w piersiach – zaśmiała się Dixie.

– Zajmijmy się nią.

Dixie zbadała Hattie Blane i poprosiła ją, żeby się ubrała. Gdy pacjentka siadała na wprost lekarki, zdradzała objawy silnego zdenerwowania. Łzy błyszczały w jej oczach. Była szczupła, siwa i blada. Cień kobiety! Kości twarzy sugerowały, że kiedyś mogła się podobać. Teraz była wycieńczona.

– Wiem, wszyscy lekarze mówią, że to sprawa mojego umysłu, doktor Sheldon! – powiedziała. – Ale czuję się okropnie, a w piersiach naprawdę mnie boli.

– Wierzę pani! – rzekła Dixie. – I wiem, że nie wymyśla sobie pani tego bólu. Jednak w sensie organicznym jest pani zdrowa. Przebrałam panią gruntownie i nie znajduję niczego złego. Inne informacje też wskazują, że jest pani zdrowa. Teraz chciałabym zorientować się w pani sytuacji domowej. Może tam znajdziemy odpowiedź.

– Czy to znaczy, że muszę pójść do psychiatry? – Wąskie usta Hattie zacisnęły się mocno. – Że to wszystko rodzi się w mojej głowie? Że jestem wariatką?

– Nie jest pani wariatką, pani Blane! – Dixie usiadła na krześle. Chciała się odprężyć, jeśli w tej sytuacji było to w ogóle możliwe. – Ja też nie. Ale i pani, i moje reakcje na otoczenie przejawiają się w symptomach fizycznych.

– Czy ma pani bóle w piersiach?

– Nie. Ale bardzo dokuczają mi bóle głowy. Muszę się przyznać, że mogłabym wówczas gryźć ścianę.

– Tak samo jak Artie – westchnęła Hattie. – Ma napady tego, co wy nazywacie migreną. Jest wtedy tak chory...

– Napady migreny? Kim jest Artie?

– Moim wnukiem, Arthurem. Mieszka ze mną.

– Rozumiem. Czy prócz Artiego ktoś jeszcze mieszka z panią?

– No więc, ja mieszkam z moim synem. – Hattie zmieniła pozycję na krześle. – To jego dom.

– Aha!

– Ale troszcę się o nich obu. – Podniosła do góry dłonie ukazując długie, zgrabne palce ze śladami pracy i zaawansowanego wieku. – Ciężko pracuję, pani doktor. Ja nie wyleguję się, nie zajmuję tylko miejsca. Nawet kiedy czuję się okropnie, nie zdradzam niczego przed chłopcami.

– Jestem tego pewna, Hattie! – Dixie rozłożyła dokumentację pacjentki na biurku. – Jak pani ocenia swoją sytuację w domu?

– Nie mam zastrzeżeń. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Wszyscy musimy pracować, prawda? Po to przyszedliśmy na świat – westchnęła i podniosła oczy ku górze. – Jasne, bardziej lubiłam pracować, gdy byłam młoda. Kiedy żył mój mąż i mieszkaliśmy na rancho. Wtedy każda robota miała... jakiś cel. – Jeszcze jedno westchnienie. – Jednak nic nie trwa wiecznie, prawda?

– Prawda! – zgodziła się lekarka. – To, co dobre, nie trwa wiecznie. Ani – co ważniejsze – to, co złe. – Patrzyła uważnie na Hattie, czekając na jakąś reakcję. Nie doczekała się. Pani Blane miała twarz równie wymowną, jak jej ponury stróż i prawa. – Hattie, chciałabym, żeby zaplanowała pani wizyty u mnie każdego dnia w tym tygodniu. Posiedzimy i pogadamy.

Hattie Blane była przerażona.

– Ja nie mogę, pani doktor! – Objęła się mocno ramiona – ‘ mi. – Nie stać nas na to, a ja nie mam czasu. – Położyła rękę na piersi. – Poza tym nie rozumiem, jak rozmowy mogłyby zlikwidować ten ból.

Dixie zastukała paznokciami po karcie i zamyśliła się na chwilę.

– Hattie, ile pani piecze? Żeby nakarmić dwóch mężczyzn, musi pani...

– Oczywiście, że piekę! – Hattie wyprostowała się. – Od czterdziestu lat w każdy poniedziałek wypiekam chleb. Nawet kiedy Hal był niemowlęciem, ja...

– W porządku! – Dixie przerwała, aby tylko nie wyobrazić sobie szeryfa w pieluchach. Sama myśl o tym była tak komiczna, że omal nie wybuchnęła śmiechem. – Może więc zrobimy tak, pani Blane... Nie musi pani przychodzić codziennie. Niech pani piecze, jak zwykle, w poniedziałek, a we wtorek rano przyjdzie pani do mnie. Przez godzinę posiedzimy i porozmawiamy. Przyniesie mi pani trochę swoich wypieków zamiast zapłaty.

Twarz Hattie Blane pojaśniała i wydała się młodsza.

– Tak właśnie robiła moja mamusia, kiedy musiała iść z nami do lekarza. Mamusia i tatuś nigdy nie mieli zbędnego centa, no wie pani. Wszystko szło na utrzymanie rancha. Brała nas i pakowała parę rzeczy...

– Towary za usługi. To odwieczna tradycja. – Dixie wstała. – W naszych czasach, gdy mamy państwową służbę zdrowia i ubezpieczenia, większość ludzi nie ma ochoty na te stare praktyki, ale mnie one odpowiadają. Jeśli pani się zgadza...

– Oczywiście! – Hattie wzięła głęboki oddech i przyłożyła rękę do piersi. – Nie wiem, pani doktor, ale... Wydaje mi się, że już czuję się znacznie lepiej.

– To dobrze – uśmiechnęła się lekarka. Jasne, że czuje się lepiej. Przestała się niepokoić o honorarium. – Proszę ustalić z Frań termin naszych regularnych spotkań wtorkowych... – Przerwała, widząc zatroskaną twarz pacjentki. – O co chodzi?

– No bo... – Oczy pani Blane były niespokojne. – Ja nie mogę ustalić stałej godziny. Wszystko zależy od tego, kiedy Hal będzie mnie potrzebował w domu. – Jej dłonie wróciły na piersi. – W jego pracy tak trudno cokolwiek zaplanować...

– Czy powiedziała mu pani o swych kłopotach? Czy chociaż raz poskarżyła się pani przed nim na te bóle?

– Skądże! – Hattie odgarnęła do tyłu pasmo siwych włosów. – Ma dosyć kłopotów z Artim i w robocie, i w ogóle. Nie zawracałam mu głowy swoimi problemami.

– To proszę zawracać mu teraz. – Dixie wzięła receptę i zapisała coś na niej. Oderwała ją z bloczka i podała kobiecie.

– Proszę mu to pokazać. I wnukowi. I każdemu innemu, kto będzie przeszkadzał pani w regularnych wizytach u mnie.

Hattie wzięła kartkę i przeczytała:

„Do wszystkich zainteresowanych:

We wtorki rano pani Hattie Blane jest zobowiązana do godzinnych wizyt lekarskich u dr Dixie Sheldon. Jest to recepta wystawiona w związku z jej chronicznymi bólami w klatce

piersiowej.”

– To zalecenie?. – spojrzała na Dixie.

– Tak jest!

– Ale nie powie pani o tym nikomu innemu? Nie chciałabym, żeby ludzie gadali, że mam... jakąś słabość.

– Ja nikomu nie opowiadam o swoich pacjentach.

– To prawda! – Hattie kiwnęła głową. – Jedyne zastrzeżeniem, jakie ludzie mają do pani, jest to, że nie plotkuje pani tak, jak stary doktor Wycomb. Bo kiedy on zasiadał w sobotę wieczorem w barze Pod Gwiazdami, w niedzielę każdy w mieście wiedział wszystko o dolegliwościach, bólach i grzechach swoich przyjaciół i sąsiadów.

– To nie w moim stylu – Dixie uśmiechnęła się kwaśno.

– Pani jest o całe niebo lepsza, proszę mi wierzyć! – Hattie zrewanżowała się uśmiechem.

– Dziękuję! – Dixie poczuła, jak ciepło ogarnia jej serce. Było jej tym przyjemniej, że parę godzin wcześniej syn Hattie okazał się takim gburem.

Dixie rozmyślała później nad sytuacją, w jaką wplątała się z nową pacjentką. Jeżeli, jak podejrzewała, Hattie Blane cierpi na głęboko zakorzenione bóle o podłożu psychosomatycznym, to musi na dłuższy czas znaleźć się pod specjalną opieką. W pierwszym okresie trzeba ją będzie prowadzić za rękę, zachęcić, aby przyjrzała się swym kłopotom jako części ogólnej sytuacji życiowej i aby sama pokierowała swoim leczeniem. A ona, Dixie, nie uniknie dłuższego poświęcenia się tej terapii: na całe miesiące, może nawet lata.

Czy ma prawo zaczynać coś, czego pewnie nie dokończy? Nie znajdzie teraz odpowiedzi na to pytanie, niemniej nie dawało jej ono spokoju.

Była tak zmęczona, że nie mogła sensownie myśleć. Zrobiła sobie wolne popołudnie. Położyła się na kanapce w salonie i czekała, aż zaśnie. Sen jednak nie nadchodził. Dryfując między marzeniem a jawą, doznawała gonitwy tysięcy myśli.

Domek, który miasto przydzieliło jej w ramach umowy, był przytulny, świeżo wymalowany i wyczyszczony, wręcz wysterylizowany przez tych, którzy ją tu ścignęli. Jednak nie uznawała go za dom, nie czuła się w nim swobodnie, przynajmniej na razie. Meble najwyraźniej pozbierano z różnych strychów i piwnic. Były czyste i wygodne, lecz ich walory dekoracyjne równały się niemal zeru. Doceniała to wszystko, ale czekała na dzień, kiedy ustawi swoje meble we własnym domu.

Jej własny dom... To marzenie musi jeszcze poczekać. Czekanie na spełnienie się marzeń nie sprzyjało zaśnięciu. Zastanowiła się, czy nie pójść do łóżka, ale to nie zgadzało się z jej zasadami: kanapa na drzemkę, łóżko do spania.

Pomyślała też o napisaniu listów. Przymierzała się do tego zadania od paru tygodni. Przyjaciele czekali na wiadomość, gdzie jest i co robi: M. J. w Casper, Reily w Salt Lake. Uśmiechnęła się. Nawet Charlottą, która podprowadziła jej ostatniego chłopca. Facet nie był wart tego, by kruszyć o niego kopie, więc Dixie zrezygnowała z niego wspaniałomyślnie i nie zerwała przyjaźni z Charlottą. Jednak listowna rozmowa z nimi nie pociągała jej szczególnie.

Wstała w końcu i podeszła do półki z surowego drewna, na której stał jej zbiór ksiąg o

ziołach i innych naturalnych metodach leczniczych. Wodząc palcem po ich grzbietach zastanawiała się, która z nich pomoże jej się odprężyć.

Miała wiele książek. Nim zdecydowała się na którąś, zaczęła ziewać, szybko wróciła na kanapę i jeszcze szybciej zasnęła, nie przewróciwszy nawet pierwszej kartki.

Hal Blane spoglądał, jak matka krząta się w kuchni i szykuje obiad. Artie był na górze w swoim pokoju, ale już wiedział, że ma zejść.

– Dobrze się czujesz, mamusi? – zapytał Hal.

– Świetnie! – Zamieszała zawartość parującego garnka.

– Po prostu świetnie.

– Widziałem cię w południe, jak wychodziłaś od doktor Sheldon.

– Tak? – Odcedziła warzywa nad zlewem.

– Byłaś u lekarza?

– A niby po co? – Odwróciła się z powrotem do piecyka.

– Mógłbyś, kochany, położyć masło na stole?

– Mamo! – Hal otworzył lodówkę, wyjął masielniczkę i położył ją na stole obok chleba matczynej roboty. – Czy coś ci dolega?

– Nic podobnego! Zawołaj Artiego, dobrze? Możemy już jeść. – Wytarła ręce w fartuch.

– Mamo! Ja ciebie widziałem. Wychodziłaś od doktor Sheldon. Jestem twoim synem. Powiedz mi prawdę.

– Hal! – Spojrzała mu w twarz. – Trochę dokucza mi niestrawność, więc poszłam się przebadać. Doktor Sheldon po – ! wiedziała, że jestem zdrowa.

– Niestrawność?

Hattie dotknęła ręką piersi.

– To tylko...

– Mamo, czy boli cię w piersiach? – Hal podszedł bliżej i spojrzał badawczo w twarz matki. Nagle dostrzegł, że była wymizerowana i zmęczona. Czyjej skóra nie była też trochę szarawa? Poczul lodowate dotknięcie strachu. Ojciec też tak f poszarzał na krótko przed śmiertelnym atakiem serca.

– Powiedziała, że to nie ma nic wspólnego z sercem. – Hattie spoglądała w bok, unikając jego spojrzenia. – Nie ma co się przejmować.

– Mamo! – Położył ręce na jej ramionach. Zaszokowało go odkrycie, że jest tak chuda i krucha. – Jak mam się nie przejmować?! Nie chcę, żebyś chorowała, czy żeby coś cię bolało.

– No więc byłam u lekarza. – Położyła małą, szczupłą dłoń na jego ramieniu. – I idę znowu. Ona mnie wyleczy.

– Jasne! – Zmarszczył brwi. – Jutro zatelefonuję do tego specjalisty w Salt Lake. Pamiętasz, co powiedział? Że gdyby zobaczył tatusia wcześniej, mógłby...

– Nie pojedę taki kawał do Salt Lake – stwierdziła Hattie. – Nie ma takiej potrzeby, nawet gdybyśmy mogli sobie na to pozwolić. Jestem zadowolona z diagnozy doktor Sheldon. A poza tym, jak dałbyś sobie radę? Pracujesz dwadzieścia cztery godziny na dobę i...

– Mam dobrego zastępcę. I co to znaczy, że nie stać nas na to? Stać nas. Jakoś. Mam

ubezpieczenie na rodzinę, a ty oczywiście jesteś rodziną. Wiesz o tym. Bez względu na koszty...

– Jest już obiad? – Artie Blane wszedł do kuchni. – Pośpiesz się, babciu! Mam sporo roboty dziś wieczór.

Hal odwrócił się i warknął na piętnastolatka:

– Obiad dostaniemy wtedy, kiedy będzie gotowy. Ani minuty wcześniej, słyszysz?! – Zrobił krok ku synowi. – I nie rozkazuj babci!

– Dobrze, tato! – Artie wcale nie przestraszony, ani nie przejęty zwał się na krzesło. Spojrzał na stół, na swoje paznokcie, na sufit. Na zegar na ścianie. – Przepraszam, babciu!

– Możemy już jeść – powiedziała Hattie i spojrzała ostrzegawczo na syna. – Niech to będzie przyjemny obiad.

– Zgoda! – Hal odstawił krzesło. – Ale nie skończyliśmy jeszcze tej rozmowy, mammo! Później...

– Skończyliśmy już. Artie! Nalać ci sosu?

Po obiedzie Hal złamał rodzinną tradycję i zażądał, aby matka zrobiła sobie wolny wieczór i usiadła przed telewizorem, podczas gdy on z Artim posprzątają w kuchni. Hattie protestowała, Artie jęczał, ale szeryf postawił na swoim. Razem z synem w milczeniu myli i wycierali naczynia. Z pokoju słychać było głos telewizora. Hal w końcu przerwał milczenie.

– Babcia była u lekarza. Dlatego chciałem jej dać dziś i. wolne.

– Znowu jest chora? – Artie spojrzał na ojca. Po raz pierwszy tego wieczoru na jego młodej twarzy odmalowało się jakieś uczucie. Hal pomyślał, że choć chłopak jest niedoścignionym mistrzem nieruchomej twarzy, tym razem wygląda na i zatroskanego.

– Tego nie wiem – odpowiedział szczerze Hal. – Ona twierdzi, że nie. Ale w następnym tygodniu znowu idzie do lekarza.

– Gdybym miał powód – uśmiechnął się Artie – też bym poszedł do niej.

– Tak? – Hal odstawił wielką patelnię. – A niby po co?

– Jest ładna, tato! Wiesz o tym. Widziałem, jak na nią patrzyłeś. – Syn uśmiechnął się szerzej. – Jest naprawdę ładna, prawda?

Hal nie mógł oderwać od niego oczu. Kiedy ten chłopiec i stał się... prawie mężczyzną? Gdy patrzył teraz na niego czuł się tak, jakby patrzył w zwierciadło własnej przeszłości. Chłopiec stracił delikatność i jasne włosy, jakie odziedziczył po matce, i powoli stawał się repliką...

Jego samego! Hal odwrócił wzrok.

– Pewnie i ładna – powiedział. – Ale ciekawi mnie, jakim naprawdę jest lekarzem. Tak się boję o babcię, że nie będę ryzykował. – Powoli ogarniał go ponury nastrój. Jakies zdania układały mu się w głowie, ale nie mówił nic. Od słów wypowiedzianych, słów złych – pomyślał przygnębiony – zaczynały się zwykle jego kłopoty z ludźmi, na których mu najbardziej zależało. Zadumał się nad poranną porażką podczas próby nawiązania kontaktu z ładną doktorką. Doskonały przykład!

– Hej! – Ostry głos Artiego wytrącił go z zadumy. – Kogo próbujesz robić w konia? Ty się martwisz? Ty?

– A to co ma znaczyć?!

– Niby skąd ta nagła troska?! – Twarz chłopca była zła, zaczepna. – To ja wiem, że babcia ma złe okresy i że się źle czuje. Ciebie nigdy tu nie ma, więc skąd masz wiedzieć, co się z nią dzieje?!

– O co ci chodzi? Ja...

– Przylapałem ją jednego dnia, jak płakała i trzymała się za serce. Ale ciebie nie było, bo goniłeś facetów, którzy podprowadzili jedną z krów Freda Bensona. Kiedy wróciłeś do domu, próbowałem ci to powiedzieć, ale nie chciałeś mnie słuchać. Normalnie mnie zignorowałeś i poszedłeś na górę do swoich książek. Ciebie to po prostu ani trochę nie obchodzi.

– To nieprawda. Ja...

– To jest prawda! Bardziej się troszczysz o te cholerne książki i stare papierzyska, niż o...

– Hal? Artie? – Hattie weszła do kuchni. – O co chodzi? Czemu tak krzyczycie?

– O nic, mamó! – Hal rzucił Artiemu ostrzegawcze spojrzenie. – Idź do pokoju i odpoczywaj.

– Tak, babciu! – Artie położył rękę na jej ramieniu i poprowadził w stronę pokoju. – Rozmawiamy sobie z ojcem, to wszystko.

– Krzyczeliście!

– Nie wiesz, babciu, jacy my jesteśmy?

– Wiem! – uśmiechnęła się i pocałowała go. I pozwoliła mu zaprowadzić się przed telewizor.

Przez chwilę Hal odczuwał wzruszenie, gdy obserwował troskliwość syna i wprawę, z jaką uspokoił babcie. Dopiero kiedy usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi, zrozumiał, że chłopak wykorzystał okazję do uwolnienia się od obowiązków kuchennych. Rąbnął zaciśniętymi pięściami w krawędź I zlewozmywaka. Gdyby nie zmęczenie i Hattie, która natychmiast zorientowałaby się, że coś złego się dzieje, ruszyłyby za szczeniakiem i pokazałby mu raz na zawsze, kto jest szefem w tym domu!

Lecz czy naprawdę? Może tylko wypędziłby Artiego tak, jak piętnaście lat temu przegonił jego matkę? Chciała, żeby cały czas był miły i wyrozumiały. Ale Hal Blane nie był zrobiony z takiego materiału. Więc uciekła z pierwszym lepszym facetem, jaki się nawinął i okazał odrobinę czułości, której tak pożądała. Hal wiedział, że jest zbyt burkliwy, zamknięty w sobie, mało uczuciowy, ale co mógł na to poradzić?! Nie należy do tych, którzy rozczulają się nad sobą, ale , w tym momencie pragnął ukojenia, jakie przynoszą łzy. O ileż byłoby mu lżej, gdyby mógł się wyryczeć! Gdzie, do diabła, ta błogosławiona ulga?!

Po paru minutach opanował się i wszedł do pokoju. Powiedział matce, że idzie na górę czytać. Zanim odszedł, zapytał ją, czy czegoś nie potrzebuje.

Następnego ranka Dixie siedziała nad pocztą, którą Frań położyła na biurku. Większość listów pochodziła od rozmaitych urzędów państwowych i firm ubezpieczeniowych, które domagały się wypełnienia formularzy, umożliwiających jej przyjmowanie opłat za ubezpieczenie, czy temu podobnych. Na jednej z kopert zobaczyła nadruk Kalifornijskiego Instytutu Medycyny Ogólnej. Gdy brała ją do ręki, stwierdziła, że jej dłonie drżą. Nic

dziwnego! Spełnienie wielu jej marzeń zależało od treści tego listu. Wzięła głęboki oddech i rozerwała papier.

Frań wpadła do pokoju zaniepokojona krzykiem lekarki.

– Co się stało? Usłyszałam, jak pani doktor krzyczy...

– Przeczytaj to, Frań! – Dixie pomachała listem. – Jestem przyjęta! Za trzy lata dostanę miejsce w instytucie medycznym. I coś jeszcze!

Frań przeczytała list i zapytała:

– Chcą, żeby pani zbierała tu dane? – Zmarszczyła brwi i zdjęła okulary. – Jakie dane?

– O medycynie naturalnej. O medycynie ludowej. – Dixie wstała zza biurka i zaczęła chodzić po gabinecie. Wróciła jej energia.

– To miejsce jest znakomite! Z dala od głównych szlaków. Z dala od wielkich nowoczesnych ośrodków medycznych. Przez ponad sto lat ludzie tutaj musieli leczyć się sami. – Zawirowała jak w tańcu. – To naprawdę może być dla mnie najlepsze miejsce na świecie! Frań, mogę tu zacząć. Kto wie, jak daleko stąd zajdę?!

Może, pomyślała, na tej drodze oczekuje mnie Nobel? Któregoś dnia...

Pałace słońce waliło się jej na głowę. Dixie ponuro patrzyła na zepsutego suburbana. Nie obejdzie się bez pomocy drogowej, która zaholuje ją do miasta. Na razie jednak tkwiła w piachu, zagrzebana na środku pustkowia. A Pustkowie, stan Wyoming, jest miejscem, które trzeba traktować naprawdę poważnie!

Był piątek. Cztery dni po wizycie Hattie Blane. Trzy dni po wspaniałym liście z Kalifornii. Po tej cudownej chwili wróciła szara rzeczywistość i całym ciężarem legła na jej ramionach. I oto wraca z odległego ranczo, gdzie troje dzieci zapadło na ospę.

Troje dzieci... Ospa... Uśmiechnęła się kwaśno. Gdy zareagowała na to wezwania, zachowała się bardziej jak wiejski lekarz niż jak uczona noblistka. Zamiast zażądać, aby udręczona matka i ojciec zapakowali całą trójkę i przywieźli do miasta, ona popędziła do chorych.

Dzieci były rozkapryszone i nieprzyjemne, ale wytrzymały swędzenie i przymusowe odcięcie od rówieśników. Dixie zbadała je i zaleciła długie kąpiele w chłodnej wodzie z sodą oczyszczoną lub skrobią, a potem ruszyła polną drogą z powrotem do domu. Dobrze słyszała złowieszcze stukanie w silniku, ale wołała nie przyjmować tego do wiadomości. Do czasu, gdy stukanie ucichło niestety, wraz z silnikiem. Motor zdechł, chrypiąc i kaszłając jak gruźlik w końcowych stadiach choroby. Nie reagował już na nic, bez względu na to, jak bardzo pieściła go lub przeklinała. Całe szczęście, że miała telefon komórkowy, prezent od rodziców, i dodzwoniła się do Frań. Pomoc była już w drodze. Pozostawało jej tylko czekać na jakiegoś rycerza w błyszczącej ciężarówce pomocy drogowej.

Czekanie było jednak palącym zajęciem. Suburban utknął w głębokim, szerokim wąwozie. Wysokie skaliste ściany wznosiły się ku niebu z obu stron, czyniąc z tego miejsca piec hutniczy. Pył wzniesiony na piaszczystej drodze unosił się w powietrzu. Słońce paliło z góry jak reflektor. Temperatura przekraczała czterdzieści stopni. A ona nie miała wody.

Wiedziała przecież o wszystkim. Że nie wolno wyruszać bez wody i bez sprzętu ratowniczego, nawet latem. Wychowała się w tym głównie rolniczym stanie, gdzie osady ludzkie oddalone są od siebie czasami o wiele mil i gdzie – zanim wynaleziono telefon komórkowy – utknięcie w piachu groziło kierowcy śmiercią, a w najlepszym przypadku poważnymi kłopotami. Ale i teraz wszystko mogło się zdarzyć. Telefony nie zawsze działają. Każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, ma też w wozie wszystko, co potrzebne do przetrwania, bez względu na porę roku i długość podróży. Nigdy bowiem nie wiadomo...

Teraz już wiadomo. Zła na siebie usiadła bokiem na fotelu kierowcy i skrzyżowała ramiona. Pociła się. Drzwi z obu stron zostawiła otwarte, na wypadek, gdyby jakiś podmuch powietrza zechciał się nad nią zlitować.

Żaden się nie zlitował. Mijały minuty. Piętnaście. Trzydzieści. Czterdzieści pięć... Stawała się coraz bardziej rozpalona i zła na siebie. I na tego kogoś, kto powinien śpieszyć jej na ratunek. Niewątpliwie, śpieszył się bardzo powoli!

Włączyła radio. Tu, w kanionie odbierało tylko stację country z Cody.

Wyłączyła je. Szkoda baterii.

Przeniosła się na miejsce pasażera. Miała nadzieję, że będzie tam chłodniej. Nie było.

Wyszła i stanęła w cieniu ścian wąwozu. Skały promieniowały żarem, zamieniały zacienioną przestrzeń w otwarty piekarnik, parzyły rozpaloną skórę. Wróciła do auta. Chmura kurzu pojawiła się w oddali. Wargi dziewczyny były suche i zaczynały piec. Przeszukała torbę lekarską, znalazła słoik z wazeliną i posmarowała nią usta. Na chwilę poczuła ulgę. Chmurze pyłu towarzyszył teraz dźwięk motoru. Dixie przysłoniła ręką oczy i wpatrywała się w bezlitosne światło. Ktoś nadjeżdżał.

Nie była to jednak ciężarówka pomocy drogowej.

Zbliżając się do unieruchomionego pojazdu lekarki Hal I wrzucił niższy bieg. Powietrze w kanionie parzyło jak w piekle. Dziewczyna wyglądała na wyczerpaną. Cóż za cholerny pech, że Al Pringle musiał zająć się reperowaniem ciągnika Dana Fostera i nie mógł pośpieszyć tu z pomocą! Oczywiście, szeryf rozumiał, że w tym stanie, którego życie zależało od rolnictwa, traktory były ważniejsze od kobiet, nawet od doktorek, którym najprawdopodobniej skończyła się benzyna. Nie tęsknił za spotkaniem z Dixie Sheldon w tych warunkach. Jednak gdy Frań zatelefonowała z błaganem o ratunek dla szefowej, nie mógł wykręcić się od tego obowiązku. Jest w końcu szeryfem. „Ochroniać i Służyć”. Te słowa były wypisane na drzwiach policyjnych samochodów. Zatrzymał wóz, poczekał, aż kurz trochę opadnie i wysiadł.

– Cześć, szeryfie! – odezwała się. Siedziała tam, z brodą opartą na ramieniu, i obserwowała go. – Dość ciepło, prawda?

– Tak... Chyba tak. – Zobaczył, jak paciorki potu zbiegają po jej twarzy, której zwykle blada skóra była zaczerwieniona od gorąca. Mógł widzieć sporo jej ciała, dziewczyna bowiem miała na sobie luźną sukienkę bez rękawów. Niebieską, z miękkiego materiału. Odpowiednią na tę pogodę, ale niezbyt dostojną jak na lekarza. Bardziej... powiedzmy, kobiecą, niż by się tego spodziewał. Spróbował się uśmiechnąć. Przesunął kapelusz na tył głowy. – Całkiem ciepły dzionek. Podwieźć panią?

Nie poruszyła się. Nie uśmiechnęła.

– Czekam, aż ktoś mnie zaholuje.

Jeszcze jedna strużka potu spłynęła na jej szyję i zniknęła pod sukienką. Materiał pod pachami i piersiami był już ciemny od wilgoci. Hal starał się nie patrzeć na jej kształty uwydatnione przez mokrą tkaninę.

– Nie wiem, jak długo to może potrwać. – Zdjął kapelusz i otarł twarz chusteczką. – Al Pringle ma jedyny w mieście wóz zdolny do holowania, ale właśnie reperuje ciągnik.

– Nie zostawię samochodu.

– Nie może pani tu zostać. Nie w tym upale. Dalej, Dixie! Wóz będzie tu bezpieczny. Nikt mu nic złego nie zrobi.

– Może nie. Ale nie zostawię go. Ludzie nie, ale temperatura może uszkodzić silnik.

Hal wcisnął kapelusz z powrotem na głowę.

– Obejrzyjmy go! – Podeszedł do auta. – Może pani otworzyć maskę?

Wyszła z wozu i stanęła obok.

– Czy pan się zna choć trochę na mechanice samochodowej?

– Co nieco.

– No proszę! – Ujęła się pod boki. – Jak by się pan czuł, gdybym miała pana operować, i pan zapytałby, czy znam się na chirurgii, a ja odpowiedziałabym: co nieco?

– To nie to samo. A pani...

– Wiem, że ten samochód musi wytrzymać przynajmniej trzy lata i nie chcę, żeby dotykał go ktoś, kto niezbyt dokładnie wie, co robi.

– Dzięki za to naplucie mi w oko, doktoro! Nie wiem, czy do pani dotarło, że przywlokłem się tutaj, żeby pani pomóc.

Zrobiła się jeszcze bardziej zła, lecz w następnej sekundzie złagodniała.

– Przepraszam, Hal! To nie pańska wina. Nie miałam racji skacząc panu do oczu. Ja po prostu...

– To upał. Jest pani zdenerwowana. – Znów przesunął kapelusz na tył głowy. – Wszystko rozumiem. – Uświadomił I sobie, że zwróciła się do niego po imieniu. Była mała i zagubiona. Jej bezradność wzruszyła go. Cholernie zapragnął jej pomóc. – Nie ma co przepraszać. Ja panią rozumiem.

– Dzięki.

– No, to niech mi pani wreszcie pozwoli tam zajrzeć. Niczego nie uszkodzę spojrzeniem.

– Zgoda. I tak jest zepsuty. Pewnie nie mógłby pan go jeszcze bardziej uszkodzić. – Powiedziała to bez uśmiechu. Stała ponura i najwyraźniej unieszczęśliwiona perspektywą dopuszczenia go do grzebania we wnętrznościach jej cennego pojazdu.

– Dziękuję za uznanie. – Jeszcze raz stanął z przodu suburbana. – Maską!

Dixie podniosła pokrywę. Pięć minut później silnik zaszumiał. Hal zatrzasnął maskę i wyjął chusteczkę. Wylał rękę. Nie spojrzął na lekarkę.

– Pojadę za panią do miasta – powiedział, wracając do jeepa. – Na wszelki wypadek...

– Hal!

– Tak? – Zwrócił lekko głowę w jej kierunku.

W samą porę, by zobaczyć jej uśmiech, pogodny jak poranne niebo. Skierowany do niego.

– Dziękuję! – powiedziała. – Jest pan wspaniały! Prawdziwy wybawca. Gdybym nie była tak spocona i cuchnąca, pocałowałabym pana, daję słowo! – Potem zaskoczyła go jeszcze raz posyłając mu całusa. Wyglądała przy tym świetnie: młoda, żywa i rozkosznie kobieca.

Zmiana kursu surowej pani doktor Dixie Sheldon o sto osiemdziesiąt stopni! Czy tylko dlatego, że zreperował jej samochód? Czy też znaczyło to coś więcej? Podobała mu się. Zastanawiał się, czy ona czuje to samo. Umiał sobie całą drogę do Seaside rozważając tę kwestię.

Kiedy zatrzymali się przed kliniką, Dixie wysiadła i podeszła do jeepa.

– Ciągle jeszcze hałasuje – powiedziała. Zmarszczka niepokoju widniała między jej brwiami. – Chyba dam go Alowi do przeglądu.

– Dobry pomysł! – Hal kiwnął głową. Pozostał w swoim wozie. Obserwował jej twarz w bocznym lusterku. Na chwilę I ogarnęło go zadowolenie. – Ja tylko przyłączyłem obłuzowany

waż, ale może i inne części wymagają ręki mechanika. Wiem, że jeden z pasków jest wystrzępiony.

– Niezły z pana żartowniś – uśmiechnęła się ciepło. – Jeszcze raz dziękuję. Niech mi pan powie, jak się ma George i Preston. Czy moje szwy utrzymały go w całości, gdy stanął przed sądem?

– George jest już zdrowy. Skacze teraz przez płoty na północnym pastwisku Daltona i chętnie się wspaniała blizną i znajomością z piękną lekarką.

– Nie siedzi? – zmrużyła brwi. – Myślałam...

Szeryf wzruszył ramionami.

– Nikt nie wniósł oskarżenia. Został pocięty, przecierpiał i kaca i spędził tydzień w ciupie. Nie stanowi żadnego problemu dla społeczeństwa. Niech się pani nie boi.

– Muszę przyznać, że zadziwia mnie tutejsza sprawiedliwość – mruknęła. Potem jej myśli pobiegły w innym kierunku. Zmarszczka między brwiami pogłębiła się. – Niedawno zwrócił się pan do mnie po imieniu. Wolę to bardziej niż „doktorko”. Nie będzie ci to przeszkadzało?

– Jasne, Dixie! – pochylił się do przodu, by przerzucić biegi, potem wyprostował się. – Mogę cię o coś zapytać?

Dixie wyczuła, że jego nastrój się zmienił.

– Pytaj. Chodzi o sprawy medyczne?

– Mniej więcej.

– To wejdźmy do środka. W biurze jest klimatyzacja. Odwróciła się i weszła do kliniki. Ruszył za nią. Jego wielkie buty ciężko tłukły w starą, dębową podłogę. Ona stąpała nóżkami w lekkich sandałkach prawie bezszelestnie. Odczuł, że jakoś to oddaje różnicę między nimi: on robi szum, ona nie.

Dixie pomachała ręką do Frań, która siedziała przy kartotekach. Frań z opóźnieniem zareagowała na widok szeryfa, uśmiechnęła się, odpowiedziała na pozdrowienie skinieniem ręki i wróciła do swoich zajęć. Dixie otworzyła gabinet i zaprosiła Halę do środka.

– Przyniosę coś do picia – powiedziała. – Umieram z pragnienia, ty pewnie też. Na co masz ochotę?

– Na nic, dziękuję. – Wszedł, usiadł, zdjął kapelusz, zamknął oczy i wciągnął do płuc chłodne powietrze. – Miło tu – stwierdził. – W więzieniu nie ma klimatyzacji.

Dixie przyglądała mu się przez chwilę.

– Tak czy siak, przyniosę ci wody sodowej. Nie znoszę pić sama.

– Jak sobie życzysz.

Zostawiła go i poszła do holu, myśląc z niechęcią o męskim kodeksie honorowym Starego Zachodu i jego wiernym wyznawcy, Halu Blane. Musiał usychać z pragnienia, bez względu na to, co gadał. Gdy wróciła z zimnymi napojami, wydawało się jej, że drzemie w fotelu.

Uniósł powieki natychmiast, gdy trzasnęła otwierana puszka. Podała mu ją i usiadła z drugiej strony biurka. Przez dłuższą chwilę nie mogła oderwać się od napoju. Tak samo jak Hal, zauważyła z satysfakcją.

– Czym mogę ci służyć?

- Chodzi o moją matkę.
- Hattie? – Dziewczyna oparła się o krzesło. – Co z nią?
- Uważasz... Czy myślisz, że jest chora? – Wyprostował się na krześle. Jego wielkie dłonie zacisnęły się na puszcze.
- Ona twierdzi, że nie, ale...
- Ale?
- Mój chłopak, Artie, który widuje ją częściej niż ja, l sędzi, że coś jej jest...
- Hal! – Odstawiła puszkę na biurko. – Nie ma powodów do alarmu. Uważam, że twoja matka nie jest chora w sensie fizycznym. Nie grozi jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, jeśli to cię niepokoi. Ale wykazuje objawy nerwicy...
- Bóle w piersiach?
- Powiedziała mi...
- Mój ojciec zmarł na serce – odezwał się niskim, cichym głosem. Zmienił pozycję na krześle. – Jeśli ona ma kłopoty tego rodzaju, to chcę wiedzieć. Prosto i jasno. Bez kłamstw.
- Twoja matka ma kłopoty. Ale nie...
- Chcę ją zawieźć do Salt Lake. Do specjalisty.
- To twoje prawo. Jestem tylko lekarzem ogólnym. Wizyta u specjalisty dobrze by jej zrobiła. Nie oczekiwałabym innej odpowiedzi od człowieka, który martwi się o kogoś bliskiego.
- Nie jesteś zła, że chcę ją zawieźć do innego doktora?
- Ja już postawiłam diagnozę, Hal. Opartą na testach i moim badaniu. – Splotła dłonie i położyła je na stole. – Ale przyznaję, że nie jestem geniuszem. I nie sędzę, żebym nim kiedykolwiek została. Jeśli więc chcesz mieć drugą diagnozę, mogę ci dać nazwisko świetnego psychiatry w Salt Lake, który...
- Ja nie biorę jej do specja od czubków! Ona nie jest wariatką. Chcę, żeby ją zbadał kardiolog.
- Już ci mówiłam, że ona nie ma kłopotów z sercem...
- Przez chwilę przyglądała się siedzącemu przed nią mężczyźnie. – Zgoda! Załatwię ci to. Kiedy chcesz jechać?
- Jeśli uparł się, aby samemu dowiedzieć się prawdy, nie może mu tego zabronić. Kto wie, czy Hattie nie potrzebuje kogoś z zewnątrz, kto potwierdzi jej diagnozę. Może ta konsultacja okaże się bardziej skuteczna?
- Może.
- W następnym tygodniu. Ale nie wiem, kiedy mógłbym wystartować, więc nie potrafię teraz ustalić konkretnego terminu.
- Hal! – Lekarka zastukała długopisem w blat biurka. – Musisz zdecydować, co jest dla ciebie najważniejsze. Próbuję ci powiedzieć, że twoja matka nie choruje na serce, ale nie wygląda na to, abyś chciał przyjąć to do wiadomości. Kiedy oferuję pomoc w zaaranżowaniu wizyty u kardiologa, ty zaczynasz marudzić, że nie masz czasu. Ona jest bardzo zajęta. Będziesz musiał przyjąć termin, jaki ci wyznaczy.
- Ona?

– Doktor Lauren Becker jest najlepszym kardiologiem w...
– Chcę, żeby mamę zbadał Tim Reed. To jest lekarz, który powiedział nam, co zabiło tatę. On jest...
– On jest na emeryturze, Hal. Kiedy umarł twój ojciec?
– Byłem w wieku Artiego. – Nie mógł usiedzieć na krześle. Nie mógł spojrzeć jej w oczy. Potarł dłonią kark. – Piętnaście. Miałem piętnaście lat. Tato zmarł dwadzieścia lat temu.
Poczuła smak bólu, zadanego piętnastolatкови.
– Wiele się zmieniło w medycynie od tamtego czasu – powiedziała łagodnie.
– Tak... – Wiercił się znowu. – Więc jeśli Reed jest na emeryturze, to chyba nie mam wyboru. Kiedy możemy dostać się do tej Lauren, czy jak jej tam?
Starając się nie zwracać uwagi na jego ton, położyła rękę na telefonie.
– Zadzwoń do niej od razu i zobaczę, kiedy jest wolna.
– Zrób to. – Zacisnął szczęki. – Dostosuję się do każdego terminu.
Dixie sięgnęła po słuchawkę, ale aparat zaterkotał, zanim i zdążyła ją podnieść.
– Zobaczą najpierw, czego chce Frań – mruknęła. – Wie, że mam z tobą konferencję, więc nie dzwoniłaby w błachej sprawie.
– Pani doktor! – Frań stanęła w drzwiach. – To nagły wypadek. Zdarzył się daleko, w wykopalisku dinozaurów. Podobno dość ciężki. Jest pani potrzebna natychmiast.

Zawiózł ją tam. Nie było innego wyjścia. Musiała się dostać na stanowisko jak najszybciej, a że jej pojazd niedomagał, bez dyskusji usiadła w jeepie na fotelu pasażera i zapięła pasy. Hal włączył syrenę, gdy wyjeżdżali z miasta, potem i światła ostrzegawcze, żeby uzasadnić szybkość prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z jaką pomknęli. Dixie i nie protestowała. Pośpiech był uzasadniony, a on prowadził z wprawą, cały skoncentrowany najeździe.

Wykorzystała ten czas, żeby przyjrzeć mu się i pomyśleć.

Czasami coś w tym człowieku ją pociągało. Idiotyczne! Od pierwszego spotkania udawało mu się regularnie ją denerwować. Oczywiście, zdarzały się chwile, kiedy był miły. Ogólnie jednak Hal Blane nie zrobił na niej korzystnego wrażenia.

Dlaczego więc ta szalona jazda u jego boku sprawiała jej przyjemność?

Może dlatego, pomyślała, że jest tak kompetentny w tym, co robi. Niewielu osobom pozwoliłaby wieść się z taką prędkością.

Może z powodu tego zdecydowanego, emanującego powagą, męskością i pewnością siebie profilu, jaki rysuje się pod krawędzią kowbojskiego kapelusza?

Może stąd brał się jego urok. Pewnie i był zacofanym typem z czasów, kiedy mężczyźni i kobiety harowali w pocie czoła, mieli dzieci, a w końcu padali wyczerpani tym wszystkim, ale przynajmniej byli pewni siebie. Twardy, dominujący mężczyzna...

O Boże! Czyżby to miał być on?! Wyrzała przez okno na zakurzoną, wypaloną, pędzącą do tyłu ziemię, w której odbijała się przeszłość. Już dawno nie była w nikim zakochana. Czyżby reagowała jak dzika kotka odpowiadająca na zew samca?

Śmieszne! Skrzyżowała ramiona na piersiach i patrzyła na wzgórze Wyomingu. Jeśli

potrzebowałyby mężczyzny, co w ogóle nie wchodzi w rachubę, to partnera pod względem intelektualnym. Nie kogoś, kto mógł dominować nad nią tylko fizycznie. Kto, jak Blane, sprawiałby, że uświadamia sobie swą kobiecość i kruchość... Jest zbyt inteligentna, zbyt wyrafinowana, by wpaść w pułapkę tego rodzaju!

Naprawdę?

Jeszcze kilka minut jechali asfaltową szosą, potem Hal skręcił w prawo i zjechał na polną drogę, prowadzącą ku płaskowyżowi i góróm.

– Są tam! – powiedział, wskazując na odległą przełęcz. – Trzymaj się, doktorko!

Trzymała się. Zapomniała o bezsensownych rozważaniach nad stanem swych uczuć i wyteżyła siły, aby utrzymać się w fotelu. Jej zęby dzwoniły, nerki pękały, nie poskarżyła się jednak jednym słowem. Ani na tę drogę. Ani na powrót „doktorki”. Wygoda i godność przestały mieć znaczenie. Ktoś ranny czekał, a ona była uzdrowicielem, nie wojownikiem.

Jechali przez płaską prerię, wzbijając wielką chmurę kurzu, potem zбочem płaskowyżu. Trakt wił się, zawracał, wspinał stromo ku krawędzi po ziemi, która była szara, purpurowa i beżowa z plamami bladozielonej bylicy, szukającej zacienionych miejsc. Hal zmienił biegi. Maszyna zawyła, zanim opornie zaskoczyła. Dixie spojrzała na niego wystraszona, że coś złego dzieje się z jeepem, ale jego twarz nie zdradzała, śladu niepokoju. Żadnych uczuć.

Zwolnił. W chwilę później zobaczyli obozowisko. Dalej f na prawo, za skrajem płaskowyżu, widziała sosny, potem osiki i dno doliny, przecięte małym strumieniem.

– Szukają dinozaurów – poinformował ją. Jego głos zabrzmiał cierpko. – Zwalają się tutaj co roku i grzebią w piachu jak wariaci, dopóki pozwala pogoda i forsa z dotacji.

Skierowali się ku przełęczy.

– Nie lubisz ich? – Dixie trzymała się wszelkich możliwych uchwytów.

– Tego nie powiedziałem. Ale dziwne wydaje mi się to I towarzystwo ze wschodnich uniwersytetów, wspomagane przez wielką forszę, szukające stworów, które żyły, kiedy tu szumiał ocean. Trochę tej energii i pieniędzy mogłoby pójść na miejscowych, którzy są dziś naprawdę w potrzebie.

Pomyślała o przychodni i o braku szpitala w okolicy, o zniszczonym więzieniu, ogólnie mizernym wyglądzie miasta, które Hal Blane nazywał swym domem. Odkryła w nim pulsowanie głębokich uczuć, o które dotychczas go nie podejrzewała, – Chyba cię rozumiem. Ale czy wiedza, jaką zdobywamy przez to kopanie w przeszłości, nie jest czegoś warta?

– Tego nie powiedziałem. Mówię tylko, że to dziwne.

– Zatrzymał jeepa na parę metrów od grupy namiotów. – Inne potrzeby. Inne wartości. Inne pojmowanie tego, co ma prawdziwe znaczenie... A oto i Plac Harvardzki.

Biegli do nich ludzie w brązowych roboczych ubraniach. Nie wyglądali na towarzystwo z Harvardu czy innej ekskluzywnej uczelni z Bluszczowej Ligi. Byli zwyczajni, brudni i zdenerwowani.

– Uważaj! – powiedział cicho.

Dixie spojrzała na niego czujnie. Zawahała się z dłonią na klamce.

– Dlaczego? Potrzebują mnie. Nie boję się.

– Jasne! Ty się nie boisz. – Uśmiechnął się po swojemu, kwaśno, bokiem... – Ale nie

chodziło mi o nich. Uważaj na ich szefa. To zbzikowany typ z Harvardu – wyjaśnił. – Kieruje tym teatrem od lat. Podobno jest grubą rybą na Wschodzie. Nazywa się Oskar Hayden. Profesor doktor Hayden. Nie zapominaj o tym. On nigdy nie zapomina. Wydaje mu się, że jest królem wszechświata. Więc uważaj na siebie.

– Dam sobie radę. Ale dziękuję za ostrzeżenie.

– Doktor Sheldon? – Przywitała ją wysoka, zdenerwowana kobieta o włosach wyblakłych na słońcu i szczupłej figurze bez grama tłuszczu, o skórze wygarbowanej przez upał i słońce. Niepokój wyłobił zmarszczki na jej twarzy i czole.

– Doktor Sheldon? Pani jest miejscowym lekarzem?

Dixie kiwnęła głową.

Kobieta uśmiechnęła się. Ulga pojawiła się w jej błękitnych oczach.

– Jestem Winnie Nash, pełniąca obowiązki dyrektora tego wykopaliska – powiedziała. – To mój pierwszy rok w tym miejscu i nie wiedziałam, gdzie szukać pomocy w nagłym wypadku. Nie ma doktora Haydena, więc zatelefonowałam do i najbliższego miasta. Bóg nam panią zesłał! Dzięki za tak i szybkie przybycie. Mamy rannego studenta w wąwozie. Głaz spadł na niego. Chyba ma zgruchotaną nogę. Nie chciałam go [ruszać, zanim zobaczy go lekarz.

Słowa płynęły z jej ust nieprzerwanym potokiem. Była \ niezmiernie podniecona. Dixie widziała, jak bardzo przejmują ! się tą sytuacją i stanem rannego. Polubiła ją natychmiast. 1

Przywitały się. Ręka pani paleontolog, długa i szeroka, niemal połączyła dłoń Dixie.

– Jestem Dixie Sheldon – przedstawiła się. – Dobrze pani zrobiła, że nie kazała go ruszać. Proszę mnie zaprowadzić do . niego. – Spojrzała na Hala. – Szeryf Blane pomoże nam go s przenieść, gdy będzie trzeba.

Szeryf Blane zrobił coś więcej. Znalazł się u jej boku, jak i tylko zaczęła badać pacjenta, i pomagał tak samo, jak wtedy I w więzieniu, gdy zszywała George'a. Prawie nie myśląc : o tym wydała mu rękawiczki i polecenia, jakby był sanitariuszem albo pielęgniarzką, która szkoliła się przy niej od dawna. Pracował sprawnie, nie zadając pytań, z bezwzględny posłuszeństwem.

Wkrótce pacjent odleciał helikopterem pogotowia ratunkowego do regionalnego centrum medycznego w Casper. Noga rannego mocno ucierpiała, ale życiu nic już nie zagrażało. Największemu niebezpieczeństwu zapobiegła Winnie Nash, udzielając biedakowi pierwszej pomocy. Dixie wezwała śmigłowiec mając nadzieję, że szybka operacja matuje nogę. Winnie, wdzięczna za to, że jej młodociany podopieczny znalazł się w dobrych rękach, wyraźnie zadowolona, że słusznie postąpiła wzywając miejscowego lekarza, poprosiła Dixie, żeby zjadła z nimi obiad.

– Pan też, szeryfie! – zwróciła się do Hala. – Ale jeśli musi pan wracać do miasta, mogę odwieźć panią doktor po posiłku.

Dixie sądziła, że Hal skorzysta z okazji, ale ku jej zdziwieniu, zdecydował się pozostać. Obdarzył ją spokojnym uśmiechem, który poruszył ją bardziej, niż sama chciała do tego się przyznać.

– Myślę, że miasto jeszcze przez jakiś czas potrafi samo zatroszczyć się o siebie –

powiedział przeciągle. – Zawsze mi się tu podoba wieczorem. Zwłaszcza latem, kiedy jest tak ciepło, jak dziś. Nie często teraz tu bywam, więc skorzystam z zaproszenia.

Dobrze się czuła mając go u boku. Odkrywała w osobowości Hala Blane'a warstwy, które ją zaskakiwały, o które go nie podejrzewała i których by nie ujrzała, gdyby odnosili się do siebie tak jak w mieście. Tutaj, jak się zdawało, odłożył na bok swój pancerz.

I ona pewnie też.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Dixie^r całkowicie się odprężyła. W obozie panowała domowa atmosfera, choć leżał on tak daleko od domów. Okazało się, że miała rację: polubiła Winnie Nash.

Była przyjemna w obejściu, dowcipna, bezpośrednia i na swój sposób delikatna. Jej urok objawił się natychmiast, gdy przestała zamartwiać się rannym pracownikiem.

Sympatyczni byli też pozostali mieszkańcy obozu. Uczni paleontolodzy zachowywali się tak samo, jak każda inna grupa koczująca na Zachodzie. Gdy się ściemniło i nastał wieczór, zebrali się wokół wielkiego ogniska w środku obozu, śpiewali piosenki i snuli opowieści. Po obiedzie Winnie przyłączyła się do nich, zapraszając swych gości, ale Hal i Dixie woleli jeszcze trochę pozostać we dwoje. Przed namiotem Winnie zapłonęło ich własne ognisko i rozpoczął się ich własny wieczór śpiewów i opowieści. Zaczęli otwierać się przed sobą.

Dixie, owinięta w wielką bluzę Winnie, chroniącą przed wieczornym chłodem, siedziała na kłodzie drewna obok zwykle małomównego szeryfa. Grzebali kijami w ogniu i rozmawiali jak starzy przyjaciele.

– Kiedy byłem szczeniakiem, tato opowiadał mi, że te gwiazdy na letnim niebie są błyskami słońca na rogach boskiego stada bydła – uśmiechnął się Hal. – A potem spoglądał na mnie sprawdzając, czy kupuję tę historię.

Dixie podciągnęła kolana pod brodę.

– Wierzyłeś w to? – spytała. Naprawdę chciała to wiedzieć. Obraz Hala Blane’a z dzieciństwa nagle ją zafascynował. Szeryf był tak poważnie, tak absolutnie dorosły, że z najwyższym trudem mogła wyobrazić go sobie jako chłopca.

– Nie. Ale udawałem, że wierzę, żeby mu sprawić radość. Zastanowiła się, czy mówi prawdę, czy wymyśla dla niej przyjemną historyjkę.

– Moi starzy należą do bardziej pragmatycznego towarzystwa – wyznała. – Żadnych legend, żadnych bajeczek. Ja pierwsza w klasie wiedziałam, że Święty Mikołaj to przebrany tatuś, a wielkanocny zajaczek to mama.

Myślał o tym przez chwilę.

– A religia? Czy tego też cię pozbawili? – Nie był zbyt zachwycony jej rodzicami.

Dixie wzruszyła ramionami. Jego sprawa, jeśli nie podoba mu się jej historia. Nie miała ochoty się spierać. Chciała zwyczajnie porozmawiać.

– Nie! Nie pozbawili mnie niczego. Ale pozwolili mi podjąć własną decyzję w sprawie Boga.

Nie spytał, do jakiego doszła wniosku.

– Chyba każdy, kto zajmuje się medycyną, kto ciągle podejmuje decyzje na granicy życia i śmierci, prędzej czy później musi uporać się z problemami religijnymi. Ja to mam za sobą.

– Podobnie jest z prawem. Człowiek tak często spotyka się ze śmiercią, że lepiej jest zawczasu uporządkować to sobie. – Zapatrzył się w mrok.

Z profilu, w blasku ogniska wydawał się starszy, smutniejszy, ale i bardziej westernowy...

Bardziej niebezpieczny. I, co ciekawe, interesujący. Prawdę mówiąc, podniecający. Blask płomieni sprawiał, że jego twarz wyglądała jak z brązu. Nawet włosy miały metaliczny połysk. Grubo ciosane rysy przypominały niedokończoną; rzeźbę, zbyt prostą, jak na prawdziwie pięknego mężczyznę, i ale z zarysem sympatycznych kształtów i symetrii. Wyglądał jak...

Na moment pograżyła się w tym zaczarowanym dziewiętnastowiecznym świecie, o którym fantazjowała, gdy siedziała w samochodzie przed więzieniem.

– Czy zastrzeliłeś kogoś? – zapytała. Pytanie wymknęło się jej, nim zdołała się zastanowić. Zawstydziała się, zrozumiawszy o co pyta.

Powoli zwrócił ku niej twarz.

– Pytasz, czy kiedykolwiek kogoś zabiłem? To właśnie chcesz wiedzieć, prawda?

– Przepraszam! – Dixie z trudem przełknęła ślinę. Jej usta nagle wyschły. – Nie wiem, o czym myślałam. To okropne pytanie. Nie powinnam go zadać. Wybacz mi, proszę, moje grubiaństwo!

– Tak... Nic strasznego. Ludzie od czasu do czasu pytają mnie o to. Ale dziwi mnie, że ty to zrobiłaś.

– Muszę ci to wyjaśnić. – Dixie zatoczyła ramieniem szeroki krąg. – To wpływ tego miejsca – powiedziała. – Budzi ono coś dziwnego w mojej wyobraźni. Sprawia, że czuję się, jakbym została przeniesiona w czasy Starego Zachodu. Pojedynki rewolwerowców, kowboje, coś w tym rodzaju. Przez sekundę widziałam ciebie jako szeryfa z tamtych czasów. Nie umiem tego wyjaśnić. Już kiedyś mi się to zdarzyło.

Spojrzał na nią pytająco, bez słów.

– O świecie w poniedziałek – wyjaśniła. – Kiedy przyjechałam zszywać George’a. Byłam zmęczona, wiem. Siedziałam w samochodzie i przez chwilę całe miasto żyło w innym czasie. Chodniki wyglądały, jak zrobione z desek. Zamiast asfaltowej jezdni widziałam ubitą ziemię. A ty... Kiedy zobaczyłam cię w mroku... Wyglądałeś jak ktoś z filmów z Johnem Wayneem czy Clintem Eastwoodem.

– Mów dalej, mała damo! – roześmiał się. – Spraw mi święto.

– W porządku, baw się! – zawtórowała mu. – Ale to zdarzyło mi się już dwukrotnie. A możesz mi wierzyć, nie jestem osobą o wybujałej wyobraźni. Wprost przeciwnie.

– Nie wierzę! Zdaje mi się, że jesteś nadzwyczajną kobietą, doktoro Dixie.

– Dziękuję! Zrobię, co w mojej mocy, żeby cię nie rozczarować.

– Zadrżała i szczerzej otuliła się bluzą.

Hal przysunął się i położył rękę na jej ramionach, dzieląc się z nią swoim ciepłem. Był to gest przyjacielski. Romantyczny, lecz bez erotycznego podłoża.

– Nocą robi się tutaj naprawdę zimno – rzucił. Spojrzał na niebo. – Bez względu na to, jak gorąco jest za dnia.

– Wiem. Pamiętam. W letnie wieczory, gdy byłam dziewczynką, rozwieszałyśmy z przyjaciółkami prześcieradło między drzewami i bawiłyśmy się w obóz dopóki nie zmarzłyśmy i nie musiałyśmy iść do domu.

– Gdzie to było? Myślałem, że jesteś miejskim dzieckiem, – Wychowałam się w Laramie.

To duże miasto w porównaniu z Seaside, ale daleko mu do Nowego Jorku, choćby nie wiem jak natężyć wyobraźnię.

– Laramie... A twoi starzy... ?

– Uczą na uniwersytecie.

– Oho!

Dixie spojrzała z boku na swego towarzysza. W jego głosie zabrzmiał dziwny ton.

– Ojciec jest historykiem – powiedziała. – Mamusia uczy ; angielskiego. Oboje są doktorami. Śmieszyło mnie, gdy nazywano ich doktorami. A teraz ja...

– Tu doktor, tam doktor...

– Co w tym złego, Hal?

– Nic. – Zdjął rękę z jej ramion i odsunął się trochę. – Mówiąc szczerze, jestem zazdrosny.

Brakowało jej tego ciepła.

– Chciałem pójść na studia. – Jego usta wykrzywił dziwny grymas. – Naprawdę chciałem. Ale nie dałem rady, głównie z powodu pieniędzy, a także czasu i okoliczności. Mama była wdową, więc czułem się za nią odpowiedzialny. A potem się ożeniłem. – Przerwał na chwilę. – Zaraz też urodził się Artie. Więc zrobiłem parę kursów w college’u komunalnym, a potem poszedłem do akademii policyjnej w Douglas. Nie mam żadnego tytułu.

Dixie poczuła się niezręcznie. Nie była pewna, co oznaczała ta spowiedź.

– Co ci po tytule, jeśli jesteś tu szeryfem?

Znowu uśmiechną się do niej, tym razem jasno i bez przymusu.

– Nie potrzebowałem go, ale chciałem.

– Szkoda, że nie miałeś tej szansy.

– Szkoda! – Zapatrzył się w ogień. – Ale mój chłopak ją dostanie.

– Artie?

– Tak. – Podniósł kij i pogrzebał nim w popiele. – Matka opowiadała ci o nim, tak?

– Wspomniała.

– To... To dobre dziecko. Trochę teraz trudne do prowadzenia.

– Ile ma lat?

– Piętnaście.

– Jeszcze nie spotkałam nastolatka, który nie sprawiałby kłopotów – zachichotała Dixie. – O sobie już nie mówię. Miałam piętnaście lat, kiedy pierwszy raz zwałam z domu.

Hal wyprostował się gwałtownie i popatrzył na nią.

– Ty? Nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako uciekiniarki.

– Ho ho! Dzisiaj nikt nie podejrzewałby mnie o grzeszki, które popetaiałam. Byłam prawdziwą dzikuską. – Wepchnęła ręce w kieszenie bluzy. – Ale to już przeszłość. Powiedz...

– Kiwnęła głową w stronę głównego ogniska. – Nie posiedzielibyśmy trochę z nimi, zanim ruszymy do miasta?

Hal podniósł się i wyciągnął ku niej rękę.

– Chyba tak. Nie okazaliśmy się zbyt towarzyscy, siedząc tutaj, prawda?

– Prawda! – Schwyciła jego rękę i wstała.

Hal puścił ją dopiero wtedy, gdy znaleźli się w grupie. I wtedy Dixie odczuła, jak bardzo brakuje jej tego dotyku. W porównaniu z jej dłońmi jego łapy były wielkie i szorstkie. Ale trzymał ją tak delikatnie... I czuła się tak bezpiecznie...

Usiedli wśród paleontologów. Okazało się, że szeryf powiatu SeaLake miał tu swoich znajomych.

– Cześć, szeryfie! – zawołał młody człowiek z gitarą kiedy znaleźli się w blasku ogniska. Miał, długie ciemne włosy, ściągnięte z tyłu w koński ogon, i cień kilkudniowego zarostu na opalonej twarzy. – Słyszałem, że to pan dowiózł tu lekarza. Jak leci?

– W porządku, Hastings – powiedział Hal. – A tobie?

– Też świetnie. – Szarpnął struny gitary. Bacznie przyjrzał się Dixie. – Pani jest tą lekarką?

– Tak.

– Niech pani dba o tego zgryźliwego stróża prawa. W zeszłym roku uratował mi życie. – Podkreślił ostatnie zdanie; triumfalnym akordem.

Dixie spojrzała na Hala.

– Grzechotnik – wyjaśnił. – Ukąsił go. Hastings, i wszyscy tutaj, słuchajcie! Od tej pory, jeśli przytrafią się wam kłopoty ze zdrowiem, nie będziecie musieli znosić moich brutalnych łap.

Rozległy się oklaski i pomruk powitania. Jakieś piętnaście osób siedziało wokół ogniska. Dixie zauważyła, że większość z nich była młodsza od niej. Opaleni, szczupli, z długimi lub bardzo krótkimi włosami. Nikt nie miał biżuterii, makijażu czy szykownych ciuchów. Wyglądali na ludzi ciężkiej pracy, którzy lubią to, co robią.

– Mam nadzieję, że nie będziecie mnie potrzebowali, ale jeśli już, to możecie na mnie liczyć przez następne trzy lata.

– Dlaczego pani tutaj wylądowała? – zdziwiła się kobieta o kasztanowych włosach z pasmami rozjaśnionymi przez słońce. – Nie robi pani fortuny praktykując na takim odludziu. Tu po prostu jest za mało ludności.

– W tym właśnie problem! – Dixie usiadła. – Służba zdrowia na prowincji wykorzystuje formę stypendiów fundowanych. Zdobyłam wykształcenie medyczne za pieniądze stanowe. Muszę je odpracować, albo oddać. A to sporo forsy! Łatwiej poświęcić te trzy lata niż spłacać.

– A co chcesz robić potem? – spytała Winnie. – Zostać tutaj, czy odejść?

Dixie przypomniała sobie list.

– Mam propozycję nie do odrzucenia. Czekam na mnie praca w instytucie medycznym w Kalifornii, który specjalizuje się w badaniu i wdrażaniu dorobku medycyny naturalnej i ludowej. Oczywiście, wykorzystując też nowoczesne techniki i metody naukowe. To marzenie!

– Wielka sprawa! – odezwał się Hastings. – Stara mądrość wykorzystana do ożywienia nowoczesnej nauki.

Dixie uśmiechnęła się. Powróciło podniecenie, z jakim otwierała kopertę.

– A ponadto pracując tutaj jestem już związana z nimi umową.

– Jak to? – zapytał Hal. Znowu nałożył kapelusz i jego oczy skryły się w cieniu.

– Mam zbierać dane z tego terenu, opisywać je i przysyłać do instytutu, gdzie zostanie uruchomiony program komputerowy oparty na moich materiałach. Kiedy już tam się znajdę na stałe, będę mogła od razu wziąć się do roboty.

– To świetnie – rzekł Hal po swoim przeciągającym słowa.

– Dla nich! – wtrąciła Winnie. Jej czoło przecięła pionowa zmarszczka. – Jesteś pewna, że cię nie wykorzystują? Dostajesz coś za to?

Potrząsnęła głową. Nie chciała przyjąć sugestii zawartych w słowach nowych przyjaciół.

– To nie ma znaczenia! Proponują mi pracę!

– I tu masz pracę – powiedział Hal. – Ludzie cię tu potrzebują. Kto czeka na nowego lekarza w Kalifornii?

– Może nikt nie czeka. – Na chwilę ogarnął ją smutek. – Ale dla mnie nie ma nic ważniejszego! Marzę o tym od pierwszego roku studiów.

– W takim razie – Hasting potracił struny gitary – powinna pani powalczyć o to. Na imię ma pani Dixie? Cóż za zbieg okoliczności! Taki jest tytuł mojej następnej piosenki.

Towarzyszili mu wszyscy, łącznie z Halem. Dixie wydawało się, że w tym chórze wyróżniał się jego przyjemny głos. Potem Hastings podał mu gitarę.

– Dalej, szeryfie! Pokaż, jak to trzeba robić!

– Na nas już czas! – Hal potrząsnął głową. – Pora wracać do miasta.

– Proszę cię, Hal! – zawołała Dixie. – Nie musimy się śpieszyć. Chciałabym posłuchać, jak grasz.

Wahał się przez chwilę, ale wziął gitarę. Przesunął kapelusz na tył głowy, oparł się o pień drzewa i wziął instrument do rąk. Dixie patrzyła i czekała.

To, co stało się potem, zadziwiło ją i zachwyciło.

Hal Blane nie tylko dobrze śpiewał, ale i grał jak gwiazdor country. Dixie nie знаła się na technice gry na instrumentach strunowych, ale potrafiła rozpoznać talent. Tak, zadumała się, osobowość Hala Blane'a miała znacznie więcej warstw, niż mogła przypuszczać po pierwszych kontaktach.

Zostali jeszcze godzinę, podczas której Hal dał koncert westernowych ballad i kowbojskich piosenek. Inni, wraz z Dixie, towarzyszyli mu, jeśli znali słowa, głównie jednak szeryf grał i śpiewał solo. Miał przyjemny baryton, zbyt chropawy, aby nazwać go doskonałym, ale idealnie zgrany z tą nocą pod gołym niebem i pod gwiazdami.

Dixie była oczarowana.

– A teraz naprawdę muszę wracać – zakończył koncert. – Wiem, że pani doktor jest też zmęczona.

– Owszem – przyznała Dixie, niechętnie wstając od ogniska. – Ale tak mi tu dobrze, że nie chce mi się odjeżdżać.

– Przyjedź kiedyś za dnia – powiedziała Winnie. – Pokop z nami. Dobrze ci zrobi, jeśli pogrzebiesz trochę w przeszłości zamiast w teraźniejszości.

– Pewnie tak. Dziękuję za zaproszenie. Ciekawe, jaką też przeszłość ma ta okolica? – Spojrzała na Hala. Pewnie mógłby udzielić bardzo interesującej odpowiedzi na to pytanie.

Hal głębiej wcisnął kapelusz. Przyjrzał się bacznie nocnemu krajobrazowi, górom nad obozowiskiem, skałom i dolince z potokiem. – Kiedyś było tu ranczo starego Kedricka. Bogata równina. Dobre pastwiska.

Wyszedł z kręgu światła i poszedł w ciemność. Zapanowało milczenie i Dixie wyraźnie usłyszała jego następne słowa:

– W dawnych czasach ta ziemia należała do mojej rodziny– Do Indian? – zapytała.

– Nie. Angielskich piratów. Kedricków. Ze strony matki.

Łotrów spod ciemnej gwiazdy. Przepłynęli siedem mórz a wylądowali na dnie wyschniętego oceanu. Powiat SeaLake...* [SeaLake – w j. ang. dosłownie „morskie jezioro” (przyp. tłum)] – Wpatrywał się w noc. – Zabraliśmy te ziemie Indianom jakieś sto lat temu. – Zaśmiał się, ale jego głos nie zabrzmiał radośnie. – A potem rząd USA zabrał je nam. – Zdjął kapelusz i lekko uderzył nim w nogę, jakby otrzepując go z kurzu. – Sprawiedliwie, prawda? – Odwrócił się i spojrzał na Dixie. – Jedziemy, doktorko!

Dixie pożegnała się. Wyznanie Hala brzmiało tajemniczo i dramatycznie. Niecierpliwie czekała na szczegóły.

Szczegóły mogłyby pomóc jej rozwiązać problemy pacjentki, Hattie Blane. Ułatwiłyby też zrozumienie tego mężczyzny, który stawał się tym bardziej interesujący, im bliżej go poznawała.

Hal nie przyczyniał się jednak do pogłębienia jej wiedzy. Uniemożliwił wszelką rozmowę włączywszy na pełen regulator magnetofon z piosenkami Hanka Williamsa i Jima Reevesa.

Dixie nie sprzeciwiała się. Czuła, że szeryf chce jechać w milczeniu.

Kiedy znaleźli się przed jej domem, wyłączył magnetofon.

– Ja wiem, że doktorzy i szeryfowie nie mają weekendów jak zwykli ludzie – odezwał się nie patrząc na nią – ale jeśli i nie będziesz jutro wieczorem zajęta, to może pojechalibyśmy gdzieś razem na obiad?

– Zgoda! – odparła, trochę zdziwiona, lecz zadowolona. I – Szczerze mówiąc: z wielką przyjemnością.

– Obiecuję, że będę w lepszym nastroju, niż podczas tam tego śniadania. – Zwrócił ku niej rozjaśnioną twarz. – Nie byłem zbyt miły, wiem o tym.

– To prośba o wybaczenie?

– Chyba tak.

– W takim razie z niecierpliwością czekam na jutro. – Przechyliła się ku niemu przez fotel i pocałowała go, krótko, ale prosto w usta. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia i zadowolenia. Uśmiechnęła się. – Dobrej nocy, Hal! I dziękuję ci za uratowanie mnie w południe.

– Cała przyjemność po mojej stronie! – Jego głos był niski i łagodny, prawie jak głęboki pomruk. Jak westchnienie zadowolonego lwa.

Wysiadła, zatrzasnęła drzwi i zapytała przez otwarte okno:

– O której mam być gotowa?

– Hmm... – Zamyślił się. – O piątej! Chcę cię zawieźć kawałek drogi stąd, za Cody, do parku narodowego. – Jego twarz stała się dziwnie nieśmiała. – Jest tam takie miejsce dla

smakoszy. Nie powiedziałbym, że podają tam zdrową żywność, jaką ty pewnie lubisz, ale można tam dobrze zjeść. Naprawdę dobrze. Żebyś miała apetyt! Obiad trwa tam trzy godziny. Minimum!

– Nie żartuj! Jestem zaintrygowana. Powinam się jakoś ubrać?

– Ubierz się, w co chcesz. To przecież Wyoming.

– Jasne! – Klepnęła drzwi pojazdu. – Wszystko się nadaje, od dżinsów do smokingu.

– No właśnie! – Wyglądał na uszczęśliwionego. W blasku bijącym z tablicy rozdzielczej Dixie widziała znacznie młodszego, odprężonego, uśmiechającego się do niej Hala Blane’a.

Położyła się spać z tym obrazem pod powiekami. A chociaż w nocy śnili jej się dawni szeryfowie i przystojni rewolwerowcy, o świcie, gdy się obudziła, pomyślała o prawdziwym człowieku, którego zaczynała poznawać.

Poznawać i – niespodziewanie, jeśli wziąć pod uwagę pierwsze wrażenie – lubić.

Przedpołudnie następnego dnia spędziła w przychodni, chociaż była to sobota, dzień, w którym nie przyjmowali Miała jednak mnóstwo roboty. Czekala na nią cała sterta urzędowych papierów i dwoje pacjentów z drobnymi urazami: dziecko z pęknięciem nadgarstka i nieostrożny kowboj ugryziony przez konia. Potem poszła na lunch do domu. Podczas posiłku zadzwonił telefon.

Dixie z niepokojem podniosła słuchawkę. Mogło to być wezwanie. Tym razem jednak telefonowali rodzice. Już wcześniej podzieliła się z nimi szczęśliwą wiadomością o ofercie z instytutu, nie miała więc nic szczególnego do zakomunikowania.

Spędziła miłe dwadzieścia minut słuchając sprawozdań z ich życia i plotek z uniwersytetu. Ale gdy matka zaczęła wypytywać o jej życie osobiste i dowiedziała się o randce z szeryfem, przyjemna atmosfera zaczęła się ulatniać.

– On nie jest wsiowym szeryfem, mamusiu! – uniosła się, gdy doktor Filomena Sheldon skrytykowała ją za podrywanie stróża prawa. – Oczywiście, jest prowincjonalny. Nawet bardzo! Ale uważam, że jest naprawdę interesujący. Nie jest ograniczony przez swe otoczenie do...

– Och, Dixie! – przerwała matka. – Przecież wiesz, jacy oni wszyscy są. Te supermęskie, kowbojskie typy nigdy nie dorastają. Myślałam, że przerobiłaś to już w szkole średniej.

Bóg jeden wie, ile nachodziłaś się z nimi, i jak często przekonywałaś się, że to, czego chcą, to wcale nie wymiana opinii intelektualnych. A jeśli nie szukają tylko nieskomplikowanego seksu, to chcą żony, która pilnowałaby domowego ogniska, z uśmiechem i bez słowa reagowała na każde ich skinienie. To przecież nie dla ciebie, dziewczyno!

– Mamo, ja...

– Mamusia ma rację, kochanie! – wtrącił ojciec. – Posłuchaj jej. Nie potrzebujesz mężczyzny, który sprowadzi cię do roli...

– Ja wybieram się z nim na obiad. Ja nie wybieram się do ołtarza!

Jej wybuch skwitowało milczenie, a potem westchnienia i próby załagodzenia sporu.

– Jasne! Więc nie ma problemu! – powiedział ojciec.

– Żadnego! – dodała mama. – To z miłości do ciebie reagujemy tak nerwowo, gdy chodzi o twoją przyszłość.

– Wiem, wiem! Wszystko w porządku. Zapomniałam zapytać, jak się czuje ciocia Vi? – Dixie zdołała skierować rozmowę na zdrowie niedomagającej siostry Raymonda Sheldona. Podczas gdy matka roztaczała przed nią panoramę problemów zdrowotnych ciotki Violety, ona myślała o tym, że rodzice rzeczywiście reagują nerwowo na jej sprawy. Jak zawsze.

Jest ich jedynym dzieckiem. Z nią wiązali wszystkie swoje nadzieje. Zrobili dobrą robotę, musiała przyznać. Zadowoleni z własnych karier zawodowych wpoili w nią ambicję i nauczyli, że nic nie jest w stanie przeszkodzić jej w urzeczywistnianiu marzeń.

Nic i nikt. Koniec dyskusji.

Przed odłożeniem słuchawki zapytała ojca:

– Tatusiu! Czy słyszałeś o Kedrickach, którzy tutaj mieli ziemię? Zabrali ją Indianiom Arapaho. A potem stracili.

Ojciec milczał przez chwilę. Był ekspertem w dziedzinie historii stanu Wyoming. Jeśli ktoś mógł wiedzieć coś na ten temat to tylko on.

– Chyba nie pytasz o Roberta Kedricka?

– Nie wiem. Może to chodzi o niego. Co się z nim działo?

– Kiedy pisałem artykuł do książki, którą wydaje nasz wydział, wpadł mi w ręce pewien materiał na jego temat. W roku, w którym Wyoming otrzymał prawa stanu, ten człowiek był przywódcą czy członkiem grupy przestępczej. Nieco ponad sto lat temu. Wiadomo, że zrabowali jakąś przesyłkę złota dla armii. Ministerstwo skarbu pod kierownictwem Williama Windona wypowiedziało tym ludziom bezwzględna wojnę. Windon nie dotrwał do końca polowania, sądzę, że Charlie Foster przejął po nim kontrolę nad sprawą, nastąpił podział kompetencji w administracji, ale w końcu wszystkich złapano, z wyjątkiem oczywiście Kedricka.

– Roberta Kedricka?

– Tak. Nigdy go nie znaleziono. Mówiło się, że po ukryciu złota został zabity przez własnych ludzi. Wściekli się, gdy nie chciał im powiedzieć, gdzie je schował, i zastrzelili go. Skarbu nigdy nie znaleziono. Niektórzy twierdzą, że Kedrick wywiózł go do Ameryki Południowej i roztrwonął. Opuszczając rodzinę, rzecz jasna. Żonę i kilkoro dzieci, jeśli dobrze pamiętam. Jego potomkowie mieszkają w okolicy, gdzie ty...

– Dixie! Czemu się interesujesz tym człowiekiem? – To pytanie zadała matka. – Chyba ten szeryf nie chce namówić t cię do szukania skarbu przestępców?!

– Nie! – Dixie szybko powiązała ze sobą kilka faktów. Rezultat był szokujący. Hal powiedział, że ziemia należała do jego przodków. Nazwał ich piratami. Więc jest on prawdopodobnie krewnym osławionego Roberta Kedricka. Fascynujące!

– Nie, mamó! – zapewniła ją. – Nie martw się. Jeśli będę kopać tego lata, to jedynie z grupą paleontologów z Harvardu. Z kobietą na czele, Winnie Nash. Panią profesor. Chyba się zaprzyjaźnimy. – Nie było sensu zdradzać im, że jej partner z wieczornej randki może mieć w żyłach krew łotrów spod ciemnej gwiazdy.

Zrobiła słusznie. Jej odpowiedź uszczęśliwiła rodziców. Rozmowa przeniosła się na

kwestię ewentualnej przyjaźni z Winnie Nash. Kiedy w końcu odkładała słuchawkę, wiedziała, że zapewniła rodzicom dobre samopoczucie. Przekroczywszy trzydziestkę, niezbyt lubiła być traktowana jako „ukochane dziecko”, ale tak już pewnie pozostanie do końca, choćby nie wiadomo jak długo żyli.

Nic w tym złego, póki nie próbują wpływać na jej decyzje.

Resztę popołudnia spędziła drzemiąc i przygotowując się do randki z Halem. Podczas tych przygotowań nakazała sobie nie zdradzać się ze swą ciekawością wobec powiązań Roberta Kedricka z Halem. Mogłoby to zepsuć przyjemność obcowania z człowiekiem, który najwyraźniej bardzo starał się być życzliwy.

Zawsze jednak rozpierała ją ciekawość. Ona to kierowała wyborem kariery, ona też najstaranniej przygotowane plany potrafiła...

Hal zatrzymał się w korytarzu przed lustrem i skontrolował swój wygląd. Włosy domagają się fryzjera, ale reszta ujdzie. W zwierciadle obok niego pojawił się Artie. Przez chwilę patrzyli na siebie, jedno odbicie na drugie.

– Wybierasz się z Cyn? – zapytał syn z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, lecz z iskrami rozbawienia w oczach.

– Nie! Nie idę z Cynthią – odpowiedział Hal.

– Z doktorką! – Twarz Artiego rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. – Latasz za nią?

Hal opanował się bez trudu. Artie nie mógł go dziś zirytować. Zachowa spokój za wszelką cenę.

– Doktor Sheldon idzie ze mną na obiad, synu! Ja nie latam za nią, ani za żadną inną kobietą.

– Jasne! – Z twarzy Artiego znowu nie można było nic wyczytać. Wepchnął ręce w kieszenie dżinsów. – Bo w tej koszuli to ty nigdy żadnej nie poderwiesz. A już na pewno nie takiej z klasą, jak doktorka Dixie.

– Co to ma znaczyć? – Hal spojrział raz jeszcze w lustro, od razu zepchnięty do defensywy. – Czego chcesz od tej koszuli?

– Po pierwsze: jest stara i kraciasta.

– Więc co z tego?

– Tato! Jeżeli wychodzisz z damą bywałą w wielkim świecie, to włóż przynajmniej fajną, niedzielną koszulę. – Artie okrążył ojca. – I krawat!

Hal uśmiechnął się. Artie przypominał swą babcie.

– Dziękuję, synku! Nie pomyślałem o tym.

– W porządku! Też mi się to zdarza. – Artie był już jedną nogą za progiem. – Do zobaczenia! – zawołał, zanim drzwi się zatrzasnęły.

Hal wrócił do sypialni i przebrał się. Krytycyzm Artiego był dobrym znakiem. Chłopak w końcu zaczyna się interesować czymś poza własnym mrocznym wnętrzem.

Włożył białą koszulę, zawiązał pod szyją elegancką tasiemkę z wielkim turkusem i srebrnymi końcówkami. Jeszcze raz przyczesał włosy. Był gotów.

Jadąc po Dixie gwizdał radośnie. Dobrze, że ją zaprosił. Niepokoila go od samego początku z paru powodów. Zawarcie bliższej znajomości mogłoby rozładować wiele napięć dokuczających im w życiu publicznym i osobistym. Są, koniec końców, skazani na trzy lata współpracy. Więc niech już zostaną przyjaciółmi. Może nawet bardzo dobrymi przyjaciółmi... Oby tylko dopisało mu szczęście i powstrzymał swój niewyparzony jęzor!

Takimi kierował się pobudkami.

Nieprawdaż?

Zazwyczaj, kiedy potrzebował damskiego towarzystwa, umawiał się z którąś z niezamężnych kobiet z okolicy. Z wdowami, rozwódkami czy pannami, jak Cynthia Hydeck z Powell. Były zadowolone z możliwości rozerwania się i nie oczekiwały potem niczego, nawet

jeśli w środku wieczora stosunki przekształcały się z ciepłych w gorące.

Randka z Dixie Sheldon nie będzie inna.

Zaprosił ją pod wpływem impulsu, czystego i prostego. W swych planach na piątek nie przewidywał zwrócenia się do niej z propozycją spotkania.

A jednak zrobił to. I nie żałował. Zaparkował, podszedł do jej drzwi i zadzwonił.

Dixie powitała go uśmiechem, który niemal stopił srebrne końcówki jego krawata. Całe szczęście, że posłuchał Artiego. Gdyby został w starej koszuli, poczułby się zdeklasowany w hańbiącym stopniu. Ona miała na sobie sukienkę! Bardzo ładną! Pierwszy raz w Seaside zobaczył kobietę, która przez dwa kolejne dni chodziła w sukni. Zwykle, jeśli spódniczka już się pojawiała, to tylko w niedzielę lub z okazji bardzo specjalnych wydarzeń towarzyskich. Seaside nie ceniło damskich fatałaszków. Większość kobiet chodziła w dżinsach lub w innego rodzaju spodniach.

Halowi podobały się kobiety w spódniczkach. Kiedy Dixie płynęła alejką, trajkocąc o przedpołudniu w przychodni, o pogodzie, która zrobiła się przyjemna teraz, gdy upał przestał dokuczać, poczuł się oczarowany ponad wszelką miarę. Słuchał jej z zainteresowaniem i przyjemnością. Przebywanie z nią...

Niech to... ! Nie powinien dać się zawojować tak szybko. W ogóle nie powinien dać się zawojować. Mają wesoło spędzić czas i tyle! Nic poważnego!

Wyjechali z miasta na zachód. Rozmowa przygasła, na czołowy plan wysunął się krajobraz. Droga biegła płaską równiną, otoczoną wzgórzami, przechodzącymi w wysokie góry. Jechali jakby przez płaskodenne naczynie o mocno wyszczerbionych ścianach. Słońce stało jeszcze wysoko. Nieliczne budynki i jeszcze mniej liczne drzewa rzucały na ziemię krótkie cienie. Dixie siedziała odprężona i upajała się otwartą przestrzenią.

Jednak po pewnym czasie poczuła rosnące podniecenie.

– Powiedz mi wszystko o lokalu, do którego jedziemy. Frań to bardzo zaimponowało, ale nie znała żadnych szczegółów, bo nigdy w nim nie była. Mówi, że trzeba tam rezerwować miejsce z miesięcznym wyprzedzeniem. Umieram z ciekawości.

Hal spojrział na nią i poczuł słodki dreszcz. Wyglądała niezwykle atrakcyjnie, gdy tak siedziała obok niego w ładnej sukience i z miłym uśmiechem na twarzy. Był zadowolony, cholernie zadowolony, że uległ temu impulsowi i zdecydował się ją zaprosić.

– To trudno opisać. Restaurację prowadzi małżeństwo, któremu nie udało się nowojorska kariera, a więc przeniosło się na Zachód. Diabeł tam mówi dobranoc, ale o knajpce słyszał każdy, kto lubi smacznie zjeść. Są tacy koneserzy, i to z całego świata, którzy rezerwują miejsce kilka miesięcy wcześniej. Dosłownie!

Koneserzy? Dixie zastanowiła się nad tym słowem. Nie należało do słownika szeryfa Hala Blane'a, przynajmniej nie tego, którego znała.

– Jak więc załatwiłeś rezerwację dla nas? Wzruszył ramionami.

– Wyrządziłem im raz przysługę. Są wdzięczni. I lubią mnie chyba.

– Czy było to coś w rodzaju „spraw ważniejszych niż robota” – zaśmiała się – o których nie chciałeś rozmawiać podczas tamtego śniadania?

– Do licha! – nachmurzył się. Zmniejszył prędkość. – Długo żywisz urazę.

Przez chwilę myślała, że ma go z głowy. Kiedy zaczął mówić, zrozumiała, że namyślał się tylko, jak najlepiej opowiedzieć tę historię.

– To było parę lat temu. Ray i Sandy Fawcettowie właśnie się sprowadzili i otworzyli sklep. Nikt tam się nie pętał przez prawie dziesięć lat, więc leśne stwory uznały to za swoją własność.

– Leśne stwory? Jelenie, zające i wiewiórki?

– Właśnie. A także łosie i niedźwiedzie grizzly. Sarenki F czy zające nie stanowiły żadnego problemu, ale inni byli zbyt wielcy i zbyt wygodni, aby pogodzić się z inwazją człowieka. – Zaśmiał się w kułak. – Pracowałem tam w powiatowym biurze do spraw rybołówstwa i polowań. Któregoś dnia wpadli ci Fawcettowie z obłędem w oczach i wrzaskiem, że im się wielki grizzly dobiera do tylnych drzwi. Dwie nowojorskie safandudy! Mógłby człek pomyśleć, że Godzilla jest na ich tropie!

– Mój Boże! I jak im pomogłeś?

– Przede wszystkim odwołując się do zdrowego rozsądku. Biuro też wtrąciło swoje trzy grosze. Nie zostawiaj odpadków. Używaj niedźwiedzioodpornych pojemników na śmieci. Rób wiele hałasu. Trzymaj domowe zwierzaki na uwięzi albo I pod kluczem. Po pewnym czasie stwory pojmą, o co chodzi, i przestaną się zbliżać. Grizzly nie lubi ludzi ani trochę bardziej niż ludzie jego. Wystarczy trochę uwagi i zdrowy rozsądek.

– Brzmi to niezłe, ale nie na tyle, żeby zagwarantować ci stolik na każde żądanie. Musi być coś jeszcze.

– Nie. To już wszystko.

– Daj spokój, Hal! Okłamujesz mnie.

– Przysięgam!

– Hal...

– Zgoda! – Spojrzał na nią. – Ja tylko nie chcę powiedzieć czy zrobić niczego, co zepsułoby ten wieczór. To wszystko.

– A boisz się, że jeśli powiesz całą prawdę, to mnie jakoś zniechęcisz do siebie? Daj spokój! Na pewno widziałam takie numery, o jakich tobie się w ogóle nie śniło. Pracowałam w nagłych wypadkach, pamiętasz?

Milczał.

– Jak mamy zostać przyjaciółmi, jeśli nie chcesz mi zaufać i zdradzić czegoś ze swej mniej chlubnej przeszłości? – Roześmiała się, chcąc utrzymać pogodny nastrój. – Ty mi powiesz swoje sekrety, ja ci opowiem moje.

Wybrał kasetę i wepchnął ją do odtwarzacza. Ronnie Milsap i miłość w Karolinie. Szeryf odchrząknął.

– Któregoś dnia patrolowałem okolice restauracji. Chciałem sprawdzić, czy niedźwiedzie są pod kontrolą. Okazało się, że grizzly przestały sprawiać kłopoty, pojawiła się za to plaga gangów motocyklowych. Przegnały niedźwiedzie i większość innych zwierząt i dokuczały klientom, odwiedzającym restaurację.

– Słyszałam o tych bandach – powiedziała. – Przejeżdżały czasem przez Laramie w drodze do Sturgis na letni spęd.

– Uhm! No więc zrobiłem to i owo, żeby ukrócić te wariactwa w lesie niedaleko Fawcettów.

– Przeciagnałeś drut?

Zdjął nogę z pedału gazu i spojrzał na nią.

– Skąd...

– To klasyczny chwyt. Byłabym rozczarowana, gdybyś o tym nie pomyślał.

– Prawdę mówiąc – uśmiech powrócił mu na twarz – nie musiałem się do niego uciekać.

Dałem im tylko do zrozumienia, że to zrobię.

Dixie próbowała wyobrazić sobie tę scenę.

– Opowiedz!

Znów wzruszył ramionami.

– Co tu opowiadać? Kiedy dojeżdżałem do tego miejsca, słyszałem ich z daleka. Wycie. Ryk motorów. Wyjąłem karabin i podjechałem na szczyt wzgórza, gdzie zobaczyłem tę zgraję rozjeżdżającą ogród.

– Boże!

– Zniszczyli go zupełnie. A Fawcettowie próbowali uprawiać różne zioła do kuchni.

– A gdzie oni byli? Nic im się nie stało?

– Nie! Zamknęli się w domu i próbowali wezwać pomoc. – Skreślił z szosy na drogę prowadzącą w las. – Nie mówiłem ci, że pierwotnie to miejsce było gospodarstwem?

– Nie. I nie zmieniaj tematu. Co się stało z tymi draniami?

– Ach! Doradziłem im, żeby pojechali się bawić do Kalifornii, czy gdziekolwiek indziej, skąd przybyli.

– I posłuchali cię? Grzecznie? Bez sprzeciwu?

– Niezupełnie. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Musiałem przekonać ich przywódcę. Wpakowałem trochę śrutu w jego harleya. Potem już było łatwo. Zwłaszcza gdy im I opowiedziałem, co taki drut przecignięty nocą przez drogę na wysokości szyi potrafi zrobić z motocyklistą. – Zaklaskała z uznaniem.

– Wiesz, że gdybyś sobie sam na to pozwolił, byłbyś znakomitym gawędziarzem? Naprawdę trzymasz człowieka w napięciu.

– Dziękuję. W każdym razie Ray i Sandy nie mają kłopotów ze zwierzęcymi ani z innymi hultajami.

– Jesteś twardy dla łotrów.

– Taka jest moja praca.

– Ale jest w tym coś więcej, prawda? Wydaje mi się, że traktujesz to jako coś bardzo osobistego. Właśnie tak, jak... – Nagle uświadomiła sobie, co chciała powiedzieć.

– Jak co?

– Nic! Widzę po prostu, że podchodzisz do spraw z wielką energią. To wszystko.

– Hm... – Hal nie uwierzył jej, ale nie zadawał więcej pytań.

Omam nie zapytała o Roberta Kedricka. Ciekawość tak ją rozpierała, że pytanie prawie samo znalazło się na języku. No, kiedyś na pewno zapyta i Hal jej odpowie.

Lecz nie teraz. Wszystko w swoim czasie.

Co innego mieli teraz w programie. Przyjaźń, zabawa, dobre jedzenie. Może odrobina romansu. Nic, co wiązałyby się z przeszłością.

Jeszcze przez jakiś czas jechali drogą, potem skręcili na żuźlowy trakt. Hal odchrząknął.

– To miłe, co powiedziałaś o moim gawędziarstwie. Lubił opowiadać niestworzone historie, ale wolę prawdziwe.

– Pewnie znasz ich wiele – powiedziała zachęcająco. – Szeryf nie nudzi się nigdy.

– Czasem tak, czasem nie.

– Opowiedz mi coś jeszcze.

Nie odezwał się od razu. Zjechał na pobocze i zatrzymał jeepa. Milczeli.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – Dixie odpięła pas. – Coś złego?

– Tak! – Zwrócił się do niej twarzą. – Co ty, do diabła, chcesz o mnie wiedzieć, Dixie?

– Ja...

– No dalej! Dziobiesz mnie jak stary sęp. „Chcę wiedzieć to. Chcę wiedzieć tamto”... O co naprawdę ci chodzi? Tylko bez kłamstw! Dobrze się znam na łgarstwach. Poznam się i na twoich.

– Jak?

– Poznam się i już. Dalej, wyrzucaj to z siebie!

Dixie popatrzyła na niego. Nie był zły, nie groził, nie używał żadnych innych supermęskich chwytów mających wymusić z niej zeznanie. Pytał, bo szczerze chciał wiedzieć. Nic innego nie zmusiłoby jej do otwartości.

– Co cię łączy z Robertem Kedrickiem, tym przestępcą?

– Jak, u licha, na to wpadłaś?!

– Zapytałam tatę, kim był Kedrick i czym się zasłużył. Mówiłam ci chyba, że ojciec jest historykiem, więc kiedy po południu rodzice zatelefonowali do mnie, wspomniałam o Kedricku. Byłam ciekawa po tym, co wczoraj wieczorem powiedziałeś o rodzinnych ziemiach. Tatusz przypomniał sobie parę szczegółów o złocie zrabowanym armii amerykańskiej i o Robercie Kedricku. A teraz ja ciebie pytam: co masz z nim wspólnego?

Twarz Hala przybrała kolor ceglastej czerwieni, potem trochę przybladła.

– Zaskakujesz mnie ciągle, doktoro – powiedział łagodnym głosem. – Bez przerwy. – Zapiął pas i włączył silnik. i – Od dawna, od bardzo dawna nikt mnie tak nie zaskoczył.

– Ruszyli.

– Poczekaj! Nie odpowiesz mi?

Nie spojrzał na nią. Powoli prowadził samochód.

– Robert Kedrick... – powiedział głosem pełnym zadumy, niemal melodyjnym. – Robert Kedrick był moim pradziadkiem.

– Pradziadkiem?!

– Tak jest. Ale nie on zapoczątkował linię przestępców. Pochodzę, doktoro, z rodziny szelm, łotrów, koniokradów, jednym słowem – kryminalistów. Nawet uczciwość mojego ojca była kwestionowana przez jakiś czas przed jego śmiercią. Ja jestem pierwszy w rodzinie, który stanął po stronie prawa.

– Brzmi to jak ballada.

– Mogłaby z tego być ballada. – Spojrzał na nią. – Zadowolona?

– Niezupełnie. Ale doceniam, że mi to powiedziałeś. Przepraszam, jeśli nadepnęłam ci na odcisk.

– Nie ma sprawy! – Przyśpieszył nieco i wkrótce znaleźli się na polanie, gdzie stało kilka domostw zbudowanych z wielkich drewnianych bali. – Jesteśmy. Mam nadzieję, że zgłodniałaś.

Dixie rozejrzała się. Cztery samochody stały na rozjeżdżonym parkingu.

– Tutaj?

– Tak jest!

– Żartujesz!

– Nie! – Błysnął ku niej uśmiechem. – Zaufaj mi!

– Czyżbyś przed chwilą nie wyznał, że wszyscy twoi przodkowie byli szelmami i hultajami? A ja mam ci ufać?

– Ale dodałem, że ja jestem po stronie aniołów, prawda? Dixie przypatrywała mu się przez chwilę.

– Czy pan wie, panie Blane, że gdybym nie miała tak wiele zdrowego rozsądku, to mogłabym pana polubić?

Uśmiechnął się szerzej.

– Niech i tak będzie. Idziemy ucztować.

W samej rzeczy była to uczta. Fawcettowie okazali się kucharzami zakochanymi w swej pracy. W miłym towarzystwie czterech innych par Hal i Dixie delektowali się jedzeniem, nie tyle królewskim, co wprost cesarskim. Od pierwszych drinków i przystawek po kawę, desery i koniak, obiad był niezwykle przeżyciem. Składał się z siedmiu dań i trwał – jak zapowiedział Hal – trzy godziny.

Dixie najbardziej podobało się to, że między daniami mogła wstać od stołu i pospacerować po okolicy. I właśnie podczas tych przerw dokonała wraz z Halem największego postępu we wzajemnym poznawaniu.

Hal został ciepło przyjęty przez Raya i Sandy Fawcettów, parę żywcem przeniesioną z baśni: on niezwykle szczupły, ona bardzo tęga. Nie przedstawili go innym gościom jako szeryfa, nie wspomnieli, dlaczego cieszy się ich względami. Hal z kolei przedstawił Dixie jako swoją przyjaciółkę, nie jako doktor Sheldon. Uznano ich za parę mieszkającą w pobliżu i nie pytano o profesje. Dixie zastanawiała się, dlaczego [ich zawody musiały pozostać tajemnicą.

Podczas pierwszej przerwy Hal zaproponował spacer w świetle księżyca. Poszli przez porośniętą trawą podwórze w kierunku opuszczonej zagrody.

– Dlaczego nie mówisz, co robimy? Kim my tu jesteśmy? Gdy odchodzili od reszty towarzystwa, Hal objął ją ramieniem. Większość gości pozostała przed frontową werandą restauracji, kilku stanęło z tyłu pałac papierosy. Byli więc sami, nikt ich nie widział. Delikatnie ścisnął jej ramiona.

– Wyobrażasz sobie większą katastrofę niż świadomość tego, że w taki wieczór zasiadłaś do stołu razem z gliną i łapiduchem?

– Mów za siebie! Ja nie jestem katastrofą.

– Nie zauważyłem nikogo, kto nie pije, bo będzie musiał usiąść za kierownicą – ciągnął, jakby nie słyszał jej słów. – A nie wszyscy planują zostać tu na noc. Z drugiej strony wiem, że tempo podawania obiadu jest takie, iż pozwala na czas wytrzeźwieć.

– Akurat możesz tak powiedzieć!

– Mogę. Więc nie chcę nikogo krępować. Ludzie płacą wielkie pieniądze, żeby tu się odprężyć. Nie mam ochoty im przeszkadzać.

– Ani ja. Ale lekarza nie można uznać za psa łańcuchowego, jakim ty jesteś.

– Może i nie. Lecz to, co pożeramy, trudno zaliczyć do zdrowej żywności.

– Bardzo trudno! Choć jeśli nie jesz tego na co dzień, masz prawo do takiej rozpusty.

– Ale przyznaj, nie wstydz się! Ledwo trzymasz język za zębami, gdy ten tłusciuch rzuca się na nowe żarcie. – Przytulił ją znowu.

– Nie jest moim pacjentem. Nie pytał mnie o radę. Jeśli ma ochotę żyć w ten sposób, proszę bardzo! Jego prawo!

Doszli do ogrodzenia. Hał zdjął rękę z jej ramion i oparł się o płot.

– Chcesz znać moje zdanie? – zapytał. – Uważam, że jesteś świetną babką.

Brzmienie jego głosu i zachowanie uległo zmianie. Stało się łagodniejsze. Bardziej... uwodzicielskie. Dixie spojrzała na niego kątem oka.

– Czyżby to było preludium do pocałunku? – Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

I nagle ożyły w niej wszystkie namiętności, o których nit mai zapomniała, które zaniedbywała przez tak długi czas. Zatonęła bez tchu w błękitnych oczach Hala Blane'a. Nic mogła oderwać od nich spojrzenia. Wręcz zawładnęło ją uczucie erotycznego oddania.

Pragnęła go! I wiedziała, że on jej chce. Nagła fala pożądania odebrała jej oddech. Przez chwilę nie była w stanie udźwignąć ogromu tego emocjonalnego i fizycznego napięcia. Zachwiała się i uchwyciła jego ramienia.

Poczuła, jakby objęła konar dębu, żelazny słup, niezawodną kotwicę.

W bezpiecznej przystani.

– Hej! – zawołał. Przyciągnął ją bliżej. – Co się stało? Za dużo wina? Czy...

Pocałowała go. Zetknięcie ich ust było tak naładowane erotyzmem, że całe jej ciało zapłonęło. Zatraciła świadomość własnej osoby, poza poczuciem tego, że jest kobietą, która pragnie tego mężczyzny. Objęła Hala za szyję i mocno przytuliła się do niego. Był taki silny, taki solidny, tak bezpieczny i męski! I całował ją z niepohamowaną namiętnością, tak bliską i jej uczuciom.

Uwolniła się w końcu z jego uścisku i odeszła o krok. Jej serce pędziło jak szalone, z trudem łapała oddech. Hał wpatrywał się w nią, a zaskoczenie było tylko jednym z wielu uczuć malujących się na jego twarzy.

– P-przepraszam – wyjąkała. – Zazwyczaj nie robię tego na pierwszej randce. – Odwróciła się, czując płomień zażenowania na twarzy. – Przepraszam – powtórzyła.

Położył dłoń na jej ramieniu. Jego palce zacisnęły się delikatnie, pieszczotliwie. Czuła na policzku i na uchu jego ciepły oddech.

– Nie przepraszaj, Dixie! Ja sam chciałem to zrobić, ale bałem się spróbować...

– Hal! Nie możemy... – Odwróciła się.

i – Dlaczego nie możemy? – Spojrzył na nią uważnie spod nastroszonych brwi. – Bo jestem małomiasteczkowym gliną? Bez wykształcenia? Czy też...

– Do diabła! – Cofnęła się o krok. Jej głos był cichy, lecz pełen pasji. – Te rzeczy nie mają nic wspólnego z moimi uczuciami do ciebie. Więc zostaw ten temat w spokoju!

Uśmiechnął się, lecz w kącikach jego ust błąkał się jeszcze cień żalu.

– Jesteś pewna?

– Tak!

– A więc?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Chyba jeszcze za wcześnie. Dotknął jej twarzy.

– Ja też nie wiem. Ale nauczyłem się tego, że pożądanie ma swój własny harmonogram. Myślałem, że jako lekarz, mający na co dzień do czynienia z osobistymi sprawami ludzi, wiesz o tym także.

– Hal! – Odprężyła się. – Ja umiem zestawić złamaną kość, zszyć ranę i służyć poradą, ale nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o sprawy uczuciowe. Tym bardziej, gdy chodzi o seks. Ja...

Dalszy ciąg zdania został zagłuszony przez dźwięk dzwonu wzywającego na następne danie.

– Wrócimy do tej sprawy – powiedział Hal. Jego palet ciągle dotykały jej policzka.

– Zgoda! – mruknęła Dixie, wtuliła twarz w jego dłoń i pocałowała ją.

Trzymając się za ręce wrócili do restauracji.

Dixie zrozumiała, że jej nagłe pożądanie do Hala rodzi się z podjęcia decyzji leczenia Hattie. Pani Blane miała rozpocząć terapię we wtorek. Hal z całą pewnością stanie się jednym z tematów ich rozmowy. Związanie się z tym mężczyzną mogło oznaczać, że w traktowaniu jego matki zabraknie jej obiektywizmu.

Rozmyślając nad tym problemem Dixie doszła do wniosku, że pozostanie jej jeszcze spore pole manewru, jeśli natychmiast zapanuje nad uczuciami. Ten wieczór mógł zakończyć się wraz z obiadem, albo mógł mieć swój ciąg dalszy. Hal dał jej do zrozumienia, że to ona dyktuje warunki. Decyzja należy do niej, nie do niego.

Lecz los nie miał ochoty pozwolić na tak łatwe rozwiązanie; nie. Po deserze, rozpustnym drobiazgu nazwanym skromniej „czekoladową czapeczką”, wprost ociekającym tłuszczami! i węglowodanami, podszedł do nich Ray i powiedział:

– Hal wspomniał, że interesuje się pani ziołolecznictwem i medycyną ludową. Co by pani powiedziała na wizytę u jednej z najdziwaczniejszych i najmądrzejszych terapeutek w tej dziedzinie, jakie w ogóle nosi ziemia? U panny Esther. Jest swego rodzaju miejscową legendą, a także samozwańcą, dobrą wróżką. Nie namawiałbym pani na wizytę, gdyby była zła. A już na pewno nie z Halem jako pani towarzyszem.

– Nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie skorzystała z tej okazji. Czy ona mieszka gdzieś blisko?

– Ray! Nie sędę, żeby to był dobry pomysł – powiedział Hal. Jego twarz wyrażała i troskę, i rozbawienie. – Esther jest... Ona cię nie zainteresuje, Dixie! Jej praktyki nie mają nic wspólnego z nauką.

– A właśnie, że mnie interesuje! – przekomarzała się lekarka. – Nauka jest tam, gdzie chcesz jej szukać.

– Będziesz żałować – powiedział Hal. Ale wyraz rozbawienia nie zniknął z jego twarzy. To tylko rozbudziło jej ciekawość.

– Czy mogę ją zobaczyć teraz, czy jest już za późno?

6

Nie było za późno. Ray oświadczył, że panna Esther jest nocnym ptaszkiem, a mieszka tylko o kilka mil stąd, w lesie. Zaczął opowiadać o dziwnej, ale życzliwej znachorce, która dokonuje małych cudów w swej kuchni za pomocą ziół i zaklęć. Przyłączyła się do nich Sandy i dorzuciła kilka legend. Pozostali goście nie interesowali się tym i wyszli do holu w poszukiwaniu weselszych tematów do dyskusji. Dixie zaczęła podejrzewać, że gospodarze ją nabierają, lecz Hal zaskoczył ją, traktując sprawę z całą powagą.

– Stara panna Esther nie jest żartem – powiedział. – Zobaczysz! – dodał zasepiony.

Ray wyjaśnił, że ona nie pozwala zbliżać się pojazdom mechanicznym w pobliże swej chaty, a tych, którzy odważyli się na to, spotkały tylko nieprzyjemności. Kiedy Dixie spytała, jak odniosła się Esther do tamtych motocyklistów, Ray wskazał na Hala i powiedział:

– To już on się o to zatroszczył.

– Oczywiście, lecz...

– My nie wzywaliśmy, ani nie spodziewaliśmy się go. On się po prostu pojawił.

Dixie spojrzała na Hala. Szeryf wzruszył ramionami.

– Jak już ci mówiłem, bez szczególnego powodu, przypadkiem znalazłem się w tej okolicy i zajrzałem tutaj.

– Panna Esther twierdzi, że go tu sprowadziła – powiedziała poważnym głosem Sandy Fawcett. – I ja jej prawie wierzę. Ona jest niesamowita, mówię wam. Kiedy ją zobaczysz, zrozumiesz, co mam na myśli.

Ruszyli pieszo w świetle księżyca. Otaczający ich sosnowy las śpiewał dźwiękami letniej nocy. Dixie uświadomiła sobie, że coś silniejszego niż ciekawość ciągnie ją do „znachorki”. Poczula się dziwnie oczarowana, jakby jej świat zmieniał się z każdą sekundą.

Wiedziała, że część tego czaru rodziła się z bliskości Hala. Po tym pocałunku, podczas którego ziemia zdawała się uciekać jej spod stóp, jego obecność ją oszałamiała. Piła niewiele podczas obiadu, sączyła jedynie znakomite wino. A jednak czuła się tak zamroczona, jakby wytrąbiła cały alkohol, jaki widziała na stole.

– Mam wrażenie, że znasz tę staruszkę – powiedziała. Przynęła się bliżej i ujęła go pod rękę. – W czym rzecz?

– W niczym... – Kopnął kamień na ścieżce. – Znam ją od dziecka.

– I co?

– I raz po raz wpadam na nią. Mieszka tu chyba od początku świata.

– Dręczysz mnie.

– Nie, Dixie! – Zatrzymał się. – Próbuję tylko powstrzymać się przed pocałowaniem ciebie.

– Dlaczego? – Przynęła się bliżej.

– Bo jeśli cię pocałuję, to nie dojdziemy do niej na czas. Będzie zła. Wolałbym się jej nie narażać.

– Skąd może wiedzieć, że do niej idziemy? Uśmiechnął się szeroko.

– Wielki, stary czarny kruk uprzedzają, że ktoś się zbliża. Krrra, krrra! – mówi. Widziałem przed chwilą, jak odlatywał z tamtego drzewa.

Całkiem pewna, że ją nabiera, Dixie pocałowała go w usta. Ale w chwili, gdy poczuła ich intensywny smak, zaskoczył ją ochrypliwy, skrzekliwy krzyk ptaka. Pisnęła i odskoczyła od Hala.

Szeryf roześmiał się i objął ją ramieniem.

– A nie mówiłem? – Przyciągnął ją do siebie, przytulił mocno i powiedział. – Chodźmy do Esther. Zobaczmy, co życie ma nam jeszcze do ofiarowania. Ona nam powie.

– Tylko mi nie mów, że chcesz zapytać o przyszłość tę... tę...

– Wróżkę? – Wysoko uniósł brwi. – To chciałaś powiedzieć?

– To zaczyna się robić zbyt dziwne jak na mój gust. – Wzruszyła ramionami.

– Poczekaj trochę.

Wkrótce znaleźli się daleko od restauracji. Otaczały ich tylko dźwięki i zapachy lasu. Drzewa były tu tak wielkie, że światło księżyca z trudem przedostawało się przez ich gęste korony.

– Czy są tu niedźwiedzie? – zapytała chwytając go za rękę.

– Prawdopodobnie. Mocniej zacisnęła dłonie.

– Nie bój się. Teraz nie będą nas niepokoiły.

– Bo idziemy do wróżki?

– Nie żartuj z tego. Mówiłem ci, że ona traktuje takie rzeczy bardzo poważnie. Wyśmiewanie się z niej nie jest dobrym pomysłem.

– Przepraszam! – Dixie zamilkła. Była absolutnie pewna, że jest obiektem jakiegoś żartu. Nie знаła Hala na tyle, aby mogła powiedzieć, czy bawi się jej kosztem. Z pewnością jednak w dwudziestym wieku nikt nie wierzył w przepowiadanie przyszłości, czary i magię, ani czarną, ani białą.

Wyszli w końcu na polanę, na której stał mały domek z bali. Drzwi były szeroko otwarte i światło zalewało wymiecione podwórze. Świetliki migotały tajemniczo na ziemi i drzewach. Z jednej strony znajdowała się mała zagroda. Za płotem poruszały się dwa cienie. Jeden z nich cicho zarżał. Konie.

– O rany! – powiedziała Dixie. Głos uwiązł jej w gardle. Hal położył rękę na jej plecach i poprowadził ku drzwiom.

– Nie mów niczego, czego moglibyśmy potem żałować.

– Hal, ja...

– Czy to ty, młodzieńcze? – zawołał piskliwy, gderliwy głos. – Harold Kedrick Blane? Czy to ty i twoja kobieta?

– Co?! – wyszeptała Dixie. – Co ona mówi?!

– Ciii! – Popchnął ją do przodu. – Dobry wieczór, panno Esther. To my – powiedział przyjaznym, pełnym szacunku głosem.

Dixie została delikatnie, lecz zdecydowanie przeprowadzona przez drzwi do jedynego pokoju w chacie. Przy kominku, na krześle z mało oheblowanego drewna siedziała drobna, staroświecko ubrana kobieta.

Miała na sobie kilka warstw odzieży i była opatulona wielką kołdrą. W innym otoczeniu Dixie pomyślałaby, że to szmaciana lalka.

Lecz, kto wie, może i była to jakaś genialna wróżka... W pomarszczonej, brązowej twarzy zwracały uwagę oczy, błyszczące życiem i inteligencją.

– Dzień dobry – zdołała wykrztusić Dixie. – Ja... To znaczy my...

– Sza, dziecino! – Staruszka wstała, zrzucając z siebie kołdrę. Podeszła bliżej. Podniosła powykrecaną, szponiastą dłoń i dotknęła Hala. – Zmieniłeś się, chłopcze! – powiedziała głębokim głosem. – Postarzałeś się. Posmutniałeś.

– To nic, panno Esther! – odpowiedział szeryf. Nie patrzył na Dixie. – Mam za dużo roboty. To wszystko.

– Nie! – Staruszka utkwiała w nim oczy. – To nie wszystko. Nie kłam, chłopcze! Kłamstwo jest przekleństwem twojej rodziny. Pakuje w kłopoty dobrych i złych ludzi.

– Przepraszam, panno Esther! – Hal położył dłoń na barku Dixie. – To jest lekarka.

– Wiem! – Esther nie spojrzała na dziewczynę. Jej ciemne oczy przewiercały Hala na wylot. – To nie ona jest twoim kłopotem.

Hal poruszył się niespokojnie. Jego ręka na ramieniu Dixie stała się ciepła.

– Ja nie chciałem... – zaczął. Najwyraźniej brakowało mu słów.

– Panno Esther! – wtrąciła się Dixie. – Słyszałam, że wie pani bardzo dużo o ziołach i o leczeniu. Czy mogłaby pani kiedyś porozmawiać ze mną na ten temat?

Staruszka wolno zwróciła się ku Dixie.

– Oczywiście, dziecko. Ty widzisz, że ten człowiek wymaga leczenia. Jesteś lekarzem. Musisz wiedzieć.

Dixie bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie wiem.

Esther wpatrywała się w nich przez długą, męczącą chwilę. Potem odwróciła się.

– Napijmy się herbaty. Zebrałam wczoraj trochę słodkich liści.

Wskazała ręką na kominek. Poszli za nią i usiedli obok siebie przy ogniu. Staruszka w mrocznej części izby przesuwiała jakieś szeleszczące i grzechotające przedmioty. W powietrzu unosił się słodki, ostry zapach. Dixie zacisnęła palce na ramieniu Hala.

Nie bała się, daleka była od tego. Jej serce biło szybko z podniecenia. Choć domek był trochę nawiedzony, i na pewno dziwaczny, czuła się bardzo poruszona. Panna Esther jest chyba prawdziwa. Mądra kobieta, która żyje w harmonii z tą dziką, surową ziemią i z jej leczniczymi płodami. Ciekawe, ile ma lat...

– Wszystko w porządku? – zapytał Hal..

– Jasne! – Ścisnęła jego rękę. – Nie zamieniłabym tego doświadczenia na nic. Dziękuję ci za przyprowadzenie mnie tutaj. Ona jest... cudowna!

– Tylko nie wygadujcie o mnie niestworzonych rzeczy, młodzi! – odezwała się panna Esther. W mroku jej głos brzmiał trochę dziwnie. – Nie jestem niczym szczególnym. Po prostu żyję od dawna. Kobiety, jeśli długo żyją, wiele się uczą.

– Wróciła w krąg światła niosąc małe, czarne naczynie. Zawiesiła je na haku nad ogniem. – Woda się zaraz zagotuje – powiedziała. Usiadła z powrotem na krześle. – Powiedz mi teraz,

dziewczyno, czego chcesz.

Dixie pochyliła się do przodu. Puściła rękę Hala.

– Wszystkiego! Chcę wiedzieć to, co pani.

Esther obserwowała ją przez dłuższą chwilę, potem zaczęła się śmiać.

– Słyszałeś, chłopcze? Chce wiedzieć to, co ja wiem! Hal nie roześmiał się.

– Właśnie dlatego przyprowadziłem ją do pani. Esther spoważniała.

– Czy rozumiesz, co się stanie, jeśli ona pozna moje sposoby?

– Nie. Ja...

– Ona nigdy nie odejdzie. Czy jesteś na to przygotowany, chłopcze?

Dixie zerknęła na Hala. Niczego nie mogła wyczytać z jego twarzy.

– Czy ta woda nie jest już gotowa? – spytał.

Esther westchnęła. Było w tym zmęczenie i desperacja. Oparła dłonie na poręczach krzesła i podniosła się.

– Widzę – mruknęła odchodząc w mrok – że nie chcesz, Hala Blane. Jeszcze nie chcesz.

Dixie spojrzała na szeryfa. Żadnej reakcji! Esther wróciła z kubkami na tacy. Postawiła ją przy palenisku. Dziewczyna przysunęła się do Hala.

– Mogę pomóc? – zapytała.

– Może... – Esther spojrzała na nią przenikliwie. – Kto wie, może potrafisz, dziecko! – powiedziała głosem, z którego zniknęła szorstkość.

Nie dodała nic więcej. Owinąwszy jedną rękę rogiem starej kołdry zdjęła naczynie z ognia i rozlała parującą wodę do kubków. Słodki, jakby trochę spleśniały zapach wypełnił izbę.

– Och! To jest cudowne! – Dixie z uznaniem zaciągnęła się wonią. – Rumianek. To wyczuwam. I szczypta mięty. A co jeszcze?

Esther nie odpowiedziała.

– To są same zioła, prawda, panno Esther? – zapytał Hal, gdy uroczyście podała mu kubek. – Żadnej chemii?

Staruszka uśmiechnęła się, ukazując zdrowe zęby.

Nie odpowiedziała.

Wzięła swój kubek i usiadła na krześle.

– Wypij herbatę, Haroldzie Kedricku Blane. Nie śpiesz się. Lekarka skryła uśmiech za kubkiem. Staruszka drażniła się z nim życzliwie. Dixie uznała, że ponieważ na pytania wprost nie otrzymuje prostych odpowiedzi, pójdzie drogą okrężną. Normalna technika w zmaganiach z opornym pacjentem. Ale...

Ale co się dzieje z Halem? Co – zdaniem panny Esther – wymaga leczenia? Rozbawienie i ciekawość Dixie przeszły w niepokój. Dolegliwość Hala mogła mieć jakiś związek ze stanem Hattie. Dixie przestała traktować wieczór jako rozrywkę i nastawiła się na uważne obserwowanie staruszki.

Esther zaczęła mruzczyć. Najpierw tak cicho, że dziewczyna pomyślała, iż to wiatr w sosnach. Ale po kilku minutach rozpoznała głos wróżki. Uspokajał. Koił. Usypiał. Poczwała, jak opadają jej powieki.

Nagle zrozumiała, że staruszka ich hipnotyzuje. Dosypała do herbaty jakichś odprężających ziół. Ciepło ogniska, ocieężałość po winie i posiłku, późna pora... Wszystko to razem sprawiało, że zahipnotyzowanie chętnych było drobnostką.

Dixie nie była chętna. Walczyła o zachowanie przytomności. Głowa Hala już wsparła się o ciepłe kamienie kominka, oczy się zamknęły, a kubek właśnie przechylał się w jego dłoniach. Dixie pochwyciła go, zanim wysunął się z osłabłych palców szeryfa. Ciało mężczyzny rozluźniło się, rysy złagodniały. Rozległo się lekkie chrapanie.

– No, dobrze! – Esther podniosła się nie wykazując śladu powolności, jaką demonstrowała przed chwilą. – Nie bój się! Prześpi się trochę, a potem wróci do normy. Chodź ze mną w noc, dziewczyno!

Dixie chwyciła jej rękę. Nie mogła się powstrzymać. Lecz nie czuła strachu, tylko podniecenie i ogromną ciekawość. Wiedziała, że robi dobrze.

Dwie kobiety wyszły z domu trzymając się za ręce. Minęła północ, lecz powietrze wydawało się jeszcze ciepłe i łagodnie muskało twarz dziewczyny. Stara ręka w jej dłoni była drobna i delikatna, sama pomarszczona skóra i kości.

– Naprawdę wiedziałś, że przyjdziemy?

– Wiesz... – Esther westchnęła. – Byłoby świetnie, gdybym potrafiła robić to wszystko, o co podejrzewają mnie ludzie. – Wskazała ręką w kierunku skraju lasu, gdzie dwa duże pniaki zostały ukształtowane w gładkie stołki. – Usiądźmy i pogadajmy.

Chata i polana wyglądały stamtąd jak dekoracja sceniczna. Jeden z koni w zagrodzie zarżał miękkim, kojącym głosem. Świetliki jarzyły się łagodniej, księżyc świecił jaśniej. Esther westchnęła.

– Kochasz go?

– Ja... Nie... To nasza pierwsza randka. Właśnie zdecydowałam, że mimo wszystko go lubię. Stąd do miłości daleka droga!

– Pragniecie się! – uśmiechnęła się Esther. – Nawzajem się pożąacie. Stąd blisko już do miłości, dziewczyno! Powinnaś o tym wiedzieć.

Dixie zachnęła się. Nie chciała rozmawiać o Hala. Chciała mówić o Esther.

– Co jeszcze było w herbacie? – spytała. – Szybko go zmogła.

Esther wzruszyła drobnymi, kościstymi ramionami.

– Chłopak jest zmęczony. Pił to, co ty i ja. Nic więcej.

– Nic mniej?

– Ha! – Dłoń Esther uchwyciła rękę lekarki. – Ostra jesteś. Możesz kiedyś zostać znachorką. *M* Pytania wirowały w głowie dziewczyny.

– Mogłabym tu przyjść i uczyć się od ciebie? Staruszka podniosła na nią oczy. Ich spojrzenie było otwarte i jasne.

– Dlaczego? – spytała zielarka.

– Bo... Bo chcę zdobyć twoją wiedzę.

– Jesteś ambitna. – Staruszka uniosła brwi.

– Tak. Przyznaję się do tego. Ale...

Esther zaśmiała się znowu, prosto i spokojnie.

– Zgoda, dziecko! – powiedziała. – Możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz. Ale ostrzegam cię. Tu nie ma żadnych cudów. Tylko lata. Lata, lata...

– Nie szukam cudów – wyjaśniła Dixie. – Mam umowę z instytutem medycznym w Kalifornii na zbieranie danych z dziedziny medycyny ludowej. Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś zechciała wziąć udział w tych badaniach.

– A to dlaczego? – rzadkie białe brwi znowu uniosły się w górę.

– Bo uważam, że wiele nauczyłabym się od ciebie. A jeśli podzielę się tą wiedzą z innymi, to znaczy, że pomożemy ludziom.

Esther pogładziła palcami materiał spódnicy.

– Mam w sobie krew Indian Szoszonów. Czy Hal Blane wspomniał ci o tym?

– Nie.

– Moja mama była czystej krwi Indianką. Ona nauczyła mnie większości tego, co umiem i robię. Płynie we mnie krew Indian i białych. Korzystam z dorobku obu tych światów.

– Interesujące! Mów dalej.

– Nie dzisiaj! – Wstała. – Dziś mam jeszcze coś do powiedzenia temu mężczyźnie, nie tobie. Ale ty wracaj, kiedy chcesz, kobieto doktorze! Musisz. Bo przeznaczone nam było się spotkać.

– Zgoda! – Dixie też wstała. Ale Esther kazała jej usiąść.

– Muszę z nim porozmawiać w cztery oczy. Czekać. On zaraz wyjdzie.

Dixie obserwowała, jak zgięta wpół staruszka idzie przez podwórze do drzwi chaty i znika za nimi. W ciemności za jej plecami coś hałasowało. Szeleściło i ćwierkało. Ptaki, owady, myszy... Z całą pewnością nie były to niedźwiedzie. Dmuchał lekki wiatr, westchnął w koronach wysokich sosen. Zadumała się.

Jakże spokojny jest ten zakątek. Jak... święty! Odświeżający i odmładzający. Choć powinna czuć kompletne wyczerpanie po wydarzeniach minionego tygodnia i po dwóch kolejnych zarwanych nocach, jej żyły wypełniała energia. Nie przepelniała, po prostu napelniała. Miło. Przyjemnie. Odprężająco.

Zamknęła oczy. Słyszała dźwięki lasu, ciche głosy w chacie, wdychała zapach koni, sosen i dymu. I znowu wydało się jej, że jest na Starym Zachodzie. Wrażenie pogłębiało się, ogarniało ją całą. Czule, jak kołdra panny Esther. Przez chwilę nie mogła unieść ciężkich półwiek.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła stojącego przed nią uśmiechniętego Hala.

– Hej, śpiąca królewno! – zawołał. – Czas nam w drogę! Dixie zerwała się na równe nogi.

– Ja nie spałam.

– Oczywiście! – Pochylił się nad nią i pocałował delikatnie. – Tak samo, jak ja nie zasnąłem na kilka minut przed kominkiem Esther. Dalej! – powiedział i objął ją ramieniem.

– Wracamy do domu.

– Nie powinniśmy się pożegnać? Potrząsnął głową.

– Kazała nam wracać. Sama wybierała się już do łóżka. Jakby na potwierdzenie tych słów drzwi do chaty powoli się zamknęły. Światliki przygasły. Noc zapadła na polanie. Ruszyli w stronę ścieżki, która ich tutaj przywiodła.

– I co ci powiedziała? – zagadnęła Dixie.

– Jeśli mam być szczerzy, to nie wiem. – Zwolnił kroku.

– Kiedy otworzyłem oczy, stała przede mną i coś tam do mnie mruczała. Nie słyszałem tego zbyt dobrze, ale uznałem, że nie byłoby zbyt grzeczne prosić ją, żeby mówiła głośniej. To taka sędziwa dama.

– Uważała, że ma ci do powiedzenia coś tak ważnego, że musi to zrobić w cztery oczy.

– Nie usłyszałem niczego ważnego.

W jego głosie zabrzmiało napięcie, więc Dixie porzuciła ten temat. Przysunęła się do niego bliżej, gdy weszli między drzewa, i ujęła jego dłoń. Powoli napięcie między nimi zelżało, powróciła atmosfera romantycznego sam na sam.

– I co o niej myślisz? – zapytał po kilku minutach.

– Lubię ją. I szanuję. Bardzo mnie interesuje.

– To dobrze.

Dixie zatrzymała się i pociągnęła go za rękę.

– Hal! Dlaczego przyprowadziłeś mnie tutaj? Z jakiego powodu?

– Powód? – Wzruszył ramionami. – Nie było żadnego. Ja nawet nie miałem zamiaru jej odwiedzić. To pomysł Raya, pamiętasz?

– O tak!

Lecz ty mogłeś go do tego namówić, pomyślała. Poprosić, żeby to zaaranżował.

Z jakiego powodu? Nawet jeśli wziąć pod uwagę powszechnie znaną prowincjonalną skłonność do wpuszczania „nowych” w maliny na próbę, Hal w żaden sposób nie mieścił się w kategorii żartownisiów tego rodzaju. Nie! Przywiązywała zbyt wielką wagę do mistycznych uczuć, którym uległa w tamtej ponadczasowej chwili.

Hal nie sprawiał wrażenia konspiratora. Przy całej swej niewątpliwie posiadanej głębi wydawał się dość bezpośrednim człowiekiem.

A przynajmniej całował w taki sposób.

– No, dalej! – powiedział. – Już późno.

Poszli. Ich pragnienia były tak oczywiste, że równie dobrze mogliby je wykrzyzczyć pełnym głosem. W końcu jednak dotarli do samochodu na parking przed restauracją. W budynkach nie paliło się ani jedno światło. Otulała je atmosfera sennego spokoju.

– Teraz trudno sobie wyobrazić szalejące tu motocykle – powiedziała Dixie. Otworzyła drzwi wozu. – Tak tu cicho.

– Zazwyczaj tak jest – powiedział. – I tak powinno być – dodał siadając z drugiej strony. Uruchomił silnik. – Czasem chciałbym, żeby zamknięto granice całego stanu i zakazano używania wszelkich pojazdów mechanicznych. Jeździłyby tylko konie, woły i fury, jak kiedyś.

– Potwierdziło się w końcu – zachichotała Dixie – że jesteś człowiekiem z zamierzchłych czasów!

– Oczywiście, było wówczas wiele złego – powiedział. Wyjechał na drogę. – Generalnie jednak życie przynosiło chyba więcej satysfakcji.

– Ale krótkotrwałej. Przecież gdyby nie helikopter, ten człowiek z wykopalisk umarłby

wczoraj.

Hal milczał.

– A ja w minionym wieku nie dostałabym się do akademii medycznej.

– Nie – zgodził się. Zwolnił, żeby ominąć trzy jelenie pasące się na poboczu drogi. –

Wyszłabyś za mąż dawno temu i miałabyś dom pełen dzieci.

– Ponura perspektywa.

– Tak uważasz?

– Nie, jeśli byłby to jedyny możliwy sposób życia. Ale...

– Ale nie dla ciebie. Nie teraz. – Przyśpieszył. Reflektory jeepa rozświetlały mrok i ciągnącą się przed nimi szosę.

– Masz rację. Chyba nie chciałabym żyć tu sto lat temu. Skręcili na asfalt i jechali przez jakiś czas w milczeniu.

– Ja chyba też nie – rzekł w końcu. – Miło jest ulec nostalgii, ale jeśli przyjrzeć się uważnie, to można od razu zobaczyć, że w przeszłości trzeba się było sporo namęczyć, aby przeżyć. Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę, że wszyscy z mojej rodziny znaleźliby się w grobie. Ze mną włącznie.

– Myślisz też o synu?

– To był poród z komplikacjami. – Odchylił się do tyłu. Trzymał kierownicę jedną ręką. – Straciłbym ich oboje. – Pochylił się. – Przynajmniej tak mi powiedział doktor.

– Żona nie chciała potem mieć dzieci?

– Nie. Chciała mieć tylko mnie.

– Więc...

– Mówmy o czymś innym, okey?

– Zgoda! Czy umarłabyś w tamtych czasach?

– Prawdopodobnie. Ale wiesz, ty jednak mogłabyś dostać się do akademii medycznej.

– Czyżby?

– Tak! Zobaczmy. Była...

Dixie słuchała, zaskoczona, a on wymieniał nazwiska, daty i miejsca. Fakty historyczne prowadziły do nieuniknionego wniosku, że kobiety zdobywały dyplomy lekarskie także w ubiegłym wieku. Ich liczba była skromna, robiły jednak to samo, co lekarze płci męskiej. Nawet operacje.

– Skąd wiesz o tym wszystkim? – spytała.

Znów wzruszenie wielkich ramion, gest, który nauczyła się rozpoznawać jako przejaw nieśmiałej dumy.

– Lubię historię. Cały czas czytam.

– Aha! – Zamyśliła się.

Hal prowadził wóz, wymijając jelenie spotykane od czasu do czasu na poboczu drogi. Był tak do tego przyzwyczajony, że nawet nie zdejmował nogi z pedału gazu.

I nagle spostrzegł, że zwalnia. Jedzie powoli. Ledwie, ledwie...

– Co się stało? – Dixie wyprostowała się. Drzemała i dumała. Rozmyślała nad tym, czego dowiedziała się o siedzącym obok mężczyźnie. – Czemu stajemy?

– Ja... – Hal czuł, jak pot zrasza całą jego twarz, mimo iż nocne powietrze było chłodne. – Nie wiem. Ja tylko... – Zatrzymał jeepa.

Na samym środku szosy! Uderzały w niego fale zawrotów głowy. Pochylił się nad kierownicą i pragnął tylko, żeby mózg przestał mu wirować pod czaszką.

– Hal! – Dixie błyskawicznie odpięła pas i znalazła się przy kierowcy. – Hal! Mów do mnie!

Wyprostował się.

– Wszystko w porządku – powiedział patrząc przed siebie, nie na nią. – Już mi dobrze.

– Widzę, jak ci dobrze! – Przechyliła się ku niemu i rozpięła jego pas. – Zatrzymujesz się w środku nocy na środku szosy i już ci dobrze! Pozwól mi obejrzeć...

– Nie! – Odepchnął ją mocno. Tak mocno, że uderzyła głową w szybę drzwi pasażera.

Krzyknęła z bólu.

Rzucił się ku niej, przyciągnął do siebie.

– Dixie, przepraszam! – Kołysał jej głowę w swych ramionach. – Wybacz mi. Boli cię?

– Tak! – zawołała głosem zduszonym przez jego ramię. – Ty mnie pchnąłeś!

– Przepraszam! – Uwolnił ją ze swych ramion i odsunął się. – Ja nie myślałem... Ja po prostu... zareagowałem.

– Właśnie to czuję! – Potarła tył głowy. – Jutro będę miała guza jak śliwkę.

– Zjedźmy na pobocze – rzekł i położył ręce na kierownicy. Zjechał z szosy i wyłączył silnik. Dwa jelenie wyprysnęły z ciemności i przebiegły przed światłami. Hal nie patrzył na nią, nie odzywał się. Po prostu wyglądał przez okno w mrok. Dziewczynę bolała głowa, ale jeszcze bardziej dokuczliwy był strach o niego, który nagle ją ogarnął.

Nie.

Nie strach. Coś innego... Coś...

Groza.

Groza?

– Hal! Co się dzieje?

– Nie wiem. – Jego głos był głęboki, lecz pełen napięcia. – Chciałbym wiedzieć. Nie mogę uwierzyć, że tak cię skrzywdziłem. – Nie odwrócił się, aby na nią spojrzeć. – Ja jakbym. .. Jakbym przez chwilę nie był sobą.

– To był przypadek. – Zaryzykowała i przysunęła się bliżej. – Nie chciałeś przecież...

– Tak, nie chciałem, żebyś mnie dotknęła. – Jego głos był pozbawiony emocji. – Ja...

. – Hal! Co było w tych ziołach? – Położyła rękę na jego ramieniu. – Czy ona mogłaby...

– Nie. Nie skrzywdziłyby nas.

– Z całą pewnością coś na ciebie zadziało. Albo herbata, albo coś, co zjadłeś. Chciałabym zrobić ci parę badań, kiedy...

Przerwało jej policyjne radio. Dyżurny wzywał Hala. Szeryf podniósł mikrofon i włączył go.

– Tu Seaside jeden. Słucham. – Nic w jego głosie nie zdradzało, że zdarzyło się coś nadzwyczajnego.

– Szeryfie! – Głos dyżurnego był napięty. – Niech pan jedzie do obozu kopaczy. Mają

tam dla pana MC.

– Powtórz! – Ręka Hala zadrżała. – Jakież szczegóły?

– Żadnych! Powtarzam: MC. A profesor Nash chce, żeby doktor Sheldon też przyjechała.

Wiedziałem, szefie, że wybraliście się razem, więc...

– Dziękuję. Zajmę się tym. Over! Skończone. – Wyłączył i odwiesił mikrofon.

– Co się stało? – Dixie starała się wyczytać coś z jego twarzy. Nie była w stanie. Rysy były odlane z brązu. – Czy MC to...

– Martwe ciało. – Hal włączył silnik. – Jedziemy, doktoro! Jest robota. Dla ciebie i dla mnie.

Żadne z nich nie odezwało się słowem podczas jazdy na teren wykopalisk. Dixie milczała wystraszona, gdy z maksymalną szybkością mknęli ciemną drogą, i rozmyślała o niedawnym zachowaniu Hala.

W ciągu godziny dojechali na miejsce. Po kolejnej wspinaczkę znaleźli się na terenie oświetlonym przez reflektory. W jasnym, sztucznym świetle ludzie rzucali długie, niesamowite cienie...

Hal bez słowa podjechał do obozowiska i zatrzymał samochód. Otworzył drzwi i wysiadł.

Dixie położyła rękę na klamce. Już chciała iść w jego ślady, gdy zobaczyła zbliżającego się wielkiego, brodatego mężczyznę. Zawahała się. Ubrany był w zwyczajne tu ubranie w kolorze khaki. Miał czerwoną szeroką twarz. Powinien przypominać przyjacielskiego misia.

Ale nie przypominał. Dixie spojrzała na Hala. Szeryf przyjął postawę, której jeszcze u niego nie widziała. Była to postawa mężczyzny gotowego do walki. W pośpiechu otworzyła drzwi.

– Nie śpieszył się pan, szeryfie! – ryknął brodac. – I co, do cholery, pan sobie myśli, sprowadzając tu jedną ze swych miejscowych laleczek?!

Reflektory znajdowały się za nim i oczy skrywał mu głęboki cień. Dixie nie mogła rozróżnić wyrazu jego twarzy, ale z głosu i ruchów biła wrogość.

Hal skinął głową.

– Hayden! – powiedział. – To jest doktor Sheldon, lekarz powiatowy. – Wskazał na nią ręką. – Wykona dla mnie badania. – Nie przedstawił brodacza.

Dixie ruszyła ku nim. A więc to jest dyrektor wykopalisk. Rozejrzała się za Winnie.

– Gdzie jest profesor Nash?

– Jest tu, albo tam, gapi się na znalezisko, jak każdy inny – Hayden roześmiał się nieprzyjemnie, zgrzytliwie. – A więc to jest nowa lekarka! Mówiono mi, co pani zrobiła w minionym tygodniu dla biednego Laytona. – Zmarszczył brwi i podał Dixie wielką rękę. – Przepraszam, pani doktor! Jestem bardzo zdenerwowany tym wszystkim. Pani rozumie? Jestem profesor Oskar Hayden, dyrektor tego... przedsięwzięcia.

Dixie poczuła mrowienie w palcach. Zrobiła krok do przodu i uścisnęła dłoń profesora.

– Oczywiście, rozumiem – powiedziała. Zauważyła, że ręka profesora była ciepła, niemal gorąca. – Możemy zobaczyć... ?

– Gdzie są zwłoki? – przerwał jej Hal. – Kto je znalazł?

– Nash powie panu wszystko dokładnie – powiedział Hayden odwracając się do szeryfa. Jego głos brzmiał znacznie mniej napastliwie. – Ja przybyłem tu już po znalezieniu ciała.

Gestem poprosił ich, żeby szli za nim. Ruszyli ku reflektorom.

Dixie spojrzała na Hala i zawahała się. Jego twarz miała znowu kamienny wyraz. Chciał... Nie wiedziała czego, była jednak pewna, że chciał czegoś od niej. Usłyszała wołanie Winnie.

– Dixie! Dzięki Bogu, ty też przyjechałaś! – Wysoka kobieta podbiegła do nich,

całkowicie ignorując Haydena. Zwróciła się do szeryfa. – Pomoże panu zidentyfikować zwłoki.

Hal spojrzął na Winnie.

– Czy jest więcej niż jedno ciało? – Jego głos, choć przyciszony i pozbawiony emocji, zdawał się budzić echo w ciemnościach poza światłami reflektorów.

– Nie, ale...

– Nash! – Hayden przerwał rozmowę. – Przestań gadać. Po prostu pokaż im, dobrze?

– Dobrze! – Winnie rzuciła Dixie udęczone spojrzenie. – Chodźmy. To tam, na zboczu urwiska. – Ruszyła. Hal szedł obok niej, dotrzymując jej kroku. Dixie musiała podbiegać.

– W skale? Znaleźliście ciało w skale? Winnie skinęła głową.

– Zaczęliśmy kopać rów późnym popołudniem. Żeby zobaczyć, czy coś godnego uwagi może znajdować się na tym terenie. I wtedy jeden ze studentów zlokalizował... Najpierw wam pokażę. Łatwiej mi będzie wyjaśniać, gdy to zobaczycie.

– Zgoda! – rzekł Hal.

Przeszli przez obozowisko do krawędzi urwiska nad potokiem. Dixie przypomniała sobie, że teren ten należał do rodziny szeryfa. Ciekawe, co teraz myśli.

– Czemu nie zatelefonowaliście wcześniej? – zapytał Hal. – Dlaczego czekaliście tak długo?

– Ujrzeliśmy to dopiero dwie godziny temu – odpowiedziała Winnie. – Zaraz zadzwoniliśmy.

– Czy tak długo trwało ustalanie, że to jest ciało?

– Jesteśmy profesjonalistami – odparła Winnie. – My nie kopiemy bezmyślnie. Wiedzieliśmy, że to kości. Ale gdy pracowaliśmy na stanowisku, nie mieliśmy pojęcia, że to człowiek.

– Wydobyliście je? – spytała Dixie.

– Milimetr po milimetrze. Podeszliśmy do ekshumacji jak do zwyczajnego wykopaliska.

– Czy kości są... współczesne? – zapytał Hal.

– Zobaczcie sami. – Winnie zeszła kilka kroków w dół urwiska do występu skalnego. W twardym zboczu wykopano parę stopni, ułatwiających poruszanie się. Występ przecinał skałę w poprzek i zniknął za jej załomem. Jasno świecił stamtąd reflektor.

Tam, gdzie nie docierało światło, było bardzo ciemno. Dixie wzdrygnęła się, zanim zrobiła pierwszy krok w ślad za Winnie i Halem. Nie zdobyła się na spojrzenie w prawo, w ciemność doliny leżącej pod nimi, ale słyszała cichy głos strumienia płynącego przez noc i westchnienia lekkiego wiatru w wysokich drzewach, rosnących poza zasięgiem wzroku.

– Na ile możemy stwierdzić – powiedziała Winnie – wcześniej ten teren był częścią płaskowyżu. Dopiero niedawno nastąpiła erozja krawędzi skały, która odsłoniła zwłoki. Podejrzewam, że niezwykle ostra zima, jaką mieliście w połowie lat pięćdziesiątych, mogła zapoczątkować ten proces, ale...

Hal zatrzymał się. Dixie prawie wpadła mu na plecy.

– Czy to znaczy, że ciało leżało tu przez kilkadziesiąt lat? – zapytał. – Od lat pięćdziesiątych?

– Znacznie dłużej! – powiedziała Winnie. – Nie mogłam jeszcze tego stwierdzić, ale moim zdaniem musiało minąć ponad sto lat od chwili, gdy ta osoba wydała ostatnie tchnienie.

– Sto lat? – powtórzyła Dixie. – Do licha! Jesteś pewna?

– Mogę powiedzieć, że to prawdopodobne, ale...

Hal milczał. Przesunął się obok Winnie. Za następnym załomem występ rozszerzał się, a zbocze stawało się mniej strome. Na występie zamocowano więcej reflektorów oświetlających dziurę w zboczu. Wyglądała ona jakby gigantyczna łycha wyrwała z ziemi wielki kęs. W wyrwie, jak w kołysce, leżały zwłoki.

Był to tylko szkielet. Całkowicie ogołocony z mięśni. Hal stanął obok rowu i wciągnął powietrze. Nie wiedział, czego się spodziewał, z pewnością jednak nie tego. Poczul się zdezorientowany.

– Ile czasu zajęło wam wykopanie? – spytał, spoglądając pod nogi.

Ciemne, puste oczodoły wpatrywały się w niego. Czaszka była czysta, pocentkowana tylko w tych miejscach, gdzie przez wiele lat stykała się z ziemią.

– Sześć, siedem godzin – odpowiedziała Winnie. – Szybko zorientowaliśmy się, że to ludzkie kości i niezbyt stare. Ale nie spieszyliśmy się. Nie chcieliśmy niczego zepsuć.

Hal przykucnął na piętach przy grobie.

– I nie zepsuliście! – przyznał z uznaniem. – Dobra, staranna robota. Spójrz tutaj! – wskazał na zarys ramienia i nadgarstka.

– Jest zgięte, dokładnie jak wtedy, gdy ciało złożono i pogrzebano... – Pogrzyżył się w milczeniu. Uważnie przyglądał się terenowi. Czemu, do diabła, niepokoiło go to tak bardzo?! Nie było żadnego logicznego wyjaśnienia uczuć, które go ogarniały. W swojej karierze zaglądał do wielu znacznie gorszych grobów.

Dixie podeszła do niego. Bywała już na miejscach zbrodni i przestępstw, stanowiło to część jej studiów. Ale ta dawna śmierć, ten gwałt na ludzkiej istocie, poruszył ją do głębi. Ciało i większa część odzieży uległy rozkładowi w ziemi, pozostawiając jedynie szarobrazowe kości i trochę strzępów materiału, skóry i małe kawałki metalu. Jeden z nich przyciągnął jej wzrok.

Przysunęła się do Hala i ukłękła, podwijając suknię pod nogi. Nie dotykając niczego wskazała na mały, okrągły, błyszczący przedmiot, leżący obok bioder szkieletu.

– Czy to nie moneta? Hal kiwnął głową.

– Wygląda... niedobrze – powiedziała i usiadła z rękami opartymi na udach. – Za czysto.

– Masz dobre oko. – Hal spojrzał na nią z uznaniem. – Coś tu nie gra – rzekł miękko i tak cicho, że ledwo go usłyszała. Przysunął się bliżej grobu. Spojrzał w dół. – Bardzo nie gra.

Czekała.

– Kto znalazł ciało? – zapytał Winnie. – Kto je znalazł pierwszy? – dodał, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Nie umiem powiedzieć. – Winnie zmarszczyła brwi.

– Pięciu czy sześciu studentów pracowało tutaj pod nadzorem Oskara i...

– Ściągnij tu Oskara.

– Jestem tutaj – odpowiedział mu głęboki głos. Oskar Hayden wysunął się z cienia. –

Czego pan chce, szeryfie?

Hal podniósł się.

– Chcę mieć dokładne sprawozdanie z ekshumacji, z każdego kroku – rzekł. – Chcę wiedzieć kto i co robił, gdzie i jak długo.

– Zrobię co mogę. Mamy zapis w dzienniku, jakby to było normalne znalezisko paleontologiczne. Ale niech pan spyta jeszcze innych. Trzeba mnie sprawdzić. Nie mam już takiej pamięci, jak parę lat temu. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Dlatego jest tu doktor Nash.

– Zgodzi się – odparł Hal. – Winnie, możesz przygotować nam wolny namiot do przesłuchań?

– Do czego?

– Muszę porozmawiać z pracownikami – powiedział szeryf. – Muszę ich przesłuchać. Rozumiesz? Aby mieć klarowny obraz sytuacji.

– Chyba...

– Oczywiście, że możemy – wtrącił Hayden. – My naprawdę chcemy wam pomóc.

Dixie była zaskoczona uległością tego człowieka. Spodziewała się po nim otwartej wrogości.

Mężczyźni rozmawiali z Winnie i coś tam ustalali. Dixie pochyliła się do przodu i badała wzrokiem szkielet. Tylko w ten sposób mogła pomóc. Choć medycyna sądowa nigdy nie była jej ulubionym przedmiotem, studiowała ją gruntownie. Wiedziała, że jako jedyna pod ręką osoba z fachowym przygotowaniem, będzie również powiatowym lekarzem sądowym. Zbliżyła twarz do ziemi i przyglądała się kościom. Wąchała je nawet, próbując wykorzystać wszystkie zmysły, jak ją uczono, aby wyczuć przyczynę zgonu.

Nic to nie dawało. Kości były zbyt stare. Otaczał je zapach stęchłej ziemi, ale nie zgnilizny. Wszystkie mięśnie zniknęły dawno temu, nie pozostawiając żadnego zapachu rozkładu. Na kolanach okrażyła szkielet, aż znalazła się u dołu grobu.

Analizowała układ kości. Pozycja kończyn wskazywała, że ciało złożono w ziemi niestarannie, a potem przysypano ziemią. Spojrzała w górę zbocza. Sądząc po głębokości, na jakiej znaleziono szkielet, miejsce wiecznego spoczynku było płytkie. Prawdopodobnie pośpiesznie wykopany dół...

Wróciła spojrzeniem do klatki piersiowej...

Morderstwo!

– On został zastrzelony – oznajmiła. – Strzałem w plecy. – Wyprostowała się i wskazała na żebra. – Widzicie tę strzaskaną część żebra? Kula, która weszła przez górną część pleców, w okolicy serca, wychodząc spowodowała to zniszczenie. Ja... – Zobaczyła jeszcze coś i przyklęła.

– Co takiego? – Hal stanął nad nią. Przyglądała się czaszce.

– Chyba jest jeszcze jedna... Tak! – Głową niemal dotykała kości. – Widzisz? – Palcem pokazała mały otwór z boku czaszki.

– Jest małeńki. Nie mogę z niczym skojarzyć takiego małego otworu wejściowego. Wygląda niemal na...

– Pozwól mi zobaczyć. – Hal delikatnie odsunął ją na bok i zajął jej miejsce. – Do diabła!
– rzekł miękko. Tak miękko, że przekleństwo zabrzmiało niemal jak modlitwa. – Do diabła!
Do cholery!

– Co to jest? Co znaleźliście?

Tym razem pytał Hastings Clark. Młody naukowiec wyłonił się zza skały. Dixie nie mogła dojrzeć jego twarzy, ale w głosie wyczuła podniecenie.

– Nie wiemy, Hastings – powiedziała. – Wygląda to na...

– W tej chwili to na nic nie wygląda – głośno przerwał jej Hal i wyprostował się. – Jeszcze nie możemy nic powiedzieć, prawda? – powiedział z naciskiem.

– Nie, jeszcze nie możemy. Dopiero po autopsji.

– Wyglądaliście tak, jakbyście dokonali jakiegoś odkrycia związanego z naszym nowym przyjacielem. Pomagałem go odgrzebać, co sprawia, że czuję... jakąś łączność z nim. Muszę przyznać, że płonę z ciekawości. Co też go uziemiło? I czemu?

– Tak się palisz? – Hal sięgnął do grobu i starannie wygrzebał błyszcząca monetę. – Nie twoja? – spytał, podnosząc ją tak, że błysnęła srebrem w świetle.

– Może wypadła ci z kieszeni, kiedy czyściłeś kości? – Może – zaśmiał się Hastings. – Czy zbeczczyłem grób?

Winnie podeszła bliżej i ukłękła. Obejrzała miejsce, gdzie znaleziono monetę.

– Nie żartuj, Hastings! – powiedziała ostro. – Jeśli upuściłeś ten pieniążek, to powiedz. Coś tutaj leżało od dawna, na pewno jednak nie ta zwykła, współczesna moneta. – Z kieszeni koszuli wyjęła pędzelek i musnęła dwa razy ziemię przy szkielecie. – Jest tu zagłębienie, zbyt głębokie jednak, aby mógł je spowodować taki drobiazg.

– Ma wybity rok: 1987 – odczytał Hal. – Rzekłbym, że ten facet leży tu trochę dłużej.

– Tak. To mężczyzna – potwierdziła Dixie. – Wskazuje na to struktura miednicy. Wielki mężczyzna, jeśli mogę coś wywnioskować z tak ułożonych kości. Musiałabym go rozprostować, żeby dokładniej określić jego wzrost. – Znów się pochyliła i przyjrzała zębom. – I niezbyt stary, jak stwierdziła już Winnie.

– Idę po aparat – powiedział Hal, położywszy dłoń na jej ramieniu. – Nie pozwól nikomu zbliżyć się do tego.

– Jasne! – powiedziała.

– My już zrobiliśmy zdjęcia – powiedział Oskar. – Bardzo wiele.

– Świetnie! Będę musiał je obejrzeć. I zrobię parę swoich. – Hal zniknął w ciemności. Winnie poszła za nim oznajmiając, gdzie przygotowany zostanie dla niego namiot na przesłuchania innych kopaczy.

Oskar Hayden zbliżył się do Dixie.

– Szeryf jest dziś trochę nerwowy, prawda, doktor Sheldon?

Dixie wyprostowała się i strzepnęła piasek z sukni.

– Chyba tak. Jest późno. Byliśmy na obiedzie poza miastem. Pewnie nie spodziewał się wezwania. – Stała tak, że profesor nie mógł się dostać do grobu nie wpadając przy tym na nią.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co, panie profesorze? – spojrzała na brodacza. Oczy Haydena zwięziły się na chwilę. Uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami.

– Myślałem, że zna go pani tak dobrze, że zrozumie, co mam na myśli. Widocznie się pomyliłem. – Odwrócił się i odszedł w ciemność, w ślad za Winnie i Halem.

– A to co ma znaczyć?! – ujęła się pod boki i popatrzyła za nim.

– Z niego jest błazen pierwszej klasy – powiedział Hastings. – Nie może już całe lato ryc na stanowisku. Serce czy coś w tym rodzaju. Ma już z górki i wkurza go to. Rzuca się na każdego. Niech pani mu nie pozwoli skakać sobie do oczu.

– Nie pozwolę. – Uśmiechnęła się do młodzieńca. – Długo pan zna profesora?

– Aż za długo! – Hastings wywrócił oczami. – Jest moim promotorem. Muszę być miły dla faceta.

– Też ma pan szczęście!

– Tak! – Hastings zrobił krok w stronę grobu. – Ale poważnie. .. Co pani o tym myśli? – Zrobił gest w stronę kości.

– Zabójstwo z premedytacją czy też pechowy kowboj?

– Czemu pan myśli, że to kowboj?

– Mógłby też być rancherem. Niech pani patrzy! – Przykucnął i pokazał ręką. – Kowbojskie buty. A tu nity od dżinsów. Klamra od pasa. Nie mówiąc już o tym, co znajdziemy, gdy weźmiemy go i zaczniemy przesiewać ziemię.

– A skąd ta moneta?

– Nie mam pojęcia. Komuś z nas musiała wypaść. – Hastings wstał. – A może grób został znaleziony wcześniej i zasypany z powrotem? Niech pani pomyśli o tym. Co jeżeli... – Twarz młodego naukowca zachmurzyła się.

– Jeżeli... ?

– Nie, nic... – machnął ręką. – Nadmiar wyobraźni... Dixie miała ochotę przycisnąć go trochę, dowiedzieć się co nieco o tej wyobraźni, ale w tym momencie pojawił się Hal ze sprzętem: wielkim statywem i ogromną torbą, podobną do lekarskiej.

– Wiesz, jak się to robi? – zapytał.

– Mniej więcej. Miałam trochę praktyki z dziedziny medycyny sądowej. I sporo zajęć z teorii.

– W porządku! – Hal rozłożył swoje rzeczy i podwinął rękawy. – Wszyscy na górę! – zawołał. – Wezwałem Teda, mojego zastępcę. Będzie tu niedługo. Przeprowadzi przesłuchania i zbierze oświadczenia. Chciałbym, panie profesorze, obejrzeć odbitki zdjęć, które zrobili pańscy ludzie. Hastings, niech pan wyteży pamięć i poda mi nazwiska wszystkich osób, które stały w pobliżu grobu. Chcę znaleźć właściciela tej dziesięciocentówki.

– Ale...

– Żadnych „ale”. Proszę to zrobić!

Hastings spuścił głowę. Wyglądał na dotkniętego.

– Może mógłbyś rozważyć koncepcję Hastingsa? – odezwała się Dixie. – Co do tej monety.

– Jaką koncepcję?

– Że...

– Założmy, że ktoś znalazł grób już kilka lat temu, szeryfie – profesor Hayden przerwał swemu studentowi. – I wtedy mógł upuścić ten pieniądz.

– W jakim celu zakopywałby grób? – Hal zmarszczył brwi. – No i pańscy ludzie mówią, że był on nie naruszony.

W tym momencie pojawiła się Winnie.

– Z całą pewnością był nie naruszony. Stawiam na to całą moją zawodową reputację. Nikt nie oglądał naszego przyjaciela od dnia, w którym zmarł.

– Lub od nocy, w której został zamordowany – mruknął Hal.

Dixie spojrzała na niego, ale w jego twarzy nie zobaczyła niczego. Kamień. Skała.

– Może! – zgodziła się Winnie. – Ale określenie przyczyny zgonu jest waszym zadaniem, nie naszym. My tylko zestawiamy dane.

– W żadnej mierze nie kwestionując naukowej reputacji mojej szanownej koleżanki uwzględniabym jednak i tę możliwość, że grób został naruszony – powiedział profesor. – Osunięcie ziemi, które zagarnęło część płaskowyżu i krawędź skały, zmiękczyło glebę. Nie jest wielce prawdopodobne, ale i nie jest niemożliwe, że ktoś znalazł kości przed kilkoma laty.

Winnie nie odezwała się, była jednak wyraźnie zdegustowana tym, że ktoś podważył jej opinię.

– Zostawmy na razie tę kwestię – powiedział Hal. – Doktor Sheldon i ja mamy tu jeszcze trochę roboty.

– Jeśli ktoś inny zostawił tę monetę – rzekł Hastings – to może chciał skołować tych, którzy znajdują ciało ponownie. Skołować co do wieku...

Hal przyjrzał się studentowi.

– Czemu chciałby nas wprowadzić w błąd?

– Nie wiem! – Hastings wzruszył ramionami. – Taka myśl mi przyszła do głowy.

– No, no! – mruknął Hal. Jego stosunek do tej „myśli” i myśliciela był oczywisty.

Rozmowa urwała się. Troje paleontologów zniknęło. Nie mówiąc nic więcej Hal zabrał się do badania, opisywania i fotografowania grobu. Dixie dzielnie mu pomagała.

Pracowali w niezwyklej harmonii. Dixie już prawie kończyła swoją robotę, gdy stwierdziła, że stali się zgranym zespołem, jakby byli partnerami od wielu lat, nie od paru godzin. Starannie włożyła ostatnią kość do worka i uniosła głowę. Hal uśmiechał się do niej.

– Bawi cię coś? – Otrzeпаła ręce z piasku.

– Ano! – przyznał. – Jesteśmy dobrzy we dwoje w tej robocie, Dixie!

Poczuła, że się czerwieni.

– To brzmi romantycznie. Tymczasem okoliczności nie mają nic wspólnego z romantyzmem.

– Też prawda. – Twarz mu spoważniała. – Muszę wyznać, że zazwyczaj nie kończę randki kucając nad starymi grobami. – Pokazał ręką za krawędź skały. – Popatrz, zaczyna świtać.

Dixie zarumieniła się jeszcze bardziej.

– A więc już po pierwszej randce spędziliśmy ze sobą całą noc.

Spowaźniał jeszcze bardziej, objął ją gorącym spojrzeniem. Dixie wytrzymała jego wzrok przez długą, rozkoszną chwilę. Potem zajęła się workiem ze szczątkami.

– To jakoś nie jest w porządku. Być w dobrym nastroju podczas pracy nad tym biedakiem.

– Może i nie. Ale wydaje mi się, że on nie miałby nic przeciw temu.

Popatrzyła na niego. Miał zamyśloną, niemal rozmarzoną twarz.

– Hal! – zawołała. – O czym myślisz?

– O niczym! – potrząsnął głową. – O przeszłości chyba. .. O jego czasach... O niczym. – Podniósł się. – Chodźmy. Zrobiliśmy wszystko, co można było tu zrobić.

Dixie nie chciała tak łatwo rezygnować z tego tematu, ale zmęczenie dawało im się we znaki, a ona nie miała jeszcze prawa zaglądać do jego duszy. Przyjdzie i na to pora, napomniała sobie. Poczula znowu ukłucie sumienia. Gdzieś tu rodził się konflikt interesów. Będzie musiała uważać, aby skoncentrować się na potrzebach Hattie, a nie jej syna.

Hal, znalazłszy się w obozie, poszedł zobaczyć, co działał jego zastępca. Dixie musiała dopilnować, żeby szczątki umieszczono w namiocie z próbkami, gdzie przeprowadzi później szczegółowe badanie. Pomagała jej Winnie.

– Napijmy się najpierw kawy – powiedziała Winnie i podała jej duży, parujący kubek. – To już rano.

– Wiem! – Dixie z wdzięcznością ją wypila. Roześmiała się. – Jakże mogłabym nie wiedzieć! Każdą robotę z Halem Blanem kończymy razem oglądając wschód słońca.

Winnie uniosła brwi.

– Och! Daj spokój! – zawołała lekarka. – Ja nie to miałam na myśli!

– Szkoda. Zdaje się, że jest z niego kawał mężczyzny.

– Na swój sposób pewnie tak. – Dixie odwróciła się, postawiła kubek na ławce i rzekła: – A teraz zobaczmy, kogo i co tutaj mamy.

Winnie bez oporów porzuciła temat Hala i pośpieszyła Dixie z pomocą, robiąc notatki i pomiary. Lekarka przystąpiła do oględzin szkieletu, nagrywając spostrzeżenia na taśmę. Magnetofon powiesiła na drucie nad stołem.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy skończyły. Mimo wielkiego obiadu, jaki pochłonęła poprzedniego wieczoru, Dixie była słaba z głodu. Winnie wyekspediowała jakąś studentkę po bułki, pączki i kawę. Gdy przybyły smakołyki, obie kobiety rzuciły się na jedzenie.

– No więc – zagadnęła Winnie połykając kęs bułki – co o nim myślisz?

– O Halu?

– Nie! – roześmiała się Winnie. – Zdążyłam zapomnieć już o żywych. Martwi są bardziej interesujący. W końcu to jest mój zawód. Co myślisz o naszym przyjacielu na stole?

Dixie spojrzała na kości. Wzięła wycinki do dalszych badań, ale nie doszła do żadnych nowych wniosków. Jedynym konkretnym szczegółem była mała ołowiana kulka, jaką znalazła w czaszce. Małeńki okrągły otwór, który dostrzegła wcześniej, okazał się

rzeczywiście wlotem pocisku. Ale kawałek metalu nie przypominał żadnej kuli, jaką kiedykolwiek widziała, wystrzelonej czy nie. Miała zamiar poprosić Hala o przesłanie jej do laboratorium kryminalistycznego w Cheyenne w celu dokonania identyfikacji.

– Nie wiem, co myśleć – przyznała. – Był w świetnej formie, jeśli nie liczyć tej kuli w czaszce.

– Szkoda! – Uśmiech Winnie zgasł. – Nikt nigdy się nie dowie, kim był, ani co się z nim stało.

– Został zastrzelony. – Dixie wypila łyk kawy. – Zabity.

– Tak, ale dlaczego? Dixie spojrzała na czaszkę.

– Był wielki. Prawie tak wysoki jak Hal. I prawie w tym samym wieku, na ile mogę coś powiedzieć. Ciekawe, jak wyglądał.

– Chcesz się dowiedzieć?

Dixie popatrzyła na nią z zainteresowaniem.

– Mówię poważnie – oświadczyła Winnie. – Odstawiła kubek z kawą i podeszła do dużej szafy. Otworzyła drzwi i wyjęła kilka pojemników. – Nie dokonujemy wielu rekonstrukcji na miejscu. Ale przechowuję trochę materiału pod ręką, żeby pokazać studentom, jak to się robi w wielkich laboratoriach. – Klepnęła pojemniki. – Nie jestem zbyt dobra w anatomii człowieka. Ludzie są zbyt nowi na ziemi. Lubię naprawdę stare zagadki. Dinozaury są moją pasją. Ale jeśli wzięlibyśmy się do tego razem, z twoją wiedzą o mięśniach, przyczepach, skórze i czym tam jeszcze...

– Moglibyśmy zrekonstruować jego twarz? – Dixie poddała się fali podniecenia. Fali naukowej ciekawości i ekscytacji. – Pokazać, jak wyglądał za życia?

– Dlaczego nie?

– Rzeczywiście, dlaczego nie? – uśmiechnęła się Dixie. – Zobaczę, czy Hal pozwoli nam zatrzymać czaszkę na jakiś czas. Jeśli nie...

– Jeżeli nie... ? Czym się martwisz?

– Niczym. Jeśli będzie miał jakieś zastrzeżenia, zajmę się tym. Gdybyśmy musieli ją gdzieś wysłać, zawsze możemy zrobić odlew, prawda?

– Zrobiłabym go w każdym przypadku. Nie ma sensu ryzykować zniszczenia prawdziwych kości podczas rekonstrukcji. – Otworzyła pojemnik. – Jeśli nie masz nic przeciw temu, to ja już zacznę przygotowywać formę. Używam do tego płynnego lateksu. Pięć lub sześć warstw. Potem wypełniam formę gipsem dentystycznym. Doskonale wchodzi w najmniejsze szparki. Wystarczy raz wykonać odlew, aby uzyskać dokładną replikę oryginału. A potem rozpoczniemy obudowywanie głowy. Przyjedź tu później i pomóż mi przy tym. Co ty na to?

Dixie myślała przez chwilę. Nęciła ją perspektywa odtworzenia wyglądu tego człowieka, choćby tylko w przybliżeniu.

– Zrób to! – powiedziała. – Uzgodnijmy, kiedy się tym zajmiemy. Może w następny weekend?

– Świetnie! Do tego czasu gips stwardnieje na dobre. Będziemy mogły zająć się odtwarzaniem przeszłości.

Dixie uznała, że przedsięwzięcie warte jest poświęcenia mu krótkiego wolnego czasu, jakim dysponowała. A poza tym dawało szansę lepszemu poznania Winnie.

Postanowiła nie mówić o tym Halowi. Dopiero gdy będzie mogła pokazać mu gotową twarz...

Hal Blane rozsiadł się na składanym krześle i przetarł zmęczone oczy. W namiocie było gorąco i duszno. Wypił już kilka litrów świetnej kawy, parzonej tak jak należy, w starym naczyniu nad obozowym ogniskiem – ale nic to nie dało. Był zmęczony do szpiku kości. Otworzył oczy. Ted Travers patrzył na niego.

– Naprawdę masz dosyć, szefie! – powiedział. – Zwijamy się?

– Nie! – Hal założył ręce za głowę i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. Robi się za stary na takie całonocne wybryki. – Jedź do domu. Tu nie ma już wiele do zrobienia.

– Chcesz, żebym posłał do Cheyenne to, co zebrała doktorka? Mogę to zrobić po drodze.

– Nie.

– Ale...

– Nie ma sensu kopać w tym dalej, Ted! Co mamy robić? Śledztwo w sprawie zbrodni popełnionej co najmniej sto lat temu? Przepiszę raport na maszynie i prześlę dalej, ale nie widzę potrzeby wydawania forsy na testy w laboratorium kryminalistycznym.

– Ale... Myślałem...

– Co myślałeś?!

Ted aż się cofnął zaskoczony krzykiem. Tylko parę razy widział szefa w takim stanie, ale wiedział, że kiedy temu wielkiemu facetowi kamienieje twarz, lepiej wiać, gdzie pieprz rośnie, i czekać na poprawę klimatu.

– O niczym nie myślałem! Ma szef rację. Po co odgrzewać stare kłopoty?!

– Nie ma żadnych kłopotów do odgrzewania! – warknął Hal i podszedł do stolika, przy którym robił notatki, gdy Ted składał mu sprawozdanie z rozmów z kopaczami. – Nie ma nawet potrzeby uważać tego za sprawę kryminalną.

– Szefie, ten facet został zastrzelony!

– Tak? – Hal powoli odwrócił się ku zastępcy. – Kiedy? Dlaczego? Może próbował obrabować kogoś, kto poczęstował go ołowiem w nagrodę za wysiłki? Może strzelano w obronie? Może zrobił to stróż prawa? I nie zadał sobie trudu, żeby sporządzić raport. Pamiętaj, że nie jesteśmy daleko od terenów wojny w powiecie Johnson.

Ted nic nie mógł na to powiedzieć.

– A jak moglibyśmy cokolwiek wykryć? Odpowiedz mi na to!

– Chyba nie możemy. – Ted wstał. – Zastrzelony... Jakoś mnie to zaciekało. Chcesz, żebym odwalił trochę papierkowej roboty?

– Zajmę się tym – mruknął Hal bardziej uprzejmym tonem. – Dosyć się narobiłeś. Dziękuję. Wypocznij trochę.

– Bardziej potrzebujesz wypoczynku niż ja. Hal spojrzał na swego zastępcę.

– Już idę! – zawołał Ted. – Już mnie tu nie ma!

Po jego wyjściu Hal opadł na krzeselko. Co, u diabła, się z nim dzieje?! Pokąsał biednego Teda bez żadnego powodu. Facet po prostu myśli. I troszczy się o niego...

Czy panna Esther nie dodała mu jakiejś trucizny do herbaty? Czegoś, co sprawia, że

zachowuje się tak dziwnie?

Nie, do diabła! Ufał starej damie. Bardziej jej, niż większości znanych sobie osób. Była uzdrowicielką, nie trucicielką. Uzdrowicielką!

Jak Dixie Sheldon.

Dixie.

Znów przetarł oczy. Może ona stanowi jego problem.

Myślał o niej przez chwilę. O ich randce. O jej pocałunkach, które wznieciły w nim ogień. O tym, jak spodobała jej się panna Esther. I jak panna Esther polubiła ją...

Jak delikatnie doktor Dixie Sheldon dotykała kości dawno zmarłego człowieka. Z jakim szacunkiem traktowała resztki, które niczego nie czuły.

Jakże dopieszczzone będzie wszystko i wszyscy, których ona pokocha... !

– Hal!

Była w namiocie. U jego boku.

– Dobrze się czujesz?

– O tak! – Otworzył oczy mrużąc je przed światłem. – Właśnie zbierałem myśli.

– W porządku. Winnie i ja skończyłyśmy. Szkielet jest gotów do wysyłki. Jeśli jeszcze zostajesz, to ja przekupuję kogoś, żeby zawiózł mnie do domu. Jestem wykończona. Całe szczęście, że to niedziela i że nie muszę przyjmować pacjentów, prócz nagłych przypadków.

– Zabiorę cię. Jestem już gotów.

– To świetnie. – Podeszła bliżej. – Naprawdę nic ci nie jest?

– Do diabła! Czy wszyscy tu muszą myśleć, że potrzebuję pielęgniarki? Czy wyglądam na kogoś, kto potrzebuje pomocy?

– Tak! – Cofnęła się, skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła ostro na niego. – Wyglądasz, jakbyś właśnie wrócił z piekła. Mówiąc szczerze, Hal, gdybyś był moim pacjentem, wsadziłabym cię na parę dni do łóżka, żebyś mógł wyregulować swój motor.

– Nie potrzebuję tego. Nadrobię zaległości w spaniu i wrócę do normy.

Spojrzała na niego twardo, ale nic nie powiedziała. On dojrzał troskę w jej ślicznej twarzy i jeszcze bardziej od tego osłabł. Była blada ze zmęczenia, a pod błękitnymi oczami widniały ciemne koła. Dla niego jednak wyglądała tak samo pięknie, jak wtedy, gdy zabierał ją na randkę, tak wiele długich godzin temu. Uczucie słabości minęło.

A nawet, gdy tak stał w rozgrzanym namiocie, spierając się z nią, wiedząc, że troszczy się o niego, poczuł się...

Silniejszy. Bardziej energiczny i żywy! Bardzo mocny...

Do licha!

– No, dobrze! – powiedział. Podeszedł do niej i objął ją ramieniem. – Przepraszam za to, że jestem takim utrapionym starym niedźwiedziem. Masz rację. Potrzebuję wypoczynku. Ruszamy w drogę! Im wcześniej wystartujemy, tym szybciej pójdziemy spać.

Dixie podniosła rękę i dotknęła jego czoła. Był wyczerpany, jego policzki były szorstkie od zarostu. Linie twarzy wokół ust i oczu pogłębiły się. W bezlitosnym świetle poranka wyglądał znacznie starzej.

Lecz niewątpliwie był to ciągle mężczyzna panujący nad sytuacją. Mocny i twardy.

– Świetny pomysł. – Uniosła się na palcach i pocałowała go. – Dowiedziałeś się, kto upuścił monetę do grobu?

– Nie. – Objął ją w pasie. – I nie jestem pewien, czy to mnie teraz naprawdę interesuje. I czy kiedykolwiek będzie. Na początku to się wydawało ważne. Ale nie teraz. Zareagowałem, jakby to było prawdziwe miejsce zbrodni.

Dixie uniosła brwi w zdziwieniu, ale nie powiedziała nic.

Pocałowała go jeszcze raz.

A on nadal czuł się wprost świetnie.

Dixie zdrzemnęła się podczas jazdy. Ani kofeina, ani podniecenie odkryciem, ani wyzwanie, jakie rzucała im stuletnia zagadka, ani nawet przyjemność całowania Hala Blane'a nie były w stanie powstrzymać jej przed zaśnięciem. Mogła zamknąć oczy, bo czuła się bezpieczna. Czuła się bezpiecznie z Halem za kierownicą, nawet jeśli był on wykończony. Gderliwy, brudny, zmęczony Hal sprawiał, że czuła się tak dobrze...

Dojechali do domu bez kłopotów. Zatrzymał się przed alejką. Dixie wyprostowała się i przetarła powieki.

– Niezbyt doskonała randka – powiedział. – Następnym razem bardziej się postaram.

– Było świetnie – uśmiechnęła się. – Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tyle mi się przydarzyło w ciągu dwudziestu czterech godzin. Odpowiedział jej uśmiechem.

– Jesteś bardzo tolerancyjną damą. Bardzo piękną damą.

– Spowaźniał. – W następny weekend przypada na mnie dyżur, więc nie wybierzemy się nigdzie razem, ale...

– Hal! – Położyła dłoń na jego ramieniu. – We wtorek zaczynam spotykać się z twoją matką. Zobaczmy, jak to pójdzie, zanim zaczniemy cokolwiek planować.

– Co to ma znaczyć?

– Tylko... Nie wiem. Nie czuję się dobrze mieszając sprawy zawodowe z osobistymi.

– Dlaczego?

– Ja...

– Czy myślisz, że jestem jakoś odpowiedzialny za stan mamy? Że to moja wina?

– Jeszcze nie mogę na to odpowiedzieć z absolutną pewnością. – Dixie nie spuszczała z niego wzroku.

– Co to wszystko znaczy? Jaja w to wepchnąłem?

– Jesteś częścią jej rodziny, nie sądzisz?

– Sądzę, że ta cała psychologia jest tyle warta, ile koński nawóz. Im szybciej ją zawiozę do Salt Lake, tym lepiej.

– Zgadzam się. I zamówię wizytę u kardiologa. Pod warunkiem, że Hattie się zgodzi.

– A co do tego ma jej zgoda?! Ona...

– To jest jej zdrowie, Hal! Nie twoje! Ona może sama podejmować decyzje.

– Ale ja jestem odpowiedzialny... – Wziął się w garść.

– Masz rację. Ale ja...

Uśmiechnęła się i podeszła bliżej.

– Nie bierz na siebie odpowiedzialności za cały świat. Za wielka robota. Chodź tu, Hal!

Pocałuj mnie i jedź do domu. Nie mów nic. Jesteś w wybuchowym nastroju, a ja nie chcę, aby nasza pierwsza randka skończyła się złym akordem. – Jej usta dotknęły jego warg.

– Czemu nie? – zamruczał. – Klótnie bardzo dobrze nam wychodzą.

– Lubisz dobrą walkę, prawda? – wyszeptała zdyszonym głosem.

– Hmm! – Wyprostował się w fotelu. – Nigdy nie przegapiłem żadnej okazji.

– To dlaczego lekceważysz tę dziesięciocentówkę? Ten szkielet? Widziałeś dziurę w czaszce. Chcę wiedzieć, co to za broń...

– Dixie! To już historia!

– Więc?

– Więc nie będę marnował swojego czasu i publicznych pieniędzy na śledztwo.

– O!

– Nie bądź taka rozczarowana! To, co się tam zdarzyło, należy do zbyt odległej przeszłości, aby mogła coś dla nas znaczyć.

– Dla nas? Czy dla ciebie?

– Wiesz przecież o co mi chodzi. Nie łap mnie za słówka!

– Czemu nie? Wydaje mi się, że jest to jedyny sposób na zwrócenie twojej uwagi.

– Nieprawda! Masz inne sposoby, doktor Sheldon. Inne sposoby, które są znacznie przyjemniejsze. – Przyciągnął ją do siebie i udowodnił jej to pocałunkiem, który trwał przez jakiś czas.

W końcu Hal odjechał do domu, sam, Dixie zaś poszła do łóżka. Mógł sobie nie chcieć nic robić z tym szkieletem, ale ona i Winnie zrealizują swoje plany. Miała przeczucie, że nie będzie to strata czasu.

W poniedziałek przyjmowała pacjentów, z których większość zgłaszała drobne dolegliwości w dzień roboczy, zamiast niepokoić ją w niedzielę. Wzięła się też za stertę papierów i z pomocą Frań uporała się z tą biurokratyczną robotą do szóstej.

Nie miała wolnej chwili, ale bez przerwy myślała o Halu Blane. Najwidoczniej też był zapracowany, bo nie dał żadnego znaku życia.

Zdziwiło ją to milczenie. Była pewna, że będzie jej potrzebował przy sporządzaniu raportu. Mimo tego, co powiedział o marnowaniu pieniędzy podatników, musi sporządzić meldunek i zorganizować pogrzeb. Pewnie się nie śpieszy. Bo i nie ma po co. Sprawiedliwość nie czekała na rozwiązanie zagadki starych kości i ołowiu. Jedynie ciekawość.

Opowiedziała Frań o ich odkryciu.

– Ależ to niesamowite! – zawołała pielęgniarka. – Znaleźć szkielet w górach w środku nocy!

– To nic niesamowitego! To wprost fascynujące! Kopacze są chyba przyzwyczajeni do szkieletów. Tyle, że ten należał do człowieka.

– Tutejsza ziemia chowa ich prawdopodobnie znacznie więcej – powiedziała Frań. – Kiedyś były to bardzo niespokojne tereny.

– Myślisz o czasach, gdy panowały dinozaury?

– Nie! – Frań się nie uśmiechnęła. – Mówię o całkiem niedawnej przeszłości. No,

pomyśl! Z urodzenia i wychowania jesteś dziewczyną ze stanu Wyoming, nawet jeśli tylko z południa, z kampusu uniwersyteckiego. Znasz przecież historię.

– Hodowcy bydła i owczarze? Najemni rewolwerowcy? Wojny o granice? Wojny z Indianami? Wojny o kopalnie złota? – Dixie westchnęła. – Pamiętam. Dzięki Bogu te dni już minęły, a my prowadzimy bardziej pokojowe życie.

– Może one i minęły – powiedziała Frań. – Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to niektóre typy tylko czekają, żeby wstąpić na ścieżkę wojenną.

– Ależ, Frań! Nie wiedziałam, że jesteś taką cyniczką w ocenie natury człowieka.

– Jestem. I ty też powinnaś być.

– Dobrze! – zaśmiała się Dixie. – Co byś powiedziała, gdybym zaprosiła cię na obiad do Sala w rewanżu za pracę nad tymi sprawozdaniami?

– Załatwione, szefowo! – zawołała z entuzjazmem starsza pani.

Sal zamykał restaurację na niedzielę. Wraz z Ettą przygotowywał wówczas ekstra gulasz na poniedziałek. Restauracja była pełna.

Znalazły stolik w głębi lokalu, ale dzieliły go z inną parą spóźnialskich. Dixie nie знаła tego małżeństwa, Frań dokonała więc prezentacji.

– Reed i Lola mieszkają w Seaside od wielu lat – powiedziała. – Sprowadzili się tu z Denver.

– Byłem księgowym. Teraz jestem historykiem amatorem – przedstawił się Reed Turner. Na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji. – Chcę dokładnie opisać to, co się zdarzyło w burzliwej przeszłości tego regionu.

– Naprawdę? – Dixie poskromiła ziewanie. Nie nudziła się w tym towarzystwie, lecz odczuwała ciągle skutki burzliwego weekendu. – Skąd to można dokładnie wiedzieć?

– Reed może – oświadczyła Lola. – Wszyscy starsi ludzie pozwalają mi zaglądać do rodzinnej korespondencji, dzienników, fotografii, pamiątek... I innych tego rodzaju rzeczy.

– Do wszystkich papierów rodzinnych – stwierdził Reed. – Historia czeka tu w ukryciu na człowieka z głową na karku i cierpliwością niezbędną do takich poszukiwań.

– Dixie znalazła trochę historii na płaskowyżu – powiedziała Frań. – Zwłoki.

Oboje Turnerowie zakrztusili się.

– To nie ja znalazłam – szybko wyjaśniła Dixie. – To paleontolodzy. I nie były to zwłoki. Tylko kości.

– Ludzkie? – Chciał wiedzieć Reed. Dixie skinęła głową.

– Mój Boże! – zawołała Lola. – Kto to?

– Nie mamy pojęcia – Dixie wzruszyła ramionami. – I nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek się dowiedzieli.

Temat został wyczerpany, ale Dixie ujrzała wyraźny błysk zainteresowania w oczach Reeda Turnera.

Hattie Blane stawiała na stole obiad dla wnuka i syna. Słodki, drożdżowy zapach wypieków wypełniał kuchnię i apetycznie mieszał się z soczystymi oparami pieczeni.

– Genialnie pachnie, babciu! – oświadczył Artie. Przyciągnął krzesło do stołu i sięgnął po

świeżą bułkę. – Jeszcze lepiej niż zwykle.

– Dziękuję! – uśmiechnęła się Hattie. – Hal, chcesz bułkę z masłem?

Hal nie odpowiedział. Nadal łamał bułkę na drobne kawałki.

– Hal!

– Tatusiu! Tu Ziemia. Tu Ziemia. Wzywam tatusia!

– He? – Hal ocknął się z zadumy. – Przepraszam. Zamyśliłem się.

Artie nalał sobie mleka.

– Nad tym szkieletem?

– Jakim szkieletem? – Hattie usiadła i wzięła talerz do ręki. – Znowu ktoś zabija bydło?

Mam nadzieję, że nie. Jestem od tego chora.

– To szkielec człowieka! – poinformował ją Artie. – W dodatku znaleziony na naszej ziemi.

– Naszej... – Widelec Hattie zadzwonił o talerz. – Jakiej naszej?

– Artie, do diabła, skąd wiesz o tym?!

– Halu Blane! Nie kluj przy tym stole! – syknęła matka. – Artie, co to za szkielec na naszej ziemi?

– Nie, nic... – Artie wycofał się. Hattie spojrzała na syna.

– W takim razie ty mi powiesz.

– Nie mam nic do opowiadania. – Hal utkwiał wzrok w talerzu. – Artie już wszystko powiedział. Paleontolodzy natrafili na stary grób na skraju płaskowyżu. I tyle.

– Na płaskowyżu? Na dawnych ziemiach Kedricków?

– Chyba tak.

– Chyba tak? Synu, ty znasz każdą piędź tej ziemi! Nie rzucaj mi tu żadnych „chyba”!

– Mamusiu, uspokój się!

– Babciu, to nic ważnego...

– Kto to był? – Hattie zapytała spokojnie, ale różowe plamy wykwitły na jej policzkach.

– My nie...

– Kto? – Podniosła się zza stołu. – Hal, musisz się dowiedzieć!

– Mamo, ja...

– Babciu, o co chodzi? – Artie wstał i ujął jej rękę. – Źle się czujesz?

– Tak. – Hattie spojrzała na syna. – Bo twój ojciec ignoruje i odmawia... – Położyła dłoń na piersi i usiadła gwałtownie.

– Babciu!

Hal zerwał się przewracając krzesło.

– Dzwonię po doktorkę.

– Idę do niej jutro – oznajmiła Hattie zdecydowanym tonem. – Nie waż się niepokoić jej teraz.

Hal przeszedł przez kuchnię do telefonu i podniósł słuchawkę. Wystukał numery.

– Haroldzie! Nie... – Hattie przerwała. Cicho krzyknęła z bólu. – Tato! – zawołał Artie, ściskając ramiona babci. – Pomóż! Ona ma chyba atak serca.

Hal potrząsnął słuchawką.

– No, dalej! Dixie! Odezwij się, do diabła!

Sygnal przywoławczy dotarł do Dixie, gdy wracała z restauracji do biura. Frań poszła do domu, ona zaś chciała przed powrotem uporządkować parę spraw. Usłyszawszy brzęczek przyśpieszyła kroku, otworzyła drzwi i dopadła telefonu, który jeszcze dzwonił.

– Tu doktor Sheldon – powiedziała. – Co się stało?

– Dixie! Moja mama dostała ataku serca.

– Hal?

– Moja mama...

– Jesteś w domu?

– Tak! Ja...

– Co dokładnie się stało? Opisz mi objawy. Wysłuchała go z uwagą. A potem usłyszała w słuchawce, jak Hattie marudzi, zakazuje mu niepokoić lekarkę i mówi, że jest tylko zdenerwowana.

Bardzo zdenerwowana, stwierdziła Dixie wsłuchując się w jej głos. Ale nie cierpiąca na nic, co przypominałoby atak serca. Tylko frustracja i – prawdopodobnie – złość. Dixie poczuła, jak ogarnia ją fala ulgi.

– Hal! – powiedziała. – Zaraz tam będę. Ale nie sądzę, żebyś miał powody do obaw. Każ mamie się położyć. Powiedz jej, że i tak chciałam zajrzeć do niej w drodze do domu.

– A chciałaś?

– Hal! To ją uspokoi. Na tym nam przecież zależy, prawda?

– Jasne! – Cisza. – Dixie?

– Tak?

– Dziękuję!

– Nie ma sprawy. To mój obowiązek. Do zobaczenia za kilka minut!

Kiedy zatrzymała się przed domem Blane'ów, wypadł z niego z trzaskiem młody człowiek. Złapał klamkę drzwi wozu i otworzył je szeroko.

– Szybciej! – zawołał. – Ona jest w salonie. Niech się pani pośpieszy!

– Jesteś Artie? – Był kopia ojca. Chudy jak tyka, wysoki i młody, ale już naznaczony wizerunkiem Hala Blane'a. Od kędzierzawych włosów do wielkich stóp.

– Tak jest, proszę pani! Szybciej!

– Już jestem. Możesz się uspokoić, dobrze? – Dixie uśmiechnęła się i dotknęła ramienia chłopca.

– W porządku! – odpowiedział jej wåtłym, pełnym niepokoju uśmiechem. Z trudem przełknął ślinę. Jego wydatne jabłko Adama skoczyło pod napiętą skórą. – Moja babcia...

– Twojej babci nic nie będzie. – Dixie poszła chodnikiem, stanęła w drzwiach i weszła do środka.

Było to zwyczajne, proste mieszkanie. Drzwi prowadziły bezpośrednio do pokoju. Prostokątny kawałek plastyku leżał na podłodze u wejścia, chroniąc dywan przed szybkim wytarciem. Wnętrze urządzone na zielono, szaro i pomarańczowo. Pod ścianami stały ciemne meble, bardziej niż trochę zużyte. Przeżyły pewno więcej niż jedno pokolenie właścicieli. Wszędzie wisiały zdjęcia rodzinne.

Hattie leżała na sofie. Nie wyglądała dobrze. Była zagniewana. Hal siedział spięty na krześle obok niej, trzymał jej rękę i gładził kojąco.

Przynajmniej tak mu się zdawało. Z punktu widzenia Dixie wyglądało to bowiem, jakby miażdżył kruche kości Hattie.

– Dobry wieczór, Hal! – powitała go. – Sytuacja opanowana, tak?

Posłał jej wdzięczne spojrzenie i puścił rękę matki.

– Dziękuję, że przyjechałaś tak szybko – powiedział. Wstał z krzesła i odsunął się. – Boli ją jeszcze, ale mówi, że czuje się mocniejsza.

– Co się stało, Hattie? – zapytała lekarka, siadając przy niej. – Trochę za wiele napięć?

– Ten idiota... Ten mój syn... – Twarz Hattie pociemniała.

– Mamo! – przerwał jej Hal. – To nie była...

– Była, tatusiu! – wtrącił Artie. – Ty byłeś... Dixie odwróciła się do nich.

– Hal! Idź z Artim do kuchni, albo gdzie indziej. Pozwólcie nam porozmawiać.

Obaj zamruczeli pod nosem, kiwnęli głowami i wyszli z pokoju. Usłyszała, jak narzekają pod nosem w korytarzu. Hattie zamknęła oczy i westchnęła z wyraźną ulgą.

– W porządku! – cicho zaśmiała się Dbrrie. – Niech mi teraz pani opowie o wszystkim.

Hattie usiadła. Podniosła rękę do piersi, ale nie wykazywała oznak fizycznego bólu.

– Ten idiota, ten mój syn nie przeprowadzi śledztwa w sprawie szkieletu znalezionego na ziemi Kedricków.

– Też tak mi się zdaje. Powiedział mi to w niedzielę.

– Ale czemu nie? – Czoło Hattie zmarszczyło się. Dixie wzruszyła ramionami.

– Mówi, że nie ma sensu. Chyba ma rację.

– Ale... – Hattie zacisnęła obie dłonie. – Przypuśćmy, że to jest...

– Co mamy przypuszczać?

– Nie wiem – Hattie potrząsnęła głową. – Naprawdę nie wiem, czemu tak się zdenerwowałam. Chyba wydaje mi się, że to mógłby być ktoś zamordowany przez moich przodków, albo...

– Skąd to pani przyszło do głowy?!

– To byli źli ludzie. – Hattie spojrzała jej w oczy. – Pochodzę ze złej rodziny, pani doktor. My wszyscy jesteśmy ze skazą.

– Hattie, pani nie mówi tego poważnie.

– Jak najpoważniej! Jak najpoważniej! Czy wie pani, że jeden z moich przodków został powieszony w Anglii? A mój dziadek też był rabusiem i zabójcą. – Jej głos wznosił się coraz wyżej, aż przeszedł w jęklive zawodzenie. Była przerażona.

Dixie pomyślała, że ta sprawa wyszłaby później, w toku leczenia. Na szczęście napięcie rodzinnej kłótni wydobyło ją na powierzchnię.

– Co się stało z dziadkiem?

– On... – Jej twarz zdawała się kurczyć. – On był złym człowiekiem, pani doktor!

– Nie mógł być zupełnie zły.

Hattie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Stał się jakąś częścią pani, Hala i Artiego – uśmiechnęła się Dixie. – Wy wszyscy

jesteście dobrymi ludźmi.

Hattie odwróciła wzrok.

– Staramy się jak możemy.

– To widzę. – Dixie wyjęła strzykawkę z torby. – Niech pani posłucha. Wiem, że jest pani zdenerwowana i zmęczona. Wiem, że chciałaby się pani odprężyć, więc dam pani zastrzyk. On na pewno nie uśpi, ale pomoże pani wypocząć. A na pewno zmniejszy ucisk w klatce piersiowej.

– Ja nie mam ataku serca – stwierdziła Hattie.

– Wiem o tym. – Dixie zrobiła zastrzyk. – I rozumiem panią. To się zdarzyło z powodu napięcia nerwowego. Z żadnego innego. – Uspokajająco poklepała kobietę po plecach. – Ciągłe ma pani zamiar odwiedzić mnie jutro rano?

– Tak! – uśmiechnęła się Hattie. – Piekłam dzisiaj!

– Pięknie pachnie! Hattie zsunęła stopy z sofy.

– Niech pani weźmie pieczywo teraz. Będzie świeższe. I zje pani już je na śniadanie.

– Świetnie! – Pomogła wstać pacjentce. – Jak się pani czuje?

– Lepiej. – Hattie odetchnęła głęboko. – Jestem trochę zamroczone, ale przychodzę do siebie. W piersiach mnie już nie boli.

– To dobrze.

Hattie z lekarką u boku powoli przeszła przez korytarz. Hal i Artie czekali w kuchni.

Na ich widok Dixie omal nie parsknęła śmiechem. Obaj mieli ramiona splecione na piersiach, opierali się o stół i miotali wściekłe spojrzenia, ale troska o Hattie malowała się na ich twarzach.

Zupełnie jakby patrzyła na niemal identycznych bliźniaków, oddzielonych od siebie o jedno pokolenie.

– No więc? – warknął Hal – Co się dzieje?

– Babciu, chcesz usiąść? – Artie zakrzętnął się i podał krzesło.

– Czuję się dobrze – powiedziała Hattie. Oparła się na ramieniu lekarki.

Hal zacisnął dłoń na oparciu krzesła.

– Usiądź, mamusiu! Dixie, co jest mamie? Czy będzie zdrowa?

– Hattie czuje się dobrze. Ale może byście usiedli? Porozmawiamy, co zrobić, żeby nadal była zdrowa.

Z medycznego punktu widzenia było to bardzo interesujące. Z osobistego – niepokojące.

Jako lekarz cieszyła się z poprawy stanu pacjentki. Jako kobieta bała się następstw sytuacji, w jakiej się znalazła.

Czuła się związana z rodziną Blane'ów zarówno profesjonalnie, jak i prywatnie. Konflikt interesów? Nie wątpiła w to teraz.

Zastanawiała się jedynie, czy miał on znaczenie. Czy w miejscowości o rozmiarach Seaside, z tak małą liczbą mieszkańców, nie była z góry skazana na konflikt? I czy znaczył on cokolwiek, jeśli za trzy lata miała stąd wyjechać?

Może tak, a może nie.

Siedzieli przy kuchennym stole z resztkami nie zjedzonego obiadu przed sobą. Dbcie zauważyła, że Hattie z niesmakiem obejrzała ten bałagan, ale nie wzięła się za sprzątanie. Mężczyźni byli ślepi na nieporządek. Martwili się tylko o Hattie.

To mogło pomóc.

Artie odezwał się pierwszy:

– Myśleliśmy babciu, że umierasz... To znaczy, zdawało się nam... – Błysk wilgoci w oczach mówił wymownie o jego uczuciach. – Nie chcę, żeby cię tak bolało.

– Nie martw się – Hattie uśmiechnęła się do wnuka. – Już mnie nie boli. Mały ból w piersiach nie potrafi wpędzić mnie do grobu.

– Mamo! Nie żartuj na ten temat – powiedział Hal.

– Czemu nie? – spytała Dixie. – Humor uzdrawia. Poza tym pani Blane nie groziło niebezpieczeństwo. Była to tylko dolegliwość. A my chcemy nauczyć się unikać takich sytuacji, prawda? – Przerwała, spoglądając na każde z nich. – Żeby nie stało się to groźne.

– A więc to może być niebezpieczne? – Hal odsunął talerz i oparł się łokciami o stół. – To nam chcesz powiedzieć?

Dixie nie odpowiedziała mu, lecz zwróciła się do Hattie:

– Czy lubi pan źle się czuć?

– Jasne, że nie! – odparła pani Blane. – Jestem wtedy bezużyteczna.

– A więc... – Dixie wzięła głęboki oddech. – Co spowodowało dzisiejsze kłopoty?

Cała trójka zaczęła mówić jednocześnie. Padły oskarżenia, eksplodowały namiętności. Dixie ledwo ich uciszyła.

Uczyniła wszystko, żeby osiągnąć kompromis. W rezultacie Hal niechętnie zgodził się zrobić coś w sprawie szkieletu, znalezionej na ziemi, która w przeszłości należała do jego rodziny. Hattie zgodziła się nie poganiać go w tej sprawie, a nawet nie snuć żadnych domysłów, odwiedzać panią doktor, a także pojechać do specjalisty w Salt Lake.

– Ale pamiętajcie, że tego nie chcę – oświadczyła. – Ufam diagnozie doktor Sheldon. Ale jeśli ma to poprawić twoje samopoczucie, synu, to pojedę.

– Babciu! – zawołał Artie. – To jest nie tylko prośba ojca. Ja też chcę wiedzieć, czy twoje serce jest w porządku. Musi zobaczyć cię specjalista, bez względu na to, jak dobra jest doktor

Sheldon.

Dixie zauważyła, że Hal spojrział na syna zaskoczony, jakby chłopiec nagle pozieleniał albo rozpiął skrzydła. Ciekawe, kiedy Artie Blane ostatni raz przyznał ojcu rację.

Zwłaszcza w jego obecności.

Czekała, zastanawiając się, co dzieje się między ojcem a synem.

– Przeczytałem kiedyś coś tam o sercu – ciągnął Artie. – Powinnaś pójść do kontroli, tak czy siak. Z powodu wieku i w ogóle. – Spojrzał zawstydzony na Dixie. – Mam rację, pani doktor?

– Oczywiście! – odparła. – Taka też była moja rada.

– No, to w porządku! – oznajmiła Hattie. – Załatwione. Zrobię to. A teraz, chłopcy, może byście zjedli obiad? Zaraz go podgrzeję. – Zaczęła wstawać, lecz nagle uchwyciła się krawędzi stołu. – Och! – zawołała cicho. – Ale jestem słaba!

Hal i Artie krzyknęli coś równocześnie i zerwali się. Dixie powstrzymała ich gestem.

– To zastryk, który jej dałam – wyjaśniła. – Odprężyla się wreszcie. Żadnego gotowania, Hattie! Pora położyć się. Myślę, że chłopcy potrafią sami zatroszczyć się o obiad.

– Nie jestem pewna – powiedziała Hattie. Ale uśmiechała się.

Dixie pomogła pacjentce pójść do pokoju i położyć się. Gdy Hattie zapadła w sen, dziewczyna zgasiła światło i wróciła do kuchni.

Była już wysprzątana. Artie zniknął. Hal, znów skrzyżowawszy ramiona na piersi, czekał przy stole. Jego twarz pozbawiona była wyrazu. Dixie wiedziała jednak, że złość w nim kipi.

– Matka czuje się dobrze – powiedziała i usiadła. – Zasypia.

– Dziękuję ci! – Opuścił ramiona i położył wielkie dłonie na stole. – Wdzięczny jestem za tę wizytę domową.

– To normalna rzecz w życiu wiejskiego lekarza.

– Ale nie jestem wdzięczny za wykorzystanie tej sytuacji do osiągnięcia własnych celów.

– Przepraszam bardzo! – Dixie pochyliła się ku niemu. – Nie rozumiem.

– Daj spokój, Dixie! Chciałaś przecież mnie zmusić do posłania tych próbek do Cheyenne. Tych wycinków z kości i ołowiu. Ty i Winnie umieracie z ciekawości. A teraz przeciągnęłyście mamę na swoją stronę i...

– Przestań! – Dixie wstała. – Nigdy nie rozmawiałam z twoją matką na ten temat. To ona go podjęła.

– Wiem o tym. Ale nie namówiłaś jej, żeby to zostawiła w spokoju, prawda?

Dixie demonstracyjnie skrzyżowała ręce na piersi.

– Czemu miałabym to robić? To miało dla niej duże znaczenie.

– Ona ci ufa. Lubi cię. Powinnaś ją przekonać. Tego było już za wiele!

– Panie Blane! Nie wiem, kim lub czym jestem w twoich oczach, ale powiem ci, że na pierwszym miejscu zawsze stawiać będę dobro moich pacjentów. Zawsze! Zwłaszcza przed blachą ciekawością co do starego kościotrupa!

Oparła się dłońmi o stół i pochyliła do przodu. Jej twarz znalazła się zaledwie o kilka centymetrów od twarzy Hala.

– A zwłaszcza przed zmiennym, wybuchowym mężczyzną, do którego przez bardzo

krótki czas odczuwałam niewytłumaczalny pociąg. Od tej pory, jeśli się spotkamy, to jedynie na płaszczyźnie zawodowej. Mam nadzieję, że przyjmiesz z zadowoleniem fakt, że moje osobiste zaangażowanie w tę sprawę wygasło.

Odwróciła się i wyszła z kuchni, z korytarza, z tego domu. Usłyszała, jak krzyknął w ślad za nią, ale nie zatrzymała się.

Jadąc do domu, kipiąc jeszcze z wściekłości, postanowiła jak najszybciej zacząć z Winnie modelowanie twarzy zabitego.

To dopiero rozwścieczy szeryfa Hala Blane'a!

I dobrze to zrobi temu zajętemu sobą, nieczulemu mężczyźnie! Może znieść wiele z tego, co Hal ma w repertuarze, ale ten atak na jej profesjonalną uczciwość przekroczył wszelkie granice. Oskarżył ją o manipulowanie pacjentką w celu osiągnięcia własnych, błahych celów. Dixie Sheldon nie będzie tolerować takiego postępowania!

Lecz dlaczego nie może powstrzymać płaczu?! Łez przegranej. Łez frustracji. Łez za czymś, co mogło być...

Sporo czasu minęło w tę poniedziałkową noc, zanim zdołała zasnąć.

Hattie zjawiała się w przychodni we wtorek rano. Lekarka i pacjentka niewiele mówiły o wczorajszym wieczorze. Najwyraźniej postanowiły też nie wspominać o szeryfie. Dixie skłoniła Hattie do opowiadania o dzieciństwie na rodzinnym rancho, miłości do ziemi – odziedziczonej przez syna – i małżeństwie z ojcem Hala.

– Frank był dobrym człowiekiem – oświadczyła Hattie. – Oczywiście, miał gwałtowny charakter, ale był dobry i miły.

– Niech mi pani opowie o jego wybuchowości. Czy miała pani z tego powodu kłopoty?

– Nie, naprawdę! – Hattie szeroko otworzyła oczy. – Nigdy mnie nie uderzył, ani nie ukarał Hala w złości. – Mówiła głosem tak spokojnym i pewnym, że Dixie uwierzyła jej bez wahania. – Kochał nas, dbał o nas, naprawdę. Ale miał w sobie furie, która wybuchała, gdy widział niesprawiedliwość wyrządzaną człowiekowi czy niewinnemu zwierzęciu.

– Czy uderzył kogoś?

Hattie uciekła spojrzeniem w bok.

– Dobrze! Pomówmy w takim razie o...

– Zabił człowieka – wyszeptała Hattie.

Dixie poczuła zimny dreszcz na plecach. Czekwała.

– To zdarzyło się dawno temu, w czasach mojej młodości. Jeszcze przed naszym ślubem. Pracował u mojego ojca.

Hattie opowiedziała, jak inny pracownik rancho próbował ją zgwałcić i jak Frank Blane dosłownie zatłukł go na śmierć.

– Frank był wielki i silny. Tamten też, ale Frank miał w sobie tę furie – powiedziała Hattie. Jej głos załamywał się z napięcia, ale w oczach pojawiło się rozmarzenie. – Frank uderzył tylko dwa razy, ale tamten upadł i złamał sobie kark. Szeryf uznał to za wypadek, więc Franka nie oskarżono. Dixie odchrząknęła.

– Zabójstwo nie jest niczym dobrym. Wygląda jednak na to, że działał w słusznej sprawie. A śmierć nastąpiła przypadkowo. Nie mógł wiedzieć, że tamten tak upadnie.

Hattie nie odpowiedziała.

– Wyszłaś za niego. Musiałaś go bardzo kochać, mimo tego, co się zdarzyło.

– O tak! Bardzo! – Hattie spojrzała na swoje dłonie, na ciasno splecione palce. – Ale wie pani? Ja martwię się o Hala i Artiego. Oni mają w sobie krew zabójców z obu stron – mojej i Franka. A robota, którą Hal wykonuje? Myślę, że to tylko kwestia czasu, zanim i on kogoś zabije.

Dixie nie mogła temu zaprzeczyć. Logika Hattie, choć zagmatwana, była nie do odparcia. Pani Blane musi nauczyć się z tym żyć. Zamiast przekonywać pacjentkę o niesłuszności tego wniosku skierowała rozmowę na przyjemniejsze tematy. Z daleka omijające Hala.

Okazało się to niezbyt trudne. Gdy starsza pani opowiadała, Dixie dostrzegała w niej siłę, prawość, a nawet pewne poczucie humoru. Te właśnie czynniki chciała wzmocnić. Hattie bez wahania poddała się pozytywnej terapii słów i Dixie z optymizmem oceniała perspektywy leczenia.

– Artie jest dobrym chłopcem – Hattie przez chwilę opowiadała o wnuku. – Nie miał kłopotów w szkole, znalazł dobrych przyjaciół. Ale cały czas kłóci się z ojcem. Buntuje się. Mnie się jednak z nim udaje. To myślący, wrażliwy chłopak. Wykonuje swoje obowiązki bez przypominania i jest dobrym towarzyszem, jeśli ma na to ochotę. Jest sprytny.

– Mogę to potwierdzić – wtrąciła Dixie. – A bunt jest czymś zupełnie normalnym u chłopców w tym wieku. Byłabym bardziej zaniepokojona, gdyby nie wykazywał pewnego krytycyzmu wobec autorytetu ojca. Hattie roześmiała się.

– W takim razie nie musi się pani martwić. Pod tym względem jest po prostu świetny.

Pod koniec rozmowy Hattie raz jeszcze wspomniała o Halu.

– Wydaje mi się, że czuje się naprawdę źle po tym wszystkim, co się wczoraj zdarzyło – powiedziała. – Miał straszną chandrę przy śniadaniu. Gdy spytałam, co mu się stało, odpowiedział, że to nie ma nic wspólnego ze mną. W takim razie musiało mu chodzić o panią. Czy pokłóciliście się, gdy poszłam spać?

– Hattie, niech się pani nie martwi o Hala. To już duży chłopiec. Ma prawo do różnych nastrojów.

– On panią lubi.

Dixie zignorowała tę uwagę.

– Umówiłam panią z doktor Becker w środę za dwa tygodnie. – Wręczyła jej notatkę. – Proszę dać to Halowi, żeby wiedział, kiedy ma panią zawieźć do Salt Lake.

– Jest pani wściekła na niego. Dlaczego?

– Hattie, jesteśmy tutaj z innego powodu. To, co czuję do Hala, nie ma nic wspólnego z panią. Ja jestem panią lekarką. – Dixie wstała. – Chleb był znakomity. Zjadłam prawie pół bochenka z dżemem malinowym, który mi babcia przysłała w zeszłym miesiącu. Czekam na panią za tydzień.

– Przyjdę.

– Do tego czasu niech pani próbuje myśleć o czymś przyjemnym i nie martwić się problemami innych. A przede wszystkim nie martwić się kłopotami, zanim się przytrafią.

– Nawet jeśli to są sprawy mojej rodziny? – uśmiechnęła się.

– Przede wszystkim wtedy.

Wtorek minął zgodnie z oczekiwaniami i harmonogramem zajęć. Zdarzył się tylko jeden niepokojący moment. W poczcie znalazła list od dyrektora wiejskiej służby zdrowia w Cheyenne. Zaadresowany do małych przychodni i szpitali stanu, informował personel o trudnej sytuacji finansowej. Zalecał lekarzom, siostram i felczerom wprowadzenie maksymalnych oszczędności. Dixie odsunęła list. Kłopoty finansowe w służbie zdrowia. Czy kiedyś się skończą?!

Frań potraktowała list jako posunięcie polityczne.

– Nasz wydział popada w kłopoty, gdy tylko nadchodzi rok wyborów. Powinna pani doktor wiedzieć o tym z uniwersytetu.

– Faktycznie... – Dixie zrobiła kwaśną minę. – Moi rodzice stale walczą o budżet z administracją i władzami stanowymi. Po prostu nie oczekiwałam tego tutaj.

– Jak mówiłam, musi pani doktor rozwinąć w sobie obronny cynizm – zażartowała siostra.

– Chyba tak.

Powróciła do studiowania budżetu przyznanego powiatowi SeaLake i rozmyślała nad możliwymi cięciami. Nie była to sprawa najwyższej rangi.

O nich starała się nie myśleć.

Bardzo późną nocą, kiedy próbowała zasnąć, zdarzyło się coś, co zmieniło, i to radykalnie, jej życie.

Wieczór był ciepły, pozostawiła więc okno sypialni otwarte. Zasypiając powoli, usłyszała śpiew.

Męski głos. Głęboki, huczący, słodki głos. Łagodny i delikatny, ale silny... Potężny.

Zdziwiona usiadła w łóżku. Hal Blane stał tuż pod jej oknem, grał na gitarze i śpiewał serenadę! Jej ciało zadrżało. Zawirowały myśli. Serce rozpoczęło głośny taniec w rytm muzyki.

– „Zaśpiewam ci o miłości, która wszystko zwycięża...”

Dixie wstała, narzuciła stary, bawełniany szlafrok i podeszła do okna. Siedział na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami, w księżycowym blasku. W dżinsach i białej koszuli. Bez munduru, bez gwiazdy, bez colta, bez kowbojskich butów. Na bosych stopach miał mokasyny.

– Hal!

– Dobry wieczór, Dixie, kochanie ty moje! – uśmiechnął się do niej. – Jak się masz w tę cudną noc?

– Jesteś pijany, Halu Blane?

– Jestem trzeźwy! – Brzdęknał w struny. – No, niezupełnie trzeźwy. Muszę przyznać, że strzeliłem sobie whisky dla odwagi, żeby tu przyjść i pośpiewać. – Zagrał wysoką nutę. – Zazwyczaj nie urządzam damom serenad. Prawdę mówiąc, nigdy im niczego nie urządzam.

Dixie oparła łokcie na parapecie okiennym.

– A co zazwyczaj robisz?

– Powiadam im... – Wzruszył ramionami. – Chyba im powiadam, że je bardzo lubię.

– A dla mnie śpiewasz?

– Tak jest! – Spojrzał w bok. – Kiedyś czytałem, jak pewni indiańscy śmiałkowie adorują swoje kobiety. Podkrada się taki pod tipi dziewczyny i gra na flecie, aż ona wyjdzie zobaczyć, co się dzieje.

– Bardzo romantyczne! Podoba mi się. Co to za piosenka, którą grałeś? Bardzo ładna!

Nie odpowiedział wprost, lecz zaśpiewał pierwszy wiersz, a potem drugi:

– „Jazda przez tysiące mil nie uwolni mnie, lecz przypomni zaraz mi jasne oczy twe.”

Przerwał. Dixie przypomniawszy sobie o jego miłości do muzyki country.

– Hal! Sam napisałeś tę piosenkę?

– Dawno temu. Trochę się nad nią natrudziłem. Wiem, że nie jest zbyt dobra, ale chciałem ci zaśpiewać coś swojego.

– Spojrzał w górę, na nią.

Jej serce zabiło mocniej.

– Dlaczego?

– Bo, Dixie... – Podniósł się. – Może się to wydawać głupie, ale czuję, że się w tobie zakochałem.

– Co zrobiłeś? Hal! To szaleństwo!

– Hej, nie pytaj mnie o to! – Oparł gitarę o ścianę i podszedł do okna. – Wiem dobrze, co się dzieje z moim łbem, nawet jeśli mama nie ma pojęcia, co jej się w głowie płacze.

– Nie ładnie tak mówić! – Dixie odsunęła się.

– Ale to prawda! Gdyby miała pełną samoświadomość, nie potrzebowałaby twojego leczenia. Taka jest prawda! – Oparł się dłońmi o parapet i uniósł w górę. – Mogę wejść?

– zapytał. Zakołysał się niebezpiecznie.

– Nie! Tak! Hal, co się dzieje? – Podbiegła do niego i schwyciła go za rękę. – Na miłość boską, nie spadnij! – Wciągnęła go do środka.

– Aha! A więc ci zależy!

– Nie mam ochoty na opatrywanie skaleczeń i zadrapań o tej porze.

– A gdybym skrzył sobie kark? O to nie trudno! Wystarczyłoby ześlizgnąć się i źle wylądować.

– Ładna perspektywa! – Położyła ręce na biodrach. – Dobrze, Hal! O co chodzi?

– Przyszedłem tutaj... – Przestał się uśmiechać. – Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że nie byłem wczoraj w porządku. Poniosło mnie daleko. Nie miałem najmniejszego prawa mówić tak o twoich motywach. Nie miałem racji. Przykro mi. Przepraszam. Planowałem przyjść dzisiaj do twego biura, ale nie zdobyłem się na odwagę. Teraz jakoś zdołałem. Wybaczysz mi?

Minęła chwila, zanim to wszystko do niej dotarło.

– Zgoda! – Wzięła głęboki oddech. – Przyjmuję przeprosiny. Ale po co to podkradanie się o północy i ten koncert gitarowy?

– Po to. Dla ciebie. – Nie ruszał się, ale oczami pieścił jej twarz. – Jak indiański śmiałek,

po prostu musiałem cię zobaczyć. Powiedzieć ci, że nie miałem racji. I że...

– Że co?

– Że nawet jeśli ty możesz zachować dystans w naszych stosunkach, to ja nie.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie mogę... Nie mogę trzymać się z daleka od ciebie. Od chwili, gdy wymaszerowałaś z mego domu, myślę tylko o tobie. O niczym innym. Nie jestem teraz szalony, ale zwariuję, jeżeli mnie odepchniesz.

– Ty chyba nie jesteś poważny, jeśli próbujesz mi powiedzieć, że się we mnie zakochałeś?

– Kochanie, ja nie mam pojęcia! Gdybym miał, tobie pierwszej bym powiedział. Wierz mi.

Dixie wpatrywała się w niego.

– Hm! – Hal spojrział w dół na podłogę i wepchnął ręce w kieszenie dżinsów. – Nie jestem dobry w takim gadaniu, Dixie. Mówienie o uczuciach nie przychodzi mi łatwo. Musisz to wiedzieć!

Nieco zdezorientowana Dixie obeszła łóżko i usiadła na nim.

– Rozumiem. Ale jak dotąd, idzie ci całkiem nieźle. Próbuj dalej – powiedziała. – Muszę się dowiedzieć o czym myślisz.

– No dobrze! – odchrząknął. – Więc... Lubię patrzeć na ciebie. Jesteś śliczna. Naprawdę piękna z ciebie kobieta.

– Daj spokój, Hal!

– Nie, nie! To nie tylko to. Podobałaś mi się od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem tej wiosny. Ale jeszcze tak bardzo cię nie lubiłem.

– Wiedziałam, że nie.

– No tak! – Zaczął przemierzać pokój. – Ale potem wiele się wydarzyło.

– Co takiego?

– Muszę być z tobą. Nie tylko patrzeć na ciebie z daleka, podziwiać cię. W tamtą noc w więzieniu... Kiedy przysłaś prosto od porodu i poświęciłaś tyle czasu na zszywanie George'a. I opatrywałaś go tak delikatnie, jak niemowlę. Wówczas moje uczucia zaczęły się zmieniać. Musiałem obserwować cię przy pracy. Nie mogłem oderwać oczu od ciebie. – Zatrzymał się na wprost okna i zapatrzył w noc.

– No i... ?

Wzruszył szerokimi ramionami, ale nic nie rzekł.

– Pocałowałeś mnie. Czy to jakoś nie zadziało na ciebie?

– Całowałem mnóstwo kobiet. – Odwrócił się. – Nie, Dixie, kręcę się teraz w kółko nie z powodu tego jaka jesteś, ale kim jesteś. Chyba nie potrafię już jaśniej tego wyłożyć. Usiadła osłupiała.

– To był całkiem romantyczny wierszyk, Halu Blane!

– To nie był żaden wierszyk. To szczerza prawda! Czy wiesz, co naprawdę mnie nabuzowało? Co mi uświadomiło, że muszę wziąć się do dzieła?

– Umieram z ciekawości.

– Nie wygłupiaj się! Ja jestem poważny. To, jak potraktowałaś ten szkielet. Jakby on mógł czuć cokolwiek. Jakbyś chciała, żeby więcej nie cierpiał! Byłaś taka... delikatna. Tak... pełna szacunku. Myślałem o tym już wówczas, kiedy się nad nim pochylałaś, ale jeszcze bardziej przez ostatnią dobę. Jeśli tak traktujesz zmarłych, to o ile troskliwsza musisz być wobec żywych!

– Takich, jak twoja matka? – spytała, zaczynając dostrzegać kręte ścieżki jego myśli. Przeczuwała niejasno, że zrozumienie tych jego uczuć jest czymś niezmiernie ważnym.

– No właśnie! – odparł. Przestał przemierzać pokój i stanął nieruchomo. Potarł ręką czoło.
– Do licha, Dixie, zdaje mi się, że cię kocham. – Spojrzał na nią. Uśmiechnął się kwaśno. – To już szczyt, prawda? Jestem takim głupcem.

To wyznanie rozwiało wszelkie jej wątpliwości. Łzy błysnęły w jej oczach.

– Chodź tutaj, Hal! – zawołała, klepiąc dłonią pościel obok siebie.

– Nie, bo jeśli się zbliżę...

– Czyż nie ma w tym całej twojej osobowości? – Wstała i podeszła do niego. Założyła mu ramiona na szyi. Był spięty. Mięśnie jego ramion były twarde jak stal. – Czy zwykłeś się wspinać do kobiecych sypialni o północy tylko na pogawędkę?

Nie dotknął jej.

– Nie kochasz mnie.

– Nie mogę tego powiedzieć z ręką na sercu. To wszystko jest zbyt nowe dla mnie.

– Dla mnie też. – Wyciągnął rękę i dotknął jej talii. – Lepiej każ mi zaraz odejść, Dixie!

– Zostań! – Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

– Może ja nie wiem, czy cię kocham – powiedziała. – Ale jestem pewna, że chcę cię teraz.

– Nie rób tego – Hal odsunął się – jeśli nic do mnie nie czujesz.

– Nie robiłabym. Ale kiedy usłyszałam twój śpiew, moje serce zaczęło bić szybciej. Moje ciało zadrżało. A gdybym nic do ciebie nie czuła, nie wpuściłabym cię o północy do sypialni. Nie jestem ani taka ufna, ani naiwna.

Dotknął jej twarzy, ramion. Jego palce chłoneły ciepło jej skóry.

– Lepiej sobie pójdę – powiedział chrapliwym głosem.

– W przeciwnym razie...

– Co będzie w przeciwnym razie? – Dixie rozwiązała pasek szlafroka. Spojrzała mu w oczy. Znalazła w nich tyle emocji, że niemal się przestraszyła. Stał przed nią człowiek, który nie znał uczuć powierzchownych i ulotnych. Który nie był partnerem do zabawy.

Czy naprawdę chciała to zrobić? Lecz kiedy indziej może być za późno.

Rozpięła szlafrok i schroniła się w ramionach mężczyzny.

Hal zadygotał. Nigdy w życiu nie czuł tak wielkiego pożądania. Nigdy nie był **tak** przerażony swymi namiętnościami. Nigdy nie czuł takiej pewności tego, co ma zrobić.

Pragnienie wprost go paliło. I już teraz przeczuwał ból, który w przyszłości go znajdzie, ponieważ ją kocha, lecz nie potrafi jej przy sobie zatrzymać.

Dixie rozumiała, że kochanie się z Halem oznacza podjęcie zobowiązań. Nie wiedziała, czy jest do tego gotowa. Da mu na pewno więcej niż cząstkę swego życia. Tak bardzo chciała

z nim być, że nie mogła się cofnąć.

Hal czuł jej ciepło i miękkość przez cieniutką tkaninę koszuli. Jego dłonie powędrowały po jej plecach. Poczul, że przestaje panować nad sobą. Przytulił ją.

– Och, Dixie? Czy ty wiesz, co ze mną robisz?

– Wiem! – odpowiedziała. – Proszę, Hal! Kochaj się ze mną! – Zaciśnęła dłonie na jego szyi i całowała go gorąco. A potem zsunęła je na jego piersi, na dzinsy.

Z okrzykiem radości i triumfu podniósł ją i położył na łóżku. W następnej chwili ich ciała splątały się. Zaskoczyła ją ta gwałtowność, lecz bardzo szybko fala żaru, która targnęła całą jej istotą, zaniósła ją daleko poza granice zaskoczenia.

Płomień rozpalał się w niej coraz bardziej, aż pomyślała, że jeszcze chwila, a umrze z rozkoszy. Jej mężczyzna był wcieleniem siły i pewności, i dawał miłość, jakiej dotychczas nie zaznała.

Hal wgniótł ją w pościel. Zamknął ją w swych ramionach, wtulił twarz w jej szyję. Choć taki wielki, nie był dla niej żadnym ciężarem. Fala cudownego gorąca niosła ją coraz wyżej, coraz wyżej, radując tym, co jej ciało potrafiło dać im obojgu...

Hal poczul, że zaraz wybuchnie. Drobne, delikatne ciało Dixie nie miało kruchych kształtów laleczki. Było dla niego stalą i gorączką, i płynnym ogniem. I jękiem rozkoszy.

W końcu nie mógł dłużej panować nad sobą i rzucił się w nią bez pamięci. Zbyt długo powstrzymywane napiętności eksplodowały, wstrząsając nim do szpiku kości.

W tej chwili zrozumiał, że musi ją mieć. Nie tylko w tę jedną noc.

Ta noc jest tylko początkiem.

Hal przetoczył się na plecy. Przez chwilę jeszcze leżeli razem, splątani nogami i ramionami, dysząc głęboko, z mocno bijącymi sercami. Łagodny, ochładzający powiew wpadł przez otwarte okno i osuszył pot ich rozpalonych ciał. Dixie westchnęła.

– Nie wiedziałam, że macie tu huragany w samym środku lata. – Uniosła się na łokciu i popatrzyła na kochanka.

Uśmiechnął się, lecz nie otworzył oczu.

Pocałowała jego twarz.

– Idę odzyskać twoją gitarę i zamknąć okno. Robi się chłodno. I pachnie tak, jakby miało padać.

Szeryf milczał nadal.

Dixie wstała i przetrząsnęła stertę odzieży szukając szlafroka. Włożyła go, wsunęła stopy w stare pantofle, wyszła z sypialni i otworzyła drzwi.

Wiał wiatr. Wilgoć wisiała w powietrzu i zapowiadała deszcz. Obeszła dom. Pod oknem sypialni znalazła gitarę. Była stara, powycierana i podniszczona. Poglądziła ją. Drewno było ciepłe i żywe.

– Zagraj dla mnie, piękna damo!

Dixie podniosła głowę. Hal wychylał się z okna. Najwyraźniej nie miał na sobie nawet figowego listka.

– Nie umiem śpiewać. Słoń nadepnął mi na ucho.

– Grasz dla mnie najpiękniejszą muzykę na świecie. – Wyciągnął do niej rękę. – Wskakuj!

Dixie roześmiała się i cofnęła.

– Zaryzykuję wejście drzwiami. Zaraz zacznie padać.

– Tchórz! – zachichotał.

– Nie odchodź! – zawołała.

– Nie ośmieliłbym się. – Cofnął się i zamknął okno. Widok jego nagiego, muskularnego ciała był oszałamiający. Dixie wzięła głęboki oddech, upewniła się, że nie ma w pobliżu sąsiadów i popędziła do domu.

W oddali rozległ się grzmot. Deszcz lunął, zanim wbiegła na ganek. Wielkie, ciężkie krople spadły na nią i w oka mgnieniu ją przemoczyły. Ciałem osłoniła gitarę. Gdy Hal otwierał drzwi, ulicą przejechał samochód i oświetlił ich reflektorami.

– No to mamy dyskrecję zapewnioną! – jęknęła Dixie i wręczyła mu instrument.

– Udawaj, że to nie był nikt ze znajomych – doradził jej Hal. Odstawił gitarę, objął dziewczynę i zaśmiał się z jej niezadowolenia. Włożył dzinsy. Nareszcie! – Ktoś obcy przejeżdżał przez miasto.

– Akurat! – Odgarnęła mokre włosy z twarzy. – O drugiej nad ranem?

Zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno.

– Dziwne, jak na tutejsze zwyczaje. Większość mieszkańców od dawna podróżuje przez

krainę snów. Muszą rychło wstawać.

– My też! – przypomniała. Zadrżała od podmuchu wiatru. Zagrzmiało znowu.

Hal jedną ręką przyciągnął ją do siebie, drugą zatrzasnął drzwi. – Mów o sobie, moja pani! Ja bowiem mam jutro wolne. – Wielką dłonią przygarnął ją do siebie, przegiął i zaczął całować jej usta.

Dixie próbowała protestować zdławionym głosem, szybko jednak uległa pocałunkom. Raz jeszcze wziął ją na rękę i zaniósł do łóżka.

Namiętność prowadziła teraz jego dłonie po całym jej ciele. Poznawał każdy jego skrawek. Każdy zakątek. Dixie próbowała mu się zrewanżować, on jednak zdecydowany był mieć tu pierwszeństwo.

Walka była nierówna. Dixie pozwoliła mu na łatwe zwycięstwo.

Miłość, którą jej dał, przeszła wszelkie jej wyobrażenia, nie mówiąc już o doświadczeniach. Był kochankiem, który odczytywał każde drgnienie jej ciała, każdą myśl i każde bicie serca. Wiedział, gdzie ją pieścić, jeszcze zanim tego zapragnęła. Gdzie być delikatnym, gdzie brutalnym. Jak prowadzić ją od jednej rozkoszy do drugiej, aż zaczęła omdlewać z pragnienia. Ukazał jej, ile siły może być w namiętności, jak można razem wznosić się ku szczytom, za którymi ich okrzyki rozkoszy i radości ucichały w szepty i westchnienia uwielbienia.

Był nieprawdopodobny!

Poranek nadszedł zdecydowanie za szybko. Burza minęła, gdy jeszcze się kochali, a o piątej słońce było już na niebie i zalewało pokój. Dixie uniosła głowę nad ramieniem Hala, gdzie uwiła sobie gniazdo, i spojrzała w światło.

– Już dzień! – westchnęła. – Pobudka!

Hal nie rzekł nic. Oddychał głęboko, lekko pochrapując.

– No i dobrze! – powiedziała. – Czas wstać i zataszczyć swe zwłoki do roboty – uśmiechnęła się i koniuszkiem palca obrysowała zarys jego ust. Mięśnie Hala drgnęły lekko, on sam jednak się nie obudził.

Usiadła i popatrzyła na niego.

Leżał sobie w jej łóżku, wspaniałały mężczyzna, który uniosł ją na wyżyny, o których istnieniu nawet nie marzyła. Jego nagie, wielkie ciało było piękne. Mięśnie rozwinięte latami ciężkiej pracy, a nie miesiącami ćwiczeń. Ani grama tłuszczu. Zero! Skóra brązowa od słońca, nie od kremów do opalania. Bledsza poniżej pasa, ciemniejsza na szyi i ramionach. Prawdziwa opalenizna. Brąz człowieka pracy. Nie zaplanowany. Nie wypielegnowany. Dobry.

Przycięte, nie ufryzowane jasnobrązowe włosy... Przed przyjściem do niej musiał się ogolić. Teraz, w porannym słońcu, zarost ciemniał na jego policzkach i szczękach. Hal był w każdym calu naturalny. Do szpiku kości. Nie ukrywał niczego. Prosty, otwarty człowiek.

Naprawdę?

Znowu spojrzała na niego. Blizny znaczyły jego delikatną skórę. Jedna biegła od lewego barku do środka klatki piersiowej, inna przecinała z boku prawą rękę. Rozpoznała także

dawną ranę po kuli w dolnej części prawego uda. Ten człowiek nie jeden raz walczył o życie.

Jednocześnie był to mężczyzna, który pisał miłosne piosenki i miał w sobie tyle odwagi, wyobraźni i romantyzmu, aby pod jej oknem śpiewać serenadę. Który potrafił kochać ją, jak nikt dotychczas. Który...

Który jest, do licha, małomiasteczkowym szeryfem! Dixie wstała z łóżka. Mogła szanować go jako prawego człowieka, mogła wznosić się na szczyty uniesień pod jego dotykiem, jednak ktoś o tak ograniczonych ambicjach i burzliwej przeszłości nie jest partnerem, z którym chciałaby dzielić życie.

Stwierdziła, że zagalopowała się za daleko i wróciła do rzeczywistości. Kto tu, do diabła, mówi o dzieleniu życia?! Kochali się ze sobą raptem przez jedną noc! Weszła pod prysznic, najpierw pod gorącą wodę, potem pod zimną. Musiała oprzytomnieć, i to na dobre!

Ubrała się cicho. Poruszała się po pokoju nie patrząc na łóżko. Jednak zanim wyszła, opuściła zasłony i upewniła się, że okryty jest lekkim kocem. Kłębiły się w niej dziwne uczucia, wołała jednak ich nie analizować.

Po lunchu odwiedziła ją Winnie Nash.

– Postanowiłam wpaść i zobaczyć, jak żyją ci, którzy ratują życie. Jesteś zajęta?

Dixie ruchem ręki poprosiła ją, żeby usiadła.

– Nie w tej chwili, ale kto wie, co przyniesie następna minuta. Nie mam żadnych zapowiedzianych wizyt na to popołudnie, ale nagły wypadek...

– ... może zdarzyć się w każdej sekundzie – dokończyła Winnie. – Znam to. Ojciec był lekarzem. Starej daty lekarzem ogólnym, jak ty. Nie mogliśmy być pewni, czy pojawi się na najważniejszych świętach rodzinnych. Może dlatego tak zareagowałam na ten szkielet...

– Nie będę lekarzem ogólnym do końca moich dni.

– Daj spokój! – Winnie złożyła dłonie i uśmiechnęła się do Dixie. – Przecież tu ci się podoba. I ludzie cię lubią. Nie uwierzyłabyś w te wszystkie pochwały, których się o tobie nasłuchiłam.

– Jestem tu tymczasowo. – Dixie pomyślała o mężczyźnie, którego miała dziś w łóżku. – Tylko trzy lata. A teraz już nawet mniej.

– W porządku! – Winnie nachyliła się i podniosła dużą torbę. – Jesteś gotowa zająć się naszym tajemniczym mężczyzną?

– Teraz? Przyniosłaś go? Chciałam powiedzieć... Chcesz, żebyśmy zaraz zabrały się do pracy?

– Hej, nie musimy! Jeśli przyszłam w nieodpowiednią porę, zrozumieć...

– Nie! Wszystko w porządku! Ja tylko... – Pomyślała o Halu, o jego dziwnej reakcji na szkielet, jego niechęci do kontynuowania śledztwa. Teraz, po zmianie w ich stosunkach, zastanawiała się, czy powinna to robić.

– Pomyślałam, że czaszka może być tutaj bezpieczniejsza.

– Bezpieczniejsza? – Dixie wróciła myślami do Winnie. – Co mi próbujesz dać do zrozumienia?

Winnie zasepiła się.

– Nie jestem pewna. Gdybym była, poszłabym do szeryfa. Wolę po prostu pracować nad

czaszką z dala od obozu. To wszystko. To tylko... Mam uczucie...

– No nie! Ty też? Nie dość, że oblaży Hala i jego matkę? Uczucia muszą tu wisieć w powietrzu. Mówię ci, nigdy dotychczas nie byłam związana z nikim, kto...

– Związana? – Brwi Winnie powędrowały w górę.

– Zajmijmy się czaszką. – Dixie zmieniła temat. – Dalej! Zrobimy sobie warsztat w jednym z pokoiów od tyłu budynku.

– To już mi się bardziej podoba. – Winnie wstała pieszcząc w ramionach torbę. – Nie mogę się doczekać spotkania z naszym przyjacielem.

– Zaczynamy więc! – Dixie poprowadziła przyjaciółkę korytarzem do nie używanych pomieszczeń. Po drodze powiedziała Frań, dokąd idą, lecz nie pisnęła słowem, czym się zajmą. Im mniej ludzi wie o rekonstrukcji czaszki, tym lepiej.

Gdy przystępowały do pracy nad odtworzeniem głowy, Hal siedział przy biurku na poddaszu swego domu i myślał o Dixie Sheldon.

Obudził się kilka godzin wcześniej w jej łóżku. Jego ciało jeszcze tęskniło za nią, jego zmysły były nią wypełnione. Łóżko pachniało miłością.

Bardzo długo stał pod bardzo zimnym prysznicem, a potem się ubrał.

Dom był bez niej zbyt cichy i pusty, wziął więc gitarę i poszedł do innego cichego i pustego domu. Na szczęście matka wyszła, prawdopodobnie na zakupy, nie musiał więc zachowywać się jak nastolatek i tłumaczyć, gdzie spędził noc. Miał głupią nadzieję, że nie zauważyła jego nieobecności. Nie chciał jej okłamywać, ale nie miał też ochoty przyznawać się, że był u lekarki, co mogłoby zakłócić dobre stosunki, jakie kobiety nawiązały ze sobą. Kwaśno uśmiechnął się do siebie. Zaczynał rozumieć kłopoty Dixie z konfliktem interesów.

Artie był również poza domem, ale na biurku Hal znalazł kartkę od niego. „Tato, musimy pogadać” – przeczytał.

Słusznie, zgodził się Hal. Ale to, o czym mieli do pogadania, zapełniłoby całą książkę. Odsunął kartkę.

A jeśli chodzi o książki...

Jak wiele razy przedtem, w okresach osobistych kłopotów i kryzysów, odsunął kłopoty i myśli od siebie i pogrążył się w pracy.

Nie pracował na rzecz policji. Poświęcał się dla nauki. Zgłębiał przeszłość.

Kilka godzin później matka zastukała do drzwi na poddaszu.

– Jesteś w domu, Hal? – zawołała. – Jesteś tam? Zaskoczyła go. Drzemał z głową na biurku. Jeszcze gdy się budził, sny i majaki wirowały mu pod powiekami. Jeźdźcy na koniach rwący przecinką pod górę...

Do skały, gdzie znaleziono ciało. Wystrzał...

Strach, ból, śmierć...

Miłość...

Dixie...

Miłość taka, jaką sobie tylko wyobrażał...

Grzmot...

– Hal! – Pukanie. – Nic ci nie jest?

– He! Tak! Nie! Nic mi nie jest. – Potrząsnął głową i wstał. – Co się stało, mamusiu? – Otworzył drzwi. – Dobrze się czujesz?

– Czuję się zdrowa jak koń – uśmiechnęła się do niego. – Gdzie się podziewałeś w nocy? Słyszałeś burzę? Czyż to nie zaskakujące o tej porze roku?

Hal przygładził włosy.

– No, dobrze! – powiedziała matka, ciągle się uśmiechając. – Masz gościa.

Serce zabiło mu szybciej. Jeszcze raz przygładził włosy.

– Kto to?

– Och, to nie ona – uspokoiła go. – To Reed Turner.

– Reed? – Ogarnęło go rozczarowanie. A potem zaskoczenie tym, że mama wiedziała, kogo chciałby ujrzyć. – O co chodzi?

– O nic, szeryfie! – Reed Turner pojawił się na szczycie schodów. Jego okrągła twarz niemal promieniowała podnieceniem.

– Chciałem tylko pogawędzić trochę o tym szkielecie, który znalazł pan na płaskowyżu.

– Ja go nie znalazłem. – Hal zeszywniał. – I nie ma o czym gawędzić. To tylko trochę starych kości.

– Hal! Obiecałeś coś z tym zrobić – wyszeptała Hattie. – Obiecałeś! Dalej, wysłuchaj Reeda! – powiedziała normalnym głosem. – Może zainteresuje cię to, co ma do powiedzenia.

– Ale...

– Wejdz, Reed! – powiedziała Hattie. – Przyniosę wam kawę i trochę ciastek. – Wymownie spojrzała na syna.

– W porządku! – poddał się Hal. – Wysłucham pana, jeśli nie zajmie to zbyt wiele czasu.

– Czas jest w tym wszystkim najważniejszy – uśmiechnął się Reed.

– Słucham.

Reed Turner usadowił się na starej sofie i powiedział:

– Uważam, że pan i ja mamy ze sobą wiele wspólnego, szeryfie.

– A mianowicie? – Hal usiadł i oparł ręce na papierach i książkach rozrzuconych na biurku.

– Naprawdę! – Reed zdjął niewidoczny włos z rękawa koszuli. – Obaj jesteśmy historykami amatorami tego regionu.

Hal siedział w milczeniu.

– I obaj jesteśmy zainteresowani określoną częścią tej przeszłości.

Szeryf wziął do ręki ołówek i zaczął stukać nim w blat biurka.

– Tą częścią, w której pański pradziad...

– Panie Turner! – przerwał Hal. – Nie interesuje mnie...

– Nie rób mi tego, synu! – Stary uśmiechnął się. – Obserwuję pana od chwili, gdy się tu wprowadziliśmy. Pan żyje, pan oddycha przeszłością swej rodziny. Wiem, że zdobył pan dostęp do dokumentów rządowych i innych świadectw. – Znacząco popatrzył na zavalone biurko, stary komputer i stertę dyskietek. – Jestem pewien, że to studium jest skarbnicą informacji historycznych.

Hal odłożył ołówek i odchylił się do tyłu. Oparł łokieć na poręczy krzesła, przesłaniając

dłonią brodę i usta.

– Czyżby? I co z tego? Mam prawo oglądać to, co mogę uzyskać w rezultacie legalnego działania, prawda? Kedrick był moim przodkiem.

– Tak, ma pan prawo. On był pańskim przodkiem. – Turner pochylił się do przodu. Splótł obie dłonie. – Ale dlaczego pan zagląda w przeszłość? To jest interesujące pytanie, nieprawdaż?

– I jak brzmi pańska odpowiedź?

– Złoto, panie! Złoto! Hal uniósł brwi.

– Niech pan mi nie mówi, szeryfie – Turner uśmiechnął się konfidencjonalnie – że pan tego nie bierze pod uwagę. Złoto, które pański przodek ukradł. Czemu nie? Ciągłe jeszcze byłoby fortuną dla takiego człowieka jak pan.

– Panie Turner, niech pan wyjdzie z mego domu! – Hal się nie poruszył.

– Och, niech pan nie będzie wobec mnie taki wszechwładny, szeryfie! Może pan sobie nosić gwiazdę i rewolwer, ale ja jestem zbyt stary, aby to robiło na mnie wrażenie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Turner oblizał wargi. – Ale jeżeli pana obraziłem, to szczerze przepraszam. Jestem starym człowiekiem, o czym żona mi ciągle przypomina, i nie mam umiejętności dyplomatycznych. Ale nie chcę stracić tej okazji. Jak powiedziałem, jestem stary.

– I chce pan przeżyć swe ostatnie lata w luksusie za złoto, które zrabował mój pradziadek?

– Źle mnie pan zrozumiał. – Turner wstał i zaczął chodzić po pokoiku. – To mnie zupełnie nie interesuje. Tylko historia.

– Czyżby?

Turner zatrzymał się i uśmiechnął.

– Jest pan cynicznym młodym człowiekiem, prawda? Hal wzruszył ramionami.

– Może ma pan prawo do cynizmu. Życie nie traktowało pana łagodnie.

– Co pan wie o moim życiu? – Hal stężał.

– Pewnie więcej niż powinienem. – Turner usiadł ponownie. – Widzi pan, Kedrickowie są moim hobby od dziesiątków lat. Podczas pobytu w Denver odkryłem mnóstwo interesujących szczegółów o pańskiej rodzinie, szeryfie Blane. – Przerwał na chwilę. – Zwłaszcza o pańskim pradziadku. Fascynujący człowiek... Czy wie pan, że zanim stał się przestępcą, pracował dla ministerstwa skarbu Stanów Zjednoczonych?

Hal znów wziął ołówek do ręki. Stary powiedział coś, co i on podejrzewał, na co nie miał jednak żadnych dowodów. Czego nie był do końca pewny. Domyślał się tego tylko z fragmentów listów i dokumentów. Może Turner ma pewniejsze informacje? A to mogłoby być sporo warte.

– Jaka jest pańska cena, Turner? – zapytał.

Stary odchylił się na krześle do tyłu i uśmiechnął triumfalnie.

– Chcę dostępu do pańskich materiałów, szeryfie! Nieograniczonego dostępu. Mogę się założyć, że z tym, co pan wie, i tym, co ja wiem, możemy dojść do prawdy.

– Nie mogę się na to zgodzić – Hal potrząsnął głową. – Mówię szczerze, to są zbyt osobiste sprawy.

Turner nachmurzył się, a potem znów uśmiechnął.

– Niech pan to przemyśli, panie! Bo zdaje mi się, że mnie pan potrzebuje.

– Może. – Hal podniósł się z krzesła. – Ale taka jest moja decyzja. Dziękuję, że pan wpadł. Będziemy w kontakcie.

– Spośród nas wszystkich Hastings wie najwięcej o antropologii – wyjaśniła Winnie. Umieściła jeszcze jeden drewniany kołek na gipsowej kopii czaszki. – Zafundował mi superintensywny kurs, jak to robić.

– To ładnie z jego strony. – Dixie zakręciła się przy stole i ulokowała dwa kołki. – Nie chciał nam pomóc przy robocie?

– Spytałam go, ale powiedział, że nie. To jest nasze dziecko, a on ma co innego na głowie. „,

– Och! – Dixie z trudem opanowała ziewanie. Nieprzespana noc coraz bardziej dawała się jej we znaki, mimo zafascynowania rekonstrukcją. – Szkoda. Lubię Hastingsa.

– Zdaje mi się, że znacznie bardziej lubisz kogoś innego. Szeryf nie dał ci zasnąć?

– Coś w tym rodzaju – Dixie zarumieniła się.

– To nie mój interes, oczywiście.

– Oczywiście.

Przekomarzały się i gawędziły tak, jednocześnie pracując nad czaszką. Winnie wyjaśniła, że po określeniu rasy i wieku ofiary pozostało im już tylko układanie warstw miękkiej gliny na miejsca, gdzie kiedyś były mięśnie.

– Potem pomalujemy skórę, dodamy oczy i włosy, i wreszcie ujrzymy przeszłość.

Dixie rozłożyła atlas anatomiczny. Zastanawiały się, jak ścięgna, główne naczynia krwionośne i rozgałęzienia nerwów ułożyłyby się na mięśniach i między nimi. Były tak pochłonięte pracą, że Frań musiała dwa razy pukać do drzwi, zanim Dixie zareagowała.

– Ma pani gościa, pani doktor! – powiedziała siostra i uśmiechnęła się. – Nie ma wyznaczonej wizyty, ale myślę, że zechce pani go przyjąć.

– Hal? – Dixie odłożyła garść gliny. Jej serce zaczęło bić szybciej.

– Nie! – powiedział Artie Blane. – Stał za plecami Frań. – To tylko ja.

– Wejdz, Artie! – powiedziała Dixie i skinieniem głowy podziękowała siostrze. – Znasz doktor Nash?

– Nie! – Artie wszedł do pokoju i wlepił szeroko rozwarte oczy w czaszkę. – Co to? – podszedł bliżej, wyraźnie zafascynowany.

Dixie wyjaśniła mu. W chwilę później nastolatek gorliwie pomagał kobietom. Miał dobre wyczucie gliny i oko wrażliwe na anatomiczne szczegóły. Wkrótce Winnie musiała ogłosić przerwę.

– Niech to odpocznie teraz przez kilka dni. Potem będę mogła pomalować skórę – powiedziała. – Pozwólmy glinie zrobić to, co naprawdę robi tkanka: osiąść na kościach.

– Czy to odda prawdziwy wygląd faceta? – spytał Artie. – Serio?

– Na tyle, na ile to możliwe bez odbywania podróży w przeszłość czy bez fotografii –

oświadczyła Winnie. – Oczywiście, będę musiała dodać oczy i włosy, uwzględnić uszkodzenia, pogłębić rysy w sposób odpowiadający mężczyźnie w jego wieku, który spędził życie na powietrzu sto lat temu.

– Nie znali kremów ochronnych – dodała Dixie. – W ciągu całego życia był wiele razy poparzony, nawet jeśli nie pracował na powietrzu.

– Na powietrzu? – powtórzył Artie. – Skąd wiecie?

– Nie wiemy z absolutną pewnością – odpowiedziała Winnie. – Ale jego kości są zwarte, co wskazuje na wiele lat ciężkiej pracy fizycznej. – Przyjrzała się niemal wykończonej czaszce. – Wątpliwe, abyśmy oglądali urzędnika, czy nauczyciela.

– To wspaniałe! – zachwycił się Artie. – Żeby też móc odtworzyć kogoś w ten sposób!

– Masz do tego talent – powiedziała Dixie.

– Dziękuję! – Artie zaczerwienił się.

– Naprawdę jesteś dobry – dodała Winnie. – Wpadnij kiedyś na wykopaliska i zobacz, jak wygrzebujemy dinozaury.

– Naprawdę mógłbym?

– Oczywiście! Nawet teraz. Wracam tam za pięć minut. Później któryś ze studentów odwiezie cię do domu.

Artie był niezdecydowany.

– Ja muszę porozmawiać z doktor Sheldon.

– A ja mam jeszcze parę spraw do załatwienia – powiedziała Winnie. – Mam tu wrócić, gdy się z nimi uporani?

I na tym stanęło.

Dixie zaprowadziła chłopca do gabinetu i zamknęła drzwi. Usiadł na krześle. Znowu przypominał ojca.

– I co, Artie? Coś z twoją babcią?

– Częściowo. – Powiercił się na krześle. – I częściowo z ojcem.

Dixie wyprostowała się.

– Ostatnio śmiesznie się zachowuje.

– Śmiesznie?

– Tak. – Wyrwał nitkę z rękawa koszuli. – Jakby coś było nie tak, a on nie chciał, żebym się dowiedział.

– Rozmawiałeś z nim na ten temat?

– Nie. – Uciekł spojrzeniem w bok.

– A możesz?

– Nie. – Spojrzał jej prosto w oczy. – My nie rozmawiamy.

– Aha... – Dixie oparła dłonie o biurko. – Artie, czy chciałbyś przyjść tutaj i rozmawiać ze mną, jak babcia?

Znów wyrwał nitkę, palcami zwinął ją w kulkę i podrzucił.

– Chyba tak. – Zmarszczył się. – Ale nie może pani powiedzieć tatusiowi.

– Nie powiedziałabym, chyba że chciałbyś tego. Ale jeśli rzeczywiście masz problem, twój ojciec powinien o tym się dowiedzieć. W gruncie rzeczy, jeśli wymagasz poważnego

leczenia, będę musiała mu o tym powiedzieć. Takie jest prawo.

– Nic mi nie jest.

– Chcesz tylko porozmawiać?

– Aha! Babcia mówi, że pani umie słuchać. Czuje się lepiej.

– To świetnie. – Dixie poczuła się w pułapce. Była kochanką ojca tego chłopca. Czy zaufa jej, jeśli się dowie? Czy powinna mu to powiedzieć, zanim usłyszy jego wyznanie? Niech żyje profesjonalny obiektywizm i dystans do sprawy!

– Artie! Zanim podejmiemy w tej sprawie decyzję, chciałabym, żebyś się o czymś dowiedział.

Machnął ręką.

– Jeśli to o pani i o tatusiu, to może sobie pani darować. Już do mnie dotarło.

– Co takiego? Wzruszył ramionami.

– Że pani się z nim spotyka. Wczoraj nie wrócił na noc do domu. Wiadomo, gdzie ją spędził.

– Przypuszczasz, że u mnie?

– Może nie?!

– U mnie. – Poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana, lecz nie widziała prostego rozwiązania. – Masz coś przeciwko temu?

– Chyba nie. – Spojrzał w bok. – Inaczej nie przyszedłbym tutaj, nie?!

– No jasne! – Dixie niemal zachichotała. Był tak podobny do ojca! – W porządku więc. Porozmawiajmy o babci. Myślę, że czuje się już lepiej.

– Też tak myślę! – Artie wyprostował się. – Ona od dawna nie uśmiechała się do siebie. A teraz tak.

– Jak ty w związku z tym się czujesz?

Twarz chłopca rozjaśniła się. Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki zobaczyła na jego twarzy. Przez chwilę bardziej przypominał Hattie niż ojca.

– Świetnie! – powiedział. Potem spowaźniał. – Ale właśnie mnie martwi to, do czego ona się uśmiecha. Ona i tatuś.

– Twój ojciec uśmiecha się do siebie?

– Nie! On burczy jak zawsze. Ale on buja w obłokach jeszcze bardziej niż dotychczas. I to wcale nie z pani powodu.

– Skąd...

– Wiem. Bo to się pogorszyło w niedzielę. Mój pokój jest zaraz obok, a w niedzielę w nocy on miał ten koszmar.

– Zły sen? Czy zdarza mu się to często? – Spał jak niemowlę w jej łóżku.

– Nie! Chrapie raz po raz, ale nic wielkiego. Krzyczał i wył, i kłął na starą pannę Esther i na panią. – Artie potrząsnął głową. – Wystraszył mnie.

– Wspomniałeś mu o tym?

– Zaraz rano. Myślałem, że urwie mi głowę.

– Aha!

– No więc, jak zobaczyłem, że jesteście bliżej i w ogóle, to pomyślałem, że mógłbym z

panią o tym pogadać. – Troska pojawiła się na twarzy chłopca. – Nie chcę stracić babci, doktor Sheldon! Ale jeszcze bardziej nie chcę stracić ojca. Czy on wariuje?

– Nie, Artie! – Dixie przypomniała sobie sobotnią noc. – Ale są powody do zmartwień. Jakieś dziwne rzeczy się dzieją. Co wiesz o panie Esther?

– To miła stara dama – uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Gada do ptaków, drzew i w ogóle. Trochę zwariowana. Tak mi się zdaje.

– Twój ojciec zawiózł mnie do niej w sobotę wieczorem.

– Naprawdę?

– Tak. A w drodze powrotnej zachowywał się... Dziwnie, jak powiedziałaś. A potem dotarło do nas to wezwanie z wykopalisk i...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Frań otworzyła je na kilka cali.

– Jeszcze jeden pacjent, pani doktor! – powiedziała. – Ja jemu, hm... Jemu powiedziałam, że ma pani bardzo poufną wizytę. On... Hm... On powiedział, że poczeka. – Zamknęła drzwi.

– Mój tatuś! – Artie zerwał się. – Czy jest stąd jakieś tylne wyjście?

– Dlaczego miałbyś... ?

– Jeżeli pomyśli, że gadałem z panią o nim, to ukrzyżuje mnie na ścianie. Muszę lecieć!

– Oczywiście, jest okno... Ciągle uważam, że powinienes...

Artie Blane zniknął z jej oczu jeszcze zanim skończyła zdanie. Jaki ojciec, taki syn! Z trudem stłumiła śmiech. Sytuacja mogła wcale nie być zabawna, napomniała siebie. Jeżeli Artie tak się martwił, to coś musiało tkwić w zmienności nastrojów jego ojca i w tych koszmarach.

I ona musi coś z tym zrobić. Może być jego kochanką, ale może też stać się uzdrowicielką.

Artie Blane wyprysnął przez okno i popędził za budynek, modląc się, żeby ojciec go nie zobaczył i nie dowiedział się o tej rozmowie. Stary prawdopodobnie interesuje się piękną doktorką, ale z całą pewnością nie zniesie tego, że syn z nią plotkuje.

Mimo to Artie cieszył się, że to zrobił. Choćby dlatego, że zwierzywszy się jej, zrzucił ciężar z własnego serca. Doktorka była fajna. Słuchała go.

– Artie!

Zatrzymał się, gotów do natychmiastowej ucieczki. Ale to wołała tylko dama od dinozaurów, doktor Nash.

– Cześć! – zawołał. – Szukam pani.

– Myślałam, że jesteś jeszcze z Dixie – powiedziała Winnie przebiegając przez ulicę. W objęciach trzymała stertę paczek. – Chciałam poklepać na pożegnanie naszego wiekowego przyjaciela...

– Pomogę... – Artie wziął jej kilka pakunków. – Doktorka jest teraz zajęta. Lepiej jedźmy.

– Ale... – Winnie zawahała się. – Zgoda. Jedźmy.

Z radości, że udało mu się uniknąć spotkania z ojcem, Artie stał się rozmowny. Przez całą drogę do wykopalisk gadał jak najęty, dopuszczając Winnie do tajemnic, których nie zdradzał innym dorosłym.

– Dałbym wiele, aby też tak podróżować. Nienawidzę Seaside – wyznał, gdy dowiedział się, że objechała cały świat. – W ogóle nic tu się nie dzieje. Nuda!

– Czemu nie znajdziesz pracy? Zarób pieniądze, żebyś mógł się dalej uczyć i podróżować.

– Mam dopiero piętnaście lat. Nikt mnie nie weźmie.

– Może my cię weźmiemy. Zawsze potrzebujemy rąk do pracy. Zwłaszcza tak dobrych jak twoje.

– Pani mówi serio?

– Jak najbardziej! Bardzo mi się podobała twoja praca przy czaszce.

– Dzięki. To było trochę niesamowite, ale robota jest fajna. Jasne, jak dotychczas gęba jest paskudna. Kto to jest, jak pani myśli?

– Nie wiem. – Winnie spojrzała na chłopca. – Choć zdaje mi się, że ty mógłbyś wiedzieć.

Artie milczał przez chwilę, potem zaryzykował:

– Pani wie o dziadku mojej mamy?

– Trochę. Czy nie był on...

– Przestępcą? Tak. Myślę, że mógł zabić tego ód czaszki, żeby zachować złoto, które oni zrabowali.

– Naprawdę? Nie masz zbyt dobrego mniemania o swoim przodku.

– Nikt nie ma. – Zapadł w posępne milczenie.

Winnie dojechała do obozu nie próbując wznawiać rozmowy. Znalazłszy się na płaskowyżu Artie odzyskał dobry nastrój. Winnie przez chwilę oprowadzała go po okolicy,

potem przedstawiła Wayne'owi Sussexowi, doktorantowi kierującemu ochotnikami i pracownikami niewykwalifikowanymi.

– Ma świetne wycucie – powiedziała. – Delikatne i staranne palce. Nie zmarnuj go i nie przykuj do tacek pełnych kamieni i śmieci.

– W porządku, doktor Nash! – Wayne uściskał dłoń Artiego. – Znajdziemy facetowi coś ważnego do roboty. Niech się pani nie martwi!

Artie, przystępując nagle do pracy i biorąc na siebie odpowiedzialność, poczuł się nieco mniej pewny, ale ukrył to jak najstaranniej. Ten cały Wayne nie był zbyt wielki, ale miał naprawdę szerokie bary, szorstkie ręce i wielką brodę. Taką brodę Artie chciałby w przyszłości zapuścić. Uznał, że może polubić Wayne'a, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Dalej, chłopcze! – Wayne klepnął go w plecy. – Chodźmy poszukać czegoś dla ciebie.

Artie pośpieszył za doktorantem.

– Bardzo chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie znaleźliście ten stary szkielet. Można?

– Jasne! – odparł Wayne i skręcił w kierunku skały. – W gruncie rzeczy jest tam właśnie Hastings i grzebie w piachu. Może przydałaby mu się pomoc.

– Ale fajnie!

Podeszli na skraj urwiska i spuścili się z boczem w dół do występu. Artie spojrział w dolinę pod nimi i nagle zawirowało mu w głowie. Wyciągnął ręce szukając solidnego oparcia i przytrzymał się skały i piasku. Kilka drobnych kamyczków obluzowało się i potoczyło w przepaść.

– Przepraszam – wystękał Artie. – Zemdliło mnie. Wayne odwrócił się i uśmiechnął.

– Nie przejmuj się! Każdemu robi się mdło, kiedy patrzy stąd w dół. Nie wiadomo dlaczego. – Odwrócił się i ruszył dalej.

– Może to miejsce jest zaczarowane – mruknął chłopiec, idąc za nim, starannie stawiając stopy. Każdy nerw w nim dygotał. Ciekawe, jak też to stary znosił, kiedy laził tu w środku nocy?!

Obeszli odkrywkę i znaleźli się przy siodle, gdzie występ się poszerzał. Tu znajdował się grób. Artie znowu poczuł zawrót głowy, tym razem jednak pod ręką nie było ściany, o którą mógłby się oprzeć. Opanował się i rozejrzał po okolicy. Dwaj faceci, obaj starsi niż Wayne, przykucnęli w wykopie. Jeden miał długie włosy związane w koński ogon, drugi, starszy, nosił brodę jeszcze lepszą niż Wayne. Zaskoczeni spojrzeli w górę, gdy Wayne się odezwał:

– Przyprowadziłem tu nowego pracownika. To jest...

– Idź do diabła, Sussex! – warknął ten z końskim ogonem. – Nie potrzebujemy tu amatorów zdeptujących wszystko i niszczących dowody.

– Dowody czego? – zapytał Artie, ośmielony szorstkością tamtego. – Co tu się dzieje?

– Wayne, weź szczeniaka i znikaj! – powiedział brodac. Jego głos był spokojny i rozsądny. Bez złości. – To jest ciągle miejsce badań. Nie możemy wpuszczać tu wszystkich. Wiesz o tym dobrze.

– Przepraszam pana! – Doktorant cofnął się i zabrał Artiego ze sobą. – To z ciekawości. Nie wiedziałem, że to miejsce jest jeszcze pod ochroną. – Zaciągnął chłopaka na górę. – Dalej, chłopcze! – powiedział szeptem. – Szef mówi: won, to my won!

Artie usłuchał go niechętnie. W powrotnej drodze nie miał żadnych kłopotów z wysokością, żadnych nawrotów mdłości. Kiedy wydostali się na płaskowyż, zapytał:

– Jak to się stało, że oni tam pracują? Myślałem, że szeryf... – Zostawił zdanie niedokończone.

Wayne był nieco zmieszany.

– Wiem. Też tak myślałem. Ale wydaje mi się, że szeryf przestał się tym interesować ze względu na wiek szkieletu. Więc Hastings i doktor Hayden postanowili jeszcze trochę tam popracować. – Uśmiechnął się. – Mam za to rzeczy, które są naprawdę stare. Chcesz zobaczyć ichtiozaura?

– Jasne! Co to takiego?

– Chodźmy! Pokażę ci. Wiesz, że kiedyś był tu ocean, prawda?

– Tak. Wiem. Kiedy byłem mały, zbierałem kamienie z muszlami w środku.

– Widzisz? Już jesteś paleontologiem – zaśmiał się Wayne.

Artie przyglądał dłońią włosy. Na lewo, za grobem, ale w tej samej części urwiska, zobaczył kilka osób zajętych kopaniem.

– A co tam się dzieje? – zapytał.

– To nie byłoby złe miejsce na początek – powiedział Wayne. – Przy obrabianiu wykopu.

– Przy czym?

– Tamci kopią rów, żeby zobaczyć, co się pokaże – wyjaśnił Wayne. – Jeśli natrafiają na jakieś ślady, zapowiadające coś godnego uwagi, wtedy przychodzą profesjonaliści i zdejmują ziemię milimetr po milimetrze.

– Rany! – Artie był zafascynowany.

– Ale pierwszy wykop robi się małymi łopatkami. Chcesz spróbować?

– Jasne! – Praca w tamtym miejscu da mu świetny pretekst do rozglądania się.

A gdy dobrze się rozejrzy, dowie się, czego szukają Koński Ogon z Brodaczem.

Z jakiegoś powodu wydawało mu się to ważne. Może jest tylko szczeniakiem, ale jest szczeniakiem szeryfa, i do licha, wie, kiedy ktoś coś knuje. Tamci dwaj knuli na pewno.

Hal wkroczył do gabinetu Dixie z uśmiechem na twarzy i bukietem stokrotek w ręku.

– Dzień dobry, piękna pani! – powiedział i zdjął kapelusz. Zamknął drzwi i pocałował ją. Był to przyjacielski pocałunek, ale z wyraźnymi echemi niedawnej namiętności. Wręczył jej kwiaty. – Nie ma róż. Kwaciarnia jest zamknięta. Bardzo jesteś zajęta?

– Nie szczególnie – przyznała Dixie, przyjmując stokrotki. – I nie dbam o to, czy to są polne kwiaty czy róże. Liczy się gest. A co robiłam? Winnie tu była przez chwilę, potem...

– Tak. Widziałem, jak przechodziła obok sklepu z artykułami żelaznymi. – Położył kapelusz na biurku i usiadł na krześle, które jego syn właśnie opuścił. – Odwiedzacie się, widzę?

– Tak. – Spojrzała w bok. Powinna powiedzieć mu o tej czaszce. Teraz, gdy ich stosunki stały się intymne, chciała być bezwzględnie szczerą. Coś jednak kazało jej milczeć.

– Co się stało, Dixie?

– Nic. Dlaczego coś miało się zdarzyć?

– Wydajesz mi się jakaś... sztywna czy...

– Hal! – Podniosła się i podeszła do niego. – Nie jestem spięta. Nic się nie stało. Jest mi dobrze. Ostatnia noc była cudowna, jak cholernie dobrze wiesz. A co z tobą? Czyżbyś uważał inaczej? – Położyła dłonie na jego barkach i zjrzała mu prosto w oczy.

– Nie – zaprzeczył. Uwierzyła mu.

– To dobrze. – Usiadła mu na kolanach. – Teraz, gdy sobie to wyjaśniliśmy... – Pocałowała go. Lecz nie był to pocałunek stosowny do miejsca urzędowego.

Hal odsunął się.

– Miałem dziś gościa. Co powiedziałaś Reedowi Turnerowi o szkielecie?

– Niewiele. – Zastanowiła się przez chwilę. – Tyle, że go znaleziono i... – Uważnie spozjrzała w twarz kochanka. – Czemu?

Objął ją w pasie.

– Był niedawno u mnie. Uważa, że te resztki są związane z ciemną przeszłością mojej rodziny.

– Powiedział mi, że jest historykiem amatorem. Jakie jest twoje wrażenie?

– Możliwe, że tylko o to chodzi. Ale zdenerwował mnie, bo pchał się do moich papierów.

– Utkwił spojrzenie w jakimś odległym punkcie. Jego ręce gładziły jej plecy. – Mógłbym zebrać o nim dane. Wydaje się nieszkodliwy, ale ciekawość potrafi bardzo zmieniać ludzi.

– Mogę zapytać ojca, czy o nim słyszał. – Dotknęła palcem jego twarzy. – A tymczasem...

– Tak... ? – szepnął cicho, uwodzicielsko. Pocałowali się. Ich usta poruszały się najpierw czule, potem coraz łapczywiej.

Ogień rozpałał się powoli, rozszerzał stopniowo i... Frań zapukała do drzwi.

– O co chodzi? – Dixie uciekła z kolan szeryfa. Wygladziła biały kitel i suknię. Rzuciła wzrokiem na Hala. Siedział odprężony, z rękami założonymi za głowę, odchylony do tyłu, beczelnie uśmiechnięty. Rzuciła mu złe spojrzenie, podeszła do drzwi i otworzyła je. – Nagły wypadek?

Frań była zakłopotana.

– Raczej nie. Telefon do szeryfa. Na drugiej linii.

– Zapomniałem zabrać aparat przywoławczy – mruknął Hal i wstał. Był zły na siebie. – Ciekawe, skąd dyżurny wiedział, że ma tu dzwonić... – Podeszedł do biurka, podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać przyciszonym głosem.

– O Boże! – westchnęła półgłosem Frań i uśmiechnęła się do Dixie. – Nie rozumiem, dlaczego go tu szukają.

Dixie wyszła na korytarz i zamknęła drzwi. Nie chciała krępować Hala swą obecnością.

– Mielśmy jedną randkę, Frań – powiedziała, próbując skierować w tę stronę podejrzenia pielęgniarce. – To oczywiście nie znaczy...

– Dixie! – przerwała jej Frań, przechodząc na płaszczyznę przyjacielską – Daj spokój! Wszyscy w mieście wiedzą, że odwiedził cię w nocy.

– Och! – Dixie oparła się o ścianę. To przeklęte auto, które przejechało ulicą i oświetliło ich reflektorami.

– Czy to jest problem?

– Chyba nie – uśmiechnęła się Dixie. – Byłam głupia myśląc, że możemy utrzymać tu coś w tajemnicy dłużej niż jedną minutę. Czy ludzie uważają to za skandal?

– O nie! – Frań spojrzała w bok. – Prawdę mówiąc, rozeszły się pogłoski, że zwiążecie się na stałe, a to oznacza, że nie odejdiesz.

– Nieprawda! Bez względu na to, co się zdarzy między nami, nie zrezygnuję ze swych planów.

– Ludzie cię bardzo lubią.

– Ja też ich lubię, ale...

Hal otworzył drzwi gabinetu.

– Muszę iść, moje panie! Mały kłopot na ulicy wymaga mojej obecności. – Wsadził kapelusz na głowę. – Dixie, skontaktuję się z tobą później. – W jego oczach zabłysła obietnica.

– Dobrze! – Poczowała, że się rumieni. Patrzyła, jak wychodzi z przychodni. Jego wysoka postać promieniowała siłą i pewnością siebie.

– To jest mężczyzna! – westchnęła Frań. – Nie znajdziesz podobnych do niego w Kalifornii.

– Ja nie szukam. To, co się stało między nami... po prostu się stało. I nie ma żadnego wpływu na naszą przyszłość. To nie może...

– Jesteś pewna?

– Tak!

– A więc, poza protokołem i tylko między nami dziewczętami: jesteś cholerną idiotką, Dixie Sheldon!

Dixie zastanawiała się nad tymi słowami później, pod wieczór, gdy jechała między zalesionymi wzgórzami, odtwarzając trasę sobotniej wyprawy do restauracji Fawcettów. Jej suburban wrócił do formy dzięki mechanikowi, Alowi Pringle'owi. Z pełnym zaufaniem ruszyła w drogę. Nie powiedziała nawet Frań, że wybiera się poza miasto.

Nie zamierzała jeść w restauracji. Jechała zobaczyć się z panną Esther.

Miała kilka pytań do staruszki. I może kilka odpowiedzi.

Zrobiło się bardzo ciemno, jeszcze zanim wjechała na boczną drogę. Księżyc jej nie oświetlał, co przez jelenie i inną zwierzynę zostało przyjęte jako zaproszenie do przechadzki wzdłuż środkowej linii. Jechała powoli, lawirując między zwierzętami. Pomyślała, że łatwiej byłoby odbyć tę podróż konno. Przynajmniej koń nie byłby tak groźny dla zajęcy i jeleni, jak ten czołg, który prowadziła.

Gdy dotarła do parkingu, okazało się, że restauracja jest nieczynna. Nie świeciły się żadne światła, pomyślała więc, że Fawcettowie wyjechali; było zbyt wcześnie na sen. Zaparkowała, zostawiła notatkę pod szybą i ruszyła w górę, do chaty staruszki.

Marsz nie był tak miły, jak przechadzka z Halem. Po kilku minutach zrobiło się strasznie. Miała mocną latarkę, ale mrok zdawał się pochłaniać światło, pozostawiając ją w tunelu szarości. Przypomniała sobie ostrzeżenia przed czarami panny Esther i przez parę chwilę zastanawiała się, czy staruszka nie wykorzystuje ciemności, żeby utrudnić jej drogę i zniechęcić.

Śmieszne, pomyślała. Rzuciła snop światła przed siebie.

Wyszła w końcu na polanę. Światło błyszczało w oknach chaty, ale drzwi były zamknięte. Nie dojrzała koni w zagrodzie. Rozglądała się wokół. Gdyby wiedziała, co teraz zrobić... !

Zapukać? Zwyczajnie podejść i zapukać? A jeśli staruszka odpoczywa?

Albo pracuje?

Przypomniała sobie tysiąc bajek. Co się stało, gdy niczego nie podejrzewający przechodzień zastukał do drzwi wróżki?

Gdzie się podział ten cholerny kruk!? Akurat teraz, kiedy jest potrzebny... Czy jest on oficjalnym dzwonkiem u drzwi?

– Witam, młoda pani doktor! – powiedziała panna Esther. Jej głos był jakby uwolniony od ciała. Zabrzmiał tuż za prawym ramieniem Dixie. Kruk wrzasnął chrapliwie ze szczytu sosny.

Dixie krzyknęła i podskoczyła. Poświeciła wiwło latarką, próbując znaleźć wróżkę.

– Przyszłaś w odwiedziny? – Staruszka powoli weszła na polanę. Dwa koniki stapały za nią, jak dwa wielkie cienie. Niosła duży kosz wypełniony trawami, liśćmi, kwiatami i różnymi warzywami. – Bez swego wspaniałego mężczyzny?

– W-witam! – zająknęła się Dixie. – Przepraszam, że nie dałam znać, że przyjeżdżam, ale...

– A jak chciałabyś to zrobić, powiedz mi? – zachichotała panna Esther. – Chodź, dziecko! Mamy sporo roboty. – Ruszyła w stronę chaty, z konikami tuż za sobą.

Dixie poszła ich śladem. Światło latarki zatańczyło po ziemi.

– Zgaś to! – zażądała panna Esther. – To nie jest naturalne. Dixie posłuchała. Esther otworzyła zagrodę i wpuściła do niej zwierzęta. Potem zaprowadziła gościa do domu.

Wnętrze chaty było dokładnie takie, jakie Dixie zapamiętała, lecz bez wypełniającego je Hala wydawało się większe.

Esther postawiła koszyk na stole i niecierpliwym gestem wskazała na gasnący ogień w kominku.

– Rozpal go! – powiedziała. – Będziemy warzyć.

– Mhm! – Dixie odłożyła latarkę i torbę. – Gdzie jest drewno?

– Na stercie. – Esther zaczęła sortować rośliny na stole.

– Na stercie! – powtórzyła półgłosem Dixie. – Na zewnątrz?

Esther nie odpowiedziała.

Dixie wyszła w ciemność. Drewno znajdowało się gdzieś pod ścianą chaty. Postanowiła nie myśleć o możliwych robakach i wzięła całą naręcz szczap. Całe szczęście, że na podróż przebrała się w starą koszulę i dżinsy. Zaniósła bierwiona do środka i złożyła je przy palenisku. Esther stała w cieniu, przebierając w roślinach i mrucząc do siebie.

Dixie położyła trzy kawałki na palenisku na prymitywnym wilku. Zdjęła ze ściany stareńki skórzany miech i skierowała strumień powietrza na żarzące się węgle, aż drewno zaczęło dymić, a po chwili zajęło się. Zatańczył płomień. Dixie przycupnęła na piętach i wpatrywała się w niego.

– Dobry ogień – powiedziała Esther i stanęła obok. – Znasz drewno i ogień, prawda?

– Lubię dobry ogień wieczorem – uśmiechnęła się Dixie. – Zwłaszcza zimą, gdy pada śnieg. Czuję się przy nim bezpieczna.

– Ogień może uratować. – Esther przysiadła przed kominkiem. – Może też zabić.

Dwie kobiety patrzyły w płomienie. Po chwili Esther dźwignęła się i podeszła do stołu. Wzięła jedną z roślin i podała Dixie.

– Co to jest i na co się stosuje? – zapytała.

Dixie wzięła ziele. Miało długą łodygę i białe kwiaty. Śmierdziało jak stare, przepoczone skarpety.

– To łatwe! – powiedziała, zadowolona z siebie. – Waleriana. Używana na uspokojenie. W większych dawkach działa usmierzająco.

– A to?

Dixie obejrzała roślinę o grubych liściach i drobnych, purpurowych kwiatach, pozbawioną zapachu.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Powiedz mi, proszę! Wśród setek drobnutkich zmarszczek na brązowej twarzy Esther pojawił się uśmiech.

– Dobrze! – powiedziała cicho. – Jesteś dumna i prawa, i gotowa przyznać się, jeśli czegoś nie wiesz. Teraz możemy zacząć pracę.

Dixie wstała.

– Prawdę mówiąc, nie przyszłam tu się uczyć dzisiaj. Przynajmniej nie o ziołach.

– Więc co cię tu przywiodło?

– Hal.

Staruszka długo, badawczo przyglądała się dziewczynie. Potem się uśmiechnęła, odłożyła roślinę, którą trzymała w dłoni. Podeszła do swego krzesła na biegunach i usiadła przy kominku.

– Widzę, moje dziecko, że trawi cię jeszcze inny ogień. To też jest dobry ogień. Wypala śmiecie i pozostawia czyste złoto. – Zrobiła ruch ręką. – Siadaj! Porozmawiajmy. Zabierzemy się za naukę innym razem.

Dixie wróciła na swoje miejsce przy kominku.

– Chcę się dowiedzieć, co wiesz o rodzinie Hala. I dlaczego zachowywał się tak dziwnie, gdy odjechalismy stąd w sobotę. I dlaczego...

– Ciiii! – Esther uniosła chudą rękę. – Nie wszystko naraz. Sięgnęła po kołdrę i otuliła się na krześle. – Siły czasu i miłości oddziałują na młodego Harolda Kedricka Blane'a. To fakt. Każdy człowiek zachowywałby się dziwnie pod ich naporem.

– Czasu? – Siły miłości mogła zrozumieć. Ale czasu? – Co Hal ma z nim wspólnego?

– Czas panuje nad nami wszystkimi. Wiesz o tym. Od kołyski do grobu rządzi naszym życiem. – Esther zakołysała się. – A nawet poza grobem.

Dixie czekała. Staruszka kołysała się z zamkniętymi oczami.

– Zdaje mi się, że pamiętam... – rzekła w końcu. – Nie, to nie tak. Chyba nie wiem tak wiele... – Jej głos przycichł. Wyglądała, jakby miała zaraz zasnąć.

– A co z tymi zwłokami? – zapytała Dixie. – Co one mają wspólnego z Halem?

Stare oczy otworzyły się.

– Zwłoki? Jakie zwłoki?

– Te, które znaleziono na płaskowyzu. Prawdę mówiąc, sam szkielet. W sobotę. Gdy wracaliśmy od ciebie... – Zerwała się. Esther! Co ci jest?

Brazowa skóra staruszki przybrała odcień brudnej szarości, jej ciało zdawało się kurczyć. Podniosła ręce, które drżały jak listki podczas huraganu. Jej usta próbowały coś powiedzieć, ale nie mogły. Ledwo łąpały powietrze. Wąskie wargi zaczęły sinieć.

Dixie nie wahała się. Wzięła w ramiona drobne ciało z kołdrą i innymi okryciami i wyniosła je z chaty. Miała niewielką nadzieję na doniesienie jej na czas do suburbana i podręcznej apteczki, ale musiała spróbować!

Dotarła na skraj polany. Ciemność gęstego lasu czekała na nią. Zwolniła kroku.

– Wracaj!

Dixie zatrzymała się. Kruk sfrunął na gałąź sosny niemal na wysokość jej oczu. Zakrakał raz, głośno, ale ona słyszała wyraźne słowa.

– Wracaj, dziecko! – mówiła Esther. Jej głos był wątpy i bełkotliwy, ale już nie walczyła o powietrze. – Przeżyłam wstrząs – powiedziała. – Mam dobre zioła w chacie. Zanieś mnie. Powiem ci, co masz robić.

– Nie mogę, Esther! Jestem lekarzem medycyny, a nie znachorką. Nie mogę w pełni zaufać ziołom. Prawdopodobnie miałas łagodny zawał.

Esther rzuciła się tak gwałtownie, że Dixie musiała ją uwolnić. Staruszka zachwiała się, lecz odzyskała równowagę.

– Nic takiego nie miałam! – krzyknęła. – A ty, Dixie Sheldon, jeśli chcesz być moją uczennicą, to musisz mnie słuchać!

– Chcę zostać twoją uczennicą, Esther, ale nie będę narażać twego życia! – Dixie ujęła staruszkę za rękę. – Posłuchaj mnie, proszę! Przeraziłam cię wiadomością o znalezieniu zwłok. Więc pozwól mi zawieźć się do miasta i zobaczyć chociaż, co pokaże EKG.

Esther podniosła rękę do góry i objęła ramiona dziewczyny.

– Nie ty mnie przestraszyłaś. Ja sama siebie przeraziłam. A twój aparat nie powie ci niczego, czego ja nie wiem. Moje serce zrobiło jeden czy dwa kroki w tańcu śmierci, ale jest już dobrze. Musiało mi po prostu przypomnieć, kto rządzi tym workiem kości, to wszystko. – Uśmiechnęła się. – Miej trochę wiary we mnie, młódko!

Dixie zawahała się.

– Nie chcę być odpowiedzialna za twoją śmierć. Chcę...

– Więc wracajmy do domu – powiedziała Esther i wzięła ją pod rękę. – Pomóż mi. Jestem zdrowa, ale słaba.

Uścisk chudej dłoni był tak pewny, że Dixie niemal zwątpiła w to przyznanie się do słabości. Z całą pewnością kryzys, czy to, co się przytrafiło wróżce, przeminął.

– Zgoda! – powiedziała. – Ale w rewanżu pozwolisz mi później zabrać się do miasta i przeprowadzić gruntowne badanie.

– Oczywiście! Później! – powiedziała, ale nie spojrzała lekarce w oczy.

Powoli wróciły do chaty.

Dixie wygodnie ułożyła Esther na łóżku i przyrządziła herbatę według szczegółowych

instrukcji starej uzdrowicielki. Przygotowując napój uczyła się. Tylko szczyptę tej rośliny, tylko korzonki tamtej, nasiona jeszcze innej, ale zmiążdżone, nie zmielone. Woda z górskiego potoku. Gotowana długo, aby zabić pasożyty i bakterie. Wszystko to zaparzone w glinianym naczyniu.

Uwarzony tak napój śmierdzał jak parujące śmieci, ale Esther przełknęła go łapczywie i uznała za dobry. Dixie była wdzięczna pacjentce, że nie zaprosiła jej do tej herbatki. Jeszcze nie czuła się przygotowana do degustowania własnych leków.

Po godzinie Esther wróciła do normy i z taką samą jak dawniej... No, z prawie taką samą jak dawniej energią wróciła do przerwanej rozmowy. Została w łóżku, ale siedziała oparta na kołdrze i kilku prastarych puchowych poduszkach.

– Dalej! – zarządziła. – Musisz powiedzieć mi wszystko o grobie. Kto go odkrył, dokładnie, w jakim miejscu i co się z nim dzieje.

– Chyba nic się z nim nie dzieje – powiedziała Dixie.

– W końcu ciało spoczywało w nim sto lat. Hal nie chciał nic z tym zrobić, ale...

Oczy Esther zamknęły się natychmiast.

– Ale musi, prawda? Widzisz? Umarli, jeśli zechcą, mogą działać przez żywych.

– Nie rozumiem.

– Powiedz mi dokładnie, co się stało po waszym wyjeździe ode mnie. Jak się zachowywał przed otrzymaniem wiadomości o zwłokach tego mężczyzny i potem.

– Nie mówiłam, że to był mężczyzna.

– Ale był. Wiem. Opowiedz mi.

Dixie zrelacjonowała przebieg wydarzeń, łącznie z epizodem, kiedy Hal wydawał jej się innym człowiekiem. Mówiła otwarcie i szczerze.

– Myślałam, że dałaś mu jakiś narkotyk.

– Nie dałam mu nic, co mogłoby sprawić, że stanie się gwałtowny czy zagubiony. – Esther potrząsnęła siwą głową.

– To nie mieści się w moim słabym umyśle. Już ci mówiłam, że nie jestem czarownicą, a tylko starą kobietą.

– Jak starą? – zagadnęła Dixie.

– Starszą niż myślisz – uśmiechnęła się Esther. – Ale nie mam dokumentów. Kiedy się urodziłam, nie było jeszcze prawa nakazującego zgłaszanie dzieci.

– Nie było prawa stanowego? – Dixie nie mogła uwierzyć. To znaczyłoby, że Esther ma co najmniej sto lat! – Ani rejestrów powiatowych?

Esther zachichotała. Wracał jej humor i siły. Zsunęła nogi z jednej strony łóżka.

– Niczego, dziewczyno! – zawołała. – Kiedy wzięłam pierwszy oddech na tej ziemi, twoja babcia jeszcze się nie urodziła. – Wstała i podeszła do stołu. – Oczywiście, nie mogę tego udowodnić, więc to nie ma znaczenia. Dalej, posortujmy to wszystko. Możemy równocześnie rozmawiać. Czasami gadanie pomaga mi myśleć.

Przez następnych kilka godzin pracowały nad ziołami, trawami i kwiatami, które Esther zebrała wieczorem. Umysł Dixie był jak gąbka, wchłaniająca wszystkie informacje, jakie przekazywała jej starszka. Myśli o Halu, o jego tajemnicach, o zabitym człowieku wyblakły

w świetle wiedzy, którą zdobywała.

Po to przecież przybyła do Seaside!

Po to. Nie po Hala. To była jej przyszłość.

Jasne, że tak! Odepchnęła cienie zwątpienia, uczucia winy i miłości, wspomnienia namiętności i skoncentrowała się na wiedzy.

Szeryf Hal Blane był zły. Dochodziła piąta rano, a Dixie nie wracała. Był wściekły.

I zaniepokojony. I nie wiedział, któremu z tych uczuć popuścić cugli.

Siedział w jeepie przed jej domem, pielęgnując swoją godność i rany na honorze, ćwicząc cierpliwość. Czekał zaledwie kilka godzin, ale wydawało mu się, że dłużej. Znacznie dłużej. Dowiedziawszy się od Fran, że Dixie nie wróci do miasta przed nocą, poszedł spać do domu. Ale około drugiej po północy obudził się i zatęsknił za nią. I poczuł zazdrość, że wyruszyła w nieznaną bez niego. A nawet bez jednego słowa o celu wyprawy.

Prawdę mówiąc, nie miała szansy go zawiadomić. Po telefonie, który wywołał go z jej gabinetu, wziął udział w długich pertraktacjach, a w końcu w gwałtownej konfrontacji z Georgem Prestonem w barze U Shifta. Kowboj po całym dniu picia był tak zawiany, że walczył z każdym, kto stanął mu na drodze, z Halem włącznie. Gdy wreszcie znalazł się za kratkami, Hal miał podbite oko, rozkwaszony nos i obolałe, jakby popękane kostki pięści, którą uziemił George'a, ostatecznie rozwiązując kwestię.

Początkowo George chciał gadać, szczęśliwy, że jego brednie znajdują słuchaczy. Nienawidził wszystkich i wszystkiego. Chciał, żeby każdy o tym się dowiedział. Hal wyczerpał całą swą cierpliwość i umiejętności dyplomatyczne w toku pokojowych pertraktacji. Prestonowi zaś po pewnym czasie znudziło się gadanie i rzucił się na Hala z nożem i rozbitą butelką.

Hal po prostu odskoczył w bok, a potem uderzył szalonego kowboja prawym sierpowym w szczękę.

Nie przepadał za stosowaniem siły, tym razem jednak musiał się do niej uciec. I, mówiąc szczerze, poczuł się cholernie dobrze, gdy George osunął się na podłogę baru Shifta. Kowboj stawał się najgorszym typem rozrabiaki: tchórzliwym i okrutnym. Pił, aby dodać sobie odwagi. I czynił to regularnie. Choć wywinął się tym razem tylko z obolałą szczęką, był potencjalną ofiarą. Wpłacze się kiedyś w taką drakę, że nawet doktor Sheldon nie zdoła go skleić.

George, podczas ostatniej rozmowy z szeryfem w więzieniu, wprost tryskał jadem i przysięgał zemstę Halowi i całemu światu. Za kłopoty obwiniał wszystkich, tylko nie siebie i swoje pijaństwo. Był nieszczęściem, które prędzej czy później się zdarzy...

Hal zmienił pozycję w fotelu. Gdzież się ona, u diabła, podziewa?! Nikt nie miał pojęcia. Nikt nie wiedział, kiedy wróci. Frań Coble opatrzyła jego drobne urazy. Profesjonalna opieka pielęgniarki była wszystkim, czego wymagał. Lecz nie tym, czego pragnął.

Tęsknił za Dixie. Chciał czuć jej łagodne, silne, pewne, kojące i podniecające dłonie na swym ciele. Pragnął rozmawiać z nią o kłopotach z ludźmi takimi jak George, i knajpiarzami, jak Benny Shift, który lał w nich podłą whisky, aż w końcu tracili panowanie nad sobą.

Chciał... jej.

Gdzież ona, u licha, jest?!

Promienie wschodzącego słońca objęły jeepa. Zapowiadał się gorący sierpniowy dzień.

Hal zamknął oczy i przetarł je. Z niewyspania czuł piasek pod powiekami. Ziewnął.

Kiedy spojrział ponownie, Dixie wjeżdżała swym wielkim suburbanem na podjazd przed domem.

Hal wyskoczył z jeepa, wcisnął kapelusz na głowę i wkroczył na ganek, gdy ona stanęła przed drzwiami. Już miał wybuchnąć, gdy odwróciła się i obdarzyła go uśmiechem, który stopił go jak воск.

– Dzień dobry, Hal! – zawołała. – Spędziłam noc u panny Esther i... – Radosny wyraz jej twarzy ustąpił z troskaniu, gdy zobaczyła skaleczenia i podbite oko. – O mój Boże! Nic ci nie jest? Co ci się stało?

A więc była z Esther. Szeryf odetchnął z ulgą.

– Nic wielkiego. Nic mi nie jest, naprawdę. Frań mnie zreperowała.

Derie bardzo się przejęła i kazała mu wejść do środka, by tam gruntownie go przebadać. Obchodziła się z nim jak z delikatnym stworzeniem, które byle dotknięcie może uszkodzić.

Uwielbiał to!

Zbadawszy skaleczenia i upewniwszy się, że Frań wykonała dobrze swoją robotę, Dixie posadziła go na krześle przy stole kuchennym i zaczęła wypytywać o przebieg wydarzeń, które zaowocowały takimi urazami.

– Czemu pozwoliłeś się trafić? – zapytała. – Nie uchyliłeś się? Czy George jest aż tak szybki?

– Nie! – odparł Hal z oburzeniem. – Po prostu próbowałem rozładować sytuację bez użycia siły, aż było za późno.

– Aha! – Dixie obejrzała jego oko. Wstała i umieściła dwa kubki z wodą w kuchence mikrofalowej. – Często ci się to zdarza?

– Nie! – Nie czuł się teraz tak cudownie. Nie zachowywała się jak kochanka. Traktowała go jak lekarka...

– Mam wyjąć colta i zastrzelić go następnym razem? Wyjdę z tego z buzią czystą jak łąka.

– Oczywiście, że nie! Ja wcale nie próbuję krytykować cię za to, jak wykonujesz swoją pracę. – Kuchenka brzęknęła. Dixie dodała kawy do zagotowanej wody. – Masz, pij! Czy w ogóle spałeś tej nocy?

– Trochę. Frań dała mi tabletkę przeciwbólową. Zdrzemnąłem się na kilka godzin. – Potarł kark. – Męczyły mnie koszmarne sny.

– To się zdarza po niektórych lekach. – Usiadła i wzięła go za rękę. – Och, Hal! – westchnęła głosem pełnym współczucia i czułości. – Tak mi ciebie żal!

– Chciałem cię zobaczyć – powiedział. – Kiedy się obudziłem, zapragnąłem być z tobą. Przyjechałem tutaj, a...

– ... mnie nie było. Pojechałam do Esther i noc tak mi jakoś zeszła.

– Z Esther?

Dixie opowiedziała mu o niektórych wydarzeniach minionej nocy, opuszczając to wszystko, co odnosiło się do dramatycznej reakcji staruszki na wiadomość o szkielecie.

– Cóż to za nieprawdopodobna postać! – rzuciła. – Jak myślisz, ile naprawdę może mieć lat?

– Zupełnie się nie orientuję.
– Ona też mówi, że nie wie. Ale myśli, że więcej niż sto. Hal pociągnął łyk kawy.
– Nie byłbym zdziwiony. Przesunęła palcami po jego dłoni.
– Ani ja. Jest wcześniej, jeszcze nie muszę iść do pracy. A ty? – Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Żar ogarnął całe jego ciało.

– Bałem się, że już nigdy o to nie spytasz.

Wstali z krzeseł. Objęli się, najpierw ciepło, potem namiętnie, i ruszyli do sypialni. Chociaż zmęczeni do szpiku kości, dali sobie głęboką, pełną, wspaniałą miłość.

Później, gdy Hal wyszedł, a ona pod prysznicem próbowała odzyskać siły na na nowy dzień, pomyślała, że w łóżku tworzą coś magicznego, o czym dotychczas mogła tylko marzyć. Szkoda, że znalazła to z człowiekiem, z którym nie będzie mogła dzielić takiego życia, jakiego pragnęła.

Przez pewien czas nic ciekawego się nie działo.

Dixie i Hal spotykali się, gdy tylko mogli, aby rozmawiać i kochać się. Od czasu do czasu wyrwali się z miasta i spędzali czas na łowieniu ryb, konnej jeździe czy pikniku gdzieś na łonie natury.

Bardzo się do siebie zbliżyli. Dixie widziała to, ale wmawiała sobie, że nie ma to znaczenia. Mogła ogromnie lubić Hala, lecz przecież nie kochała go. Ich miłość jest jedynie romanssem, który w żadnym wypadku nie przeszkodzi jej w planowaniu przyszłości. Teraz to teraz. Przyszłość jeszcze nie nadchodziła.

W każdym razie cieszyła się z posiadania przyjaciela, który okazał się takim kochankiem.

Stali się sobie jeszcze bliżsi po wizycie w Salt Lake u kardiologa, który potwierdził diagnozę Dixie: fizjologicznie pani Blane jest zdrowa. Umocniło to jego zaufanie do niej, jej zaś pomogło wyzbyć się resztek przewrażliwienia, z jakim traktowała jego opinie o swojej pracy. Hal zgodził się nawet brać udział w sesjach terapeutycznych, gdyby Dixie i Hattie uznały, że nadszedł na to czas.

Artie bardzo się zaangażował w pracę przy wykopaliskach. Za zgodą ojca przeprowadził się tam do końca lata. Hal uznał, że danie synowi zajęcia i odrobiny swobody dobrze zrobi Hattie. I tak się stało. A przynajmniej tak się zdawało. Hattie z dnia na dzień nabierała sił i pewności siebie. Wszyscy w mieście zaczęli komentować ten fakt.

Pojawiły się pogłoski, że Hal i Dixie myślą o stałym związku i że dzięki temu matka szeryfa odzyskała pogodę ducha. Nikt nie mógł tego potwierdzić, ani zaprzeczyć. Mimo to kwestia ta stała się ulubionym tematem do plotek w mieście, a nawet w całym powiecie. Wszyscy zgadzali się, że dobrze byłoby mieć doktor Dixie, jak ją nazywali, w Seaside do końca jej zawodowej kariery, a jeśli wymagało to ożenienia szeryfa, to nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Oboje dobrze służyli miejscowej społeczności, więc jeśli byliby szczęśliwi ze sobą, to może nie zmieniliby pracy.

Hal wiedział, co ludzie gadają, ale zachowywał to dla siebie. Dixie pewnie nie odniosłaby

się życzliwie do tych plotek.

Ona sama żyła w szczęśliwym oszołomieniu romansem, badaniami i tajemnicą. Każdą wolną chwilę, której nie poświęcała Halowi, spędzała w lesie z Esther. Staruszka okazała się niewyczerpanym źródłem informacji i szczerze się cieszyła, gdy mogła dzielić się nimi z Dixie. Szybko rosły notatki lekarki oraz jej znajomość medycyny i mądrości ludowej.

Czuła jednak, że w osobowości staruszki istnieje taka strefa, do której ona, Dixie, nie ma dostępu. Tym bardziej pragnęła odkryć wszystkie sekrety Esther. Była równie spragniona tego, jak towarzystwa i miłości Hala.

Uważała, i powtarzała to sobie, że Hal jest na dziś, wiedza Esther – na przyszłość.

Winnie przyjeżdżała do miasta, gdy tylko mogła się wyrwać z wykopalisk. Wraz z Dixie ukończyła wreszcie głowę. Któregoś dnia przyjechał z nią Artie i pomagał, ale był dziwnie cichy i znalazł pretekst, by następnym razem wymigać się od tego. Obie kobiety doszły do wniosku, że wolał pracować „z facetami”, niż plątać się tutaj i dokonywać minimalnych poprawek w twarzy człowieka, który umarł sto lat temu.

Ogromnie lubiły tę pracę. Dixie nigdy czegoś takiego nie próbowała, a teraz odkryła, że ma talent, zwłaszcza gdy doszło do wypracowania ostatnich szczegółów.

– Jak myślisz? – zapytała Winnie i odsunęła się o krok od stołu. – Z wąsami czy bez?

– Z całą pewnością z wąsami. – Dixie wybrała pęk jasnobrązowych włosów, które wyprosiła w salonie piękności przy ulicy Głównej. – Wszyscy prawdziwi mężczyźni nosili je wtedy. – Przyłożyła je do górnej wargi.

– Dlaczego jasnobrązowe? – Winnie przyglądała się twarzy.

– Nie wiem. – Dixie wzruszyła ramionami. – Wydaje mi się, że pasują. Według tego, co powiedział Hastings, czaszka odpowiada typowi północnoeuropejskiemu lub anglosaskiemu. Uznałyśmy, że miał niebieskie oczy, prawda? A więc te włosy pasują. Możemy tu mieć współczesnego wikinga. – Wybrała ciemniejsze włosy i zrobiła z nich brwi.

– Wygląda dosyć srogo – zgodziła się Winnie. – Dobrze, mamy więc blondyna.

Dodały jeszcze rzęsy wokół szklanych oczu, bujną czuprynę, nie strzyżone bokobrody i odeszły od stołu, aby podziwiać swoje dzieło. Głowa patrzyła na nich.

– Poważny typ, prawda? – odezwała się Winnie. – Jakby cały ciężar świata dźwigał na swoich ramionach.

– Chyba nie miał szczęśliwego życia.

– Tak jak mówiłam. – Winnie skrzyżowała ręce na piersi. – Był surowym mężczyzną. Twardym, zimnym, poważnym...

Dixie pomyślała o Hалу, jej własnym poważnym mężczyźnie. Twardym, owszem, z pewnością jednak nie zimnym. Nie! Jest najczulszym mężczyzną, jakiego poznała. Czułym, mądrym i zadziwiająco miłym we współżyciu, pod warunkiem, że niczym się nie gryzie.

Posłał kulę i próbki kości do laboratorium w Cheyenne, lecz nie otrzymał jeszcze wyników. Zastanowiła się, co by zrobił, gdyby zobaczył głowę.

Z jakichś powodów nie była pewna, czy chciałyby się o tym dowiedzieć.

Musiały jednak coś zrobić ze swoim dziełem. Nie powinno zostać tu na zawsze, niemal zagrzebane, jak szkielet.

– I co teraz? – zapytała Winnie, wypowiadając na głos myśli lekarki. – Szkoda byłoby to tu porzucić.

– Wiem. Trudno jednak, bym wystawiła to w poczekalni. Ktoś mógłby wziąć to za oryginalny wieszak na kapelusze.

– Nie! – roześmiała się Winnie. – Ale powinnaś wystawić to gdzieś i obserwować reakcje ludzi, gdy na to spojrzą. – Obeszła stół dookoła. – To jest przystojny mężczyzna. Nawet kiedy tak patrzy, jakby chciał cię zabić.

– Patrzył. No i gdzie go to zaprowadziło? – Dixie nie potrafiła dostroić się do mentalności Winnie. Dla pani paleontolog martwi byli równie interesujący i godni uwagi, jak żywi.

– Już ty wiesz, co mam na myśli! – uśmiechnęła się Winnie. – On przypomina mi kogoś znajomego. Ale nie wiem kogo.

Dixie usiadła na taborecie.

– Myślę o tym samym – powiedziała Dixie. – Przypomnę sobie później.

– Może zna go twoja tajemnicza panna Esther? Dixie odwróciła się ku przyjaciółce:

– To wspaniały pomysł! – zawołała. – Może przynajmniej zasugeruje nam, kim on mógł być? Poczekaj! Zaraz go sfotografuję. – Wybiegła z pokoju. Wróciła po chwili z polaroidem.

– Trzymam ten aparat pod ręką, bo może mi być potrzebny do dokumentowania przejawów stosowania przemocy w rodzinie – wyjaśniła i zrobiła zdjęcie głowy. – Gdy mamy sfotografowane urazy ofiary, wtedy, nawet jeśli odmówi ona złożenia doniesienia, możemy uzyskać wyrok na faceta. – Wyjęła kliszę i patrzyła, jak wyłania się na niej obraz. – Nieźle!

– Zdjęcie lepsze niemal od oryginału – oświadczyła Winnie – Zrób jeszcze jedno i umieść je w poczekalni. Może znajdziesz jakiegoś weterana, który rozpozna tę twarz?

Dixie jeszcze raz podniosła polaroid do oczu.

Ale ani weteran, ani Esther nie okazali się pierwszymi, którzy rozpoznali twarz.

Pierwszeństwo przypadło Hattie Blane.

We wtorek rano Hattie przyszła na regularną wizytę. Dixie zajmowała się nagłym, niezbyt groźnym wypadkiem – oklejała plastrami małą pacjentkę, która spadła z drzewa i podrapała się o szorstką korę. Hattie usiadła więc obok Frań.

Siostra była pochłonięta jakąś papierkową robotą i czekała aż Dixie wezwie ją do pomocy. Po korytarzu krążyła matka biednej pacjentki, najwyraźniej obciążająca się winą za to, że pozwoliła córce zrobić sobie krzywdę. Choć Dixie zapewniła ją, że dziewczynce nic poważnego się nie stało i że łażenie po drzewach jest normalną, zdrową formą aktywności dziecka, kobieta nie mogła się uspokoić. Hattie poznała w niej Tessę Pringle, żonę Ala.

– Ja już po prostu nie wiem, co robić! – powiedziała Tessa, witając Hattie jako nowego świadka swego przestępstwa. – W ogóle mnie nie słucha. Jest ciągle niegrzeczna. Ona...

– Ona jest dzieckiem – przerwała jej Hattie. – To twoje najstarsze?

– Nie! – Tessa wyłamywała sobie palce. – Mamy jeszcze trzech chłopców. Sissy jest najmłodsza.

– Może dlatego jest taka żywa – powiedziała Hattie. – Chce być podobna do chłopców.

– A niby czemu miałyby tego chcieć?! – zawołała Tessa, autentycznie zdziwiona.

Ale Hattie nie odpowiedziała. Jej uwagę przykuła tablica informacyjna przy biurku Frań.

Frań widziała, jak rodzi się krzyk. Przysłuchiwała się rozmowie z nadzieją, że Hattie potrafi przemówić Tessie do rozsądku. Gdy któryś raz spojrzała na kobiety, Hattie właśnie zauważyła zdjęcie przypięte do tablicy.

Pani Blane poszarzała. Jej usta otworzyły się. Oczy zrobiły się wielkie.

Krzyknęła.

Tessa zerwała się, też z wrzaskiem, ściskając dłońmi głowę. Hattie jęknęła, tym razem ciszej. Następny krzyk Tessy niemal rozwalił ściany budynku.

Frań przewróciła krzesło, śpiesząc na pomoc rozhisteryzowanym kobietom. Dixie w białym kitlu i z dłońmi w chirurgicznych rękawicach wypadła z salki operacyjnej. Dziewczynka, Sissy Pringle, ze świeżymi bandażami na twarzy i rękach, stanęła w korytarzu i wrzeszczała całą mocą swych młodziutkich płuc.

Wrzask trwał – wydawało się – całymi godzinami.

Aż Hal i jego zastępca Ted wpadli przez główne wejście. Obaj ryknęli domagając się wyjaśnień, co tu się dzieje, co się komu stało, kto nie żyje i kto jest za to odpowiedzialny!

Chaos trwał dopóty, dopóki Dixie nie złapała za krzesło i nie walnęła nim w drewnianą podłogę. Huk, jak rewolwerowy wystrzał, zamroził wszystko. Zapanowała błogosławiona cisza.

Trochę to trwało, w końcu jednak Dixie zdołała opanować sytuację. Wraz z Frań zawlokły Tessę do jednego z gabinetów, Hal próbował uspokoić matkę w zaciszu pokoju lekarki. Ted zajął się dziewczynką i bawił ją opowieściami o swoich młodzieńczych wyczynach na drzewach.

Tessa uspokoiła się wreszcie i Dixie mogła zostawić ją pod opieką Frań. Skierowała się do swego gabinetu, do Hala i Hattie. Jak poinformowała ją Frań, wszystko zaczęło się od pani Blane, aczkolwiek siostra nie miała pojęcia dlaczego. Teraz, gdy wszyscy się uspokoiли, Dixie chciała w obecności Hala poznać przyczynę ataku.

Lecz jej pokój był pusty.

– Poszli chyba korytarzem do tylnej części budynku – powiedział Ted wyjrzawszy z salki operacyjnej. – Chyba tam, gdzie ma pani magazyn. Niech pani powie, doktorko, co pani wie o jakiejś twarzy? Bo pani Blane cały czas bełkotała o czymś takim.

– Och, nie! – Dixie zakręciła się na pięcie i pobiegła korytarzem. Otworzyła drzwi magazynu i znalazła w nim Hala i Hattie gapiących się na głowę. Twarz kobiety była teraz kredowo biała. Tak samo jak twarz Hala.

A kiedy Dixie przeniosła z niej wzrok na głowę, wiedziała już dlaczego. Wystarczyłoby dodać Halowi Blane'owi wąsy, bokobrody i kilka lat nieznośnie ciężkiego życia, a byłby bliźniaczym bratem człowieka pogrzebanego w skale. Musiał się czuć, jakby oglądał siebie w makabrycznym lustrze. Dla Hattie...

Któż mógł wiedzieć, czym jest to dla Hattie?

– Hm! – chrząknęła Dixie. Było to wszystko, na co mogła się zdobyć. Wystarczyło, by zwrócić ich uwagę.

– Co to jest?! – zapytał Hal ponurym głosem. Oczy miał zwężone do szparek miotających

błękitne błyskawice. – Czy to...

– Tak. To czaszka – powiedziała Dixie. Uważnie patrzyła na Hattie. Trochę koloru wróciło na twarz kobiety, ale drżała jeszcze uczepona ramienia syna. – Z...

– ... z ziemi Kedricków – dokończyła Hattie. – O mój Boże! Hał, to twój pradziadek. Mój dziadek. Robert Kedrick. – I Hattie Blane zemdląła.

Artie Blane czołgał się po stoku urwiska. Mógł już prawie słyszeć Hastingsa Clarka i doktora Haydena.

Obóz się zwijał i większość osób, z którymi pracował, pakowała swe rzeczy przed odjazdem. Miał niewiele do roboty i mógł włączyć się po terenie. Coś w zachowaniu doktora Haydena i Hastingsa Clarka zwróciło jego uwagę, więc godzinę temu opuścił swoje miejsce na płaskowyżu. Potem zszedł wschodnim stokiem urwiska do doliny, gdzie płynął potok. Drzewa zasłaniały go aż do miejsca, w którym znalazł się pod nawisem skały. Teraz skradał się pod górę południowym zboczem, dokładnie pod zagłębieniem, w którym znaleziono kości.

Dwaj mężczyźni, których obserwował, wpadli chyba na jakiś trop. Artie musiał poznać ich tajemnicę. Przyglądał im się od wielu dni. Nabierał coraz większego przekonania, że mają nieczyste zamiary, nie dopuszczając nikogo do grobu. Nocą, kiedy reszta obozu spała i tylko w namiocie Haydena paliła się lampa, Artie zakradł się pod namiot i usłyszał, jak dwaj mężczyźni rozmawiają szeptem.

Dyskutowali...

Kłócili się...

Czasami skakali sobie do gardła. Niejeden raz widział sylwetki gotowe do walki i cienie zaciśniętych pięści.

Ale nie dochodziło do draki. Mężczyźni uspokajali się i powracali do rozmowy. Czasami mówili głosami tak cichymi i wzburzonymi, że nie rozróżniał słów. Na turystycznym stoliku musieli mieć rozłożone mapy i jakieś papiery, które często studiowali. Trwało to godzinami.

Artie Blane okazał się zaskakująco cierpliwy jak na swój wiek. Czekał, rozglądał się i słuchał. A dzisiaj był pewien, że dokonali ważnego odkrycia lub że podjęli jakieś decyzje. Ich głosy brzmiały inaczej.

Tak więc wspinał się. Zanim zaczęli z ojcem kłócić się o wszystko, spędzali wiele czasu razem. Często wrywali się za miasto na wspinaczki po skałach, wędrówki po okolicy, wędkowanie. To, co teraz robił, nie było żadną nowością. Dzięki tacie. Obmacał dłonią skałę w poszukiwaniu uchwytu.

Jest! Ciężko dysząc przez dłuższą chwilę wisiał na rękach.

Pod nim bełkotał strumień i łagodny sierpniowy wiatr przemykał między gałęziami sosen.

Ponad nim rozlegały się przyciszone głosy.

Artie znalazł rząd szczelin na ręce i nogi, który doprowadził go na odległość kilku metrów od występu skalnego. Teraz słyszał dobrze.

Trzej mężczyźni rozmawiali tuż nad nim. Jeden z nich zbliżył się do krawędzi występu i kopnął kilka kamieni. Poleciały w dolinę.

– To mogło stąd zlecieć na mordę, nie?! – odezwał się nieznajomy głos. Był ponury i zachrypnięty, jak u człowieka, który bardzo dużo pali lub pije. – Ładny kawał drogi. Mogło chlupnąć prosto w rzekę i wypłynąć w środku piekła, nie?!

Artie przywarł całym ciałem do zbocza.

– Nie, George! – zaprzeczył Hastings Clark. – To nie spadło. To znajduje się gdzieś na płaskowyżu i czeka, byśmy je znaleźli.

Nieznajomy zakaszłał sucho i splunął. Plwocina przeleciała nad krawędzią i tuż nad Artim.

– To ty tak trujesz. Ja tam, człeku, nie widziałem tu jednego błysku złota, nie?! Więc...

Artie nastawił uszu. Cisza. A potem:

– O kurde! Znaleźliście!

– Zamknij się, George! – powiedział doktor Hayden. – Trochę głośniej, a cały obóz dowie się o twoim istnieniu. Nie, nie znaleźliśmy całego złota. Hastings znalazł tę monetę przy szkielecie. To wszystko. Ale uważamy, że ma to wielkie znaczenie. Kedrick musiał mieć ją w kieszeni, gdy go chowano. Przetrawała rozkład ciała i odzieży. Wpadła w miękki piasek pod biodrem. Inni jej nie znaleźli, w przeciwnym razie rozkopaliby całą okolicę w poszukiwaniu kasy.

Artie poczuł zawrót głowy. Kedrick! Kedrick? Oni znaleźli...

To niemożliwe!

Wbił palce głębiej w szczeliny i przytulił twarz do szorstkiej skały. Przez całe życie słuchał opowieści babci o złych, starych Kedrickach, w szczególności o Robercie. O tym, jak zbrodnie prapradziadka doprowadziły rodzinę do ruiny. Jego rodzinę!

Robert Kedrick!

To była twarz, którą pomagał odtworzyć doktor Sheldon i doktor Nash.

Łzy popłynęły mu z oczu i potoczyły się po młodej twarzy. Nie wiedział, że płacze z żalu za człowiekiem, którego nigdy nie znał, lecz którego twarz zaczął dostrzegać w glinie nakładanej na czaszkę.

Robert Kedrick.

Złodziej i morderca.

Ale jego prapradziadek!

Którego zamordowano!

Zamordowano. Zastrzelono i rzucono do grobu na stoku urwiska.

A teraz ci faceci na górze planowali ukraść to, co Kedrick zrabował. Złoto armii, które kosztowało Kedricków ich ziemię, ich godność, ich...

Akurat skradną! Artie poczuł, jak coś obcego i jednocześnie .. znajomego zagnieździło się w jego sercu. Poczuł gniew tak głęboki, że zadrżał. To zapłonęło w nim pragnienie zemsty. To zrodziła się wola odzyskania tego, co kiedyś utracono.

Jeżeli znajdzie i zwróci złoto zrabowane przez prapradziadka, to może, tylko może, wróca do nich te ziemie? Do babci, taty i do niego?

Tamci znowu rozmawiali.

Podciągnął się w górę i słuchał.

– Sezon się kończy – mówił Hayden. – Zgodnie z planem jutro zamykamy wykopalisko. Będziemy musieli wyjechać, gdy obóz się zlikwiduje.

– Ale to nie znaczy, że znikniemy na dobre – wtrącił Hastings. – A póki my w tajemnicy nie wrócimy, ty, George, będziesz tego wszystkiego pilnował. Zrozumiałeś?

– Dajecie mi forszę, żebym trzymał Blane’a z dala od...

– Płacimy ci, żebyś nikogo nie dopuszczał do tego miejsca – rzucił Hayden. – Jeżeli szeryf zacznie tu węszyć, odstrasza go!

– On się nie przestraszy – powiedział Hastings. – Może będziesz musiał go skrzywdzić.

– Nie ma sprawy, kurde! – zawołał George. – Nienawidzę tego...

Artie wczepił się w skałę i podciągnął jeszcze trochę.

Gdyby zobaczył tego George’a, mógłby ostrzec ojca przed niebezpieczeństwem. Bez żadnego dowodu stary mu po prostu nie uwierzy. Tego byłoby mu za wiele! Te resztki są szkieletem Roberta Kedricka, a Hastings Clark i doktor Hayden w tajemnicy poszukują zagubionego złota? Właśnie. Tato byłby pewien, że to wszystko wykombinował. Że kłamie. Bo chce zwrócić na siebie uwagę, czy coś w tym rodzaju.

Potrzebował dowodu. Zidentyfikowania tego trzeciego. Czegokolwiek!

Ale skała wysuwała się teraz nad głowę i pokonywanie tego nawisu groziło nie tylko upadkiem, ale i zdemaskowaniem. Został więc na miejscu i słuchał dalej.

– Myślałem, żeście się skumpulowali z szeryfem – odezwał się George.

– Tak. Uratował mi życie. – Głos Hastingsa się zmienił. – Ale wolę mieć złoto niż dług wdzięczności. Nic mnie nie obchodzi, co się stanie z Blanem. Załatw go, jeśli będziesz musiał.

Krew w żyłach Artiego stężała. Ci ludzie mówili o zabiciu jego ojca! Nie miało już znaczenia, czy miał dowód. Musiał go ostrzec i przekonać.

– My tu wrócimy – powiedział Hayden. – Ale nikt o tym nie może się dowiedzieć. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi, zostając na dłuższe badania. Wszyscy musimy być cierpliwi.

– I to się opłaci – dorzucił Hastings. – To, co znajdziemy, będzie teraz cenniejsze, niż sto lat temu. Wszyscy trzej staniemy się bogaci.

– W porządziu, nie?! – burknął George. – Nie mogę się doczekać, kiedy się dorwę do tego Blane’a.

– Zadbamy o to, żebyś miał okazję – rzekł Hayden.

– Może pochowamy go tutaj, gdzie leżał jego pradziad. Za następne sto lat ktoś go wygrzebie i zacznie łamać sobie głowę, kim też był ten facet.

Cała trójka roześmiała się, jakby to był przedni żart.

Artie Blane wczepiony w skałę i ziemię kilka metrów pod nimi przysiągł sobie uroczyście: przyszłość potoczy się innym torem, niż to zaplanowała bandycka trójka.

Już on zadba o to! Spuścił się w dół do potoku. Potrącił po drodze tylko parę kamyków.

Hattie szybko przysła do siebie i pod opieką pielęgniarki odpoczywała na łóżku w tym samym pokoju co Tessa Pringle. Na razie nie wykazywała ochoty do rozmowy o czaszce. Kiedy Hal próbował ją o coś zapytać, zamknęła oczy i płakała w milczeniu. Zwrócił się więc do kogoś innego.

– W porządku! – powiedział i całą uwagę skoncentrował na Dixie. – Chcę znać każdy szczegół. Tylko bez owijania w bawełnę!

– Nie mów do mnie tym tonem! – odwarknęła Dixie. – Tak się zachowujesz, jakbym popełniła zbrodnię.

Byli w jej gabinecie, rozdzieleni biurkiem, gniewnie mierząc się wzrokiem. Między nimi znajdowała się głowa Roberta Kedricka. Gdy lekarka doglądała Hattie, ktoś, pewnie Ted, przeniósł czaszkę na jej biurko. Na pewno nie zrobił tego Hal, który omijał ją z daleka, jakby była trująca.

– I popełniłaś! – ryknął Hal. – Jeszcze tylko nie wiem, jak ją nazwać. – Złapał kapelus, który leżał na biurku obok głowy i cisnął nim o ścianę. – Niech to diabli... !

– Hal! Uspokój się, na miłość boską!

– Dlaczego? – wrzasnął i podniósł ręce nad głowę. Ta wściekłość przypominała jej jego dziwne zachowanie w nocy, kiedy po raz pierwszy spotkali Esther i znaleźli grób. – Zafundowałaś mamie niemal prawdziwy atak serca! Ty... Ty sprofanowałaś grób! Ty... Ty...

– Co ja?! – Dixie stanęła tuż przed nim, nie obawiając się, że i tym razem może ją popchnąć. – Nie zbeczcziłam mogiły twego pradziadka. Ja go uwieczniłam!

– To... To źle zrobiłaś.

– Dlaczego? – Podeszła jeszcze bliżej. – Hal, czego się boisz? – Dotknęła jego twarzy. – Jesteśmy kochankami. Nie możesz mi zaufać?

– Widocznie nie! – Twarz miał znowu kamienną, głos zimniejszy od lodu. – Czemu to zrobiłaś i nic mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem. – Dixie spojrzała w bok. – Szczerze mówiąc, zaczęłam to robić z Winnie ze zwykłej ciekawości. To wszystko.

– Ale nigdy mi o tym nie wspomniałaś! Nie widziałaś, że...

– Co miałam widzieć? – Spojrzała na niego. – Podobieństwo? Nie, nigdy. Oh, coś mi się zdawało, ale nigdy mnie to nie uderzyło. On jest starszy, brutalny, inaczej uczesany, z wąsami. Poza tym cały czas o tobie myślę, więc nie zdziwiłoby mnie, że dostrzegam twoje odbicie w tej twarzy. Ale ani przez chwilę nie sądziłam, że to twój przodek. Dopiero gdy stanąłeś obok... – machnęła ręką w kierunku głowy. – Teraz oczywiście widzę podobieństwo. Mógłby być twoim bliźniaczym bratem.

Hal wzdrygnął się. Opuścił bezradnie ręce i usiadł ciężko na krześle.

– Dixie, to zaszkodzi mojej mamie.

– Dlaczego? – Ukłękła przy nim. – Dlaczego miałoby to jej zaszkodzić, a nie pomóc?

Jego oczy były ciągle zimne jak lód.

– A niby jak miałyby pomóc, pani doktor?

– Wyjaśnij, co się stało! – Podniosła się, podeszła do biurka i spojrzała na Roberta. – Dowiedz się, dlaczego zginął.

– Zrabował armii złoto. – Głos Hala był równie martwy, jak jego przodek. – Był przestępcą.

– Możliwe. Ale nie znasz całej historii, prawda? Czy nie krążyły plotki, że uciekł do Ameryki Południowej? Teraz masz dowód, że zmarł tutaj w powiecie SeaLake. Dowiedz się więcej!

Hal wpatrywał się w głowę.

– Może ja nie chcę wiedzieć więcej?

– Tchórz!

Błysnął ku niej oczami, lecz się nie odezwał.

– A co z Reedem Turnerem? – Dixie spróbowała zająć go z innej strony.

– A co ma być?

– Przecież interesuje się historią tej okolicy. Może chciałby zająć się tą sprawą zamiast ciebie. Mówiłeś, że cię odwiedził...

Hal podniósł się.

– Czy mojej mamie nic nie będzie?

– Nie. Zbadałam ją gruntownie. Przeżyła wstrząs, ale... Podeszedł do biurka i wziął kapelusz. Wcisnął go na głowę, wyszedł z gabinetu i trzasnął drzwiami.

Dixie patrzyła za nim.

– No i dobrze! – odezwała się po chwili. – Wspaniale! Jak sobie życzysz. Nie słuchaj mnie. Idź! Uciekaj! Świetnie!

Ale nie czuła się świetnie.

Prawdę mówiąc, czuła się tak źle, że usiadła przy biurku i zaczęła płakać czując na sobie surowe spojrzenie Roberta.

– Zaprowadź dzieciaka do matki! – Hal rozkazał Tedowi, gdy wkroczył do poczekalni. – Przejmujesz wszystkie obowiązki, dopóki nie wrócę, rozumiano? Bez względu na to, jak długo to potrwa. Jeśli będą kłopoty, dzwoń do Harlena Davisa w Cody. Ma tego lata kilku dodatkowych ludzi.

– Jasne, szefie! – Ted wstał i niedbale zasalutował. – Dokąd się wybierasz?

– W sprawach służbowych – warknął Hal i zniknął za drzwiami, zanim Ted zdołał zapytać o jakieś szczegóły.

Z drugiej strony, dumął zastępca prowadząc dziewczynkę korytarzem, może i nie należało teraz zadawać szeryfowi zbyt wielu pytań. Wyglądał, jakby chciał jeszcze jakąś inną głowę postawić na biurku doktorki.

Ted zatrzymał się przed drzwiami gabinetu. Zdawało mu się, że słyszał płacz. Zawahał się. Czy powinien sprawdzić? Blane był tak wściekły, że mógł...

Nie! Nie dotknąłby doktorki. Nie Hal Blane! I podobno byli kochankami. Przesunął się obok zamkniętych drzwi i wszedł do pokoju z dwoma łózkami. Hattie Blane siedziała i

rozmawiała z pielęgniarką, Frań Coble. Pani Pringle ciągle leżała i wyglądała niedobrze.

– Jak się miewacie, panie? – zapytał Ted. Czuł się paskudnie. – Przyprowadziłem Sissy, bo muszę iść do biura.

Hattie spojrzała na niego spokojnie.

– Gdzie jest mój syn?

– Nie wiem, psze pani! Poszedł. Nie powiedział dokąd.

– Gdzie jest pani doktor? – Hattie wstała.

– Tutaj! – odezwała się Dixie od drzwi. Tylko lekko spuchnięte oczy zdradzały jej uczucia. Weszła do pokoju. – Jak się czujecie?

– Okropnie! – jęknęła Tessa.

– Świetnie! – powiedziała Hattie.

– Porozmawiaj z panią doktor! – Frań szturchnęła panią Blane. Wzięła za rękę Sissy. – Musimy zatroszczyć się o twoją mamusię, prawda, kochanie?

– Jasne! – Sissy nie zdradzała większej ochoty do pomagania, ale pogładziła ramię mamusi.

Ted wyszedł, a Dixie zaprowadziła Hattie do gabinetu.

– Głowa ciągle stoi u mnie na biurku – ostrzegła. – Na pewno chce ją pani zobaczyć?

– Tak! – rzekła Hattie. Mówiła mocnym, równym, głosem. – A potem pani i ja pójdziemy do mnie do domu. Pokażę pani zdjęcia, które przekonają panią, że ten zmarły jest naprawdę Robertem Kedrickiem.

– Ja już jestem przekonana. – Dixie otworzyła drzwi. – Jest tak bardzo podobny do Hala, że to wprost czarna magia!

– Albo demony. – Hattie spojrzała na swego dziadka. – Wie pani, zawsze go nienawidziłam.

– Za to, o co go posądzano?

– Za to co zrobił. Zrujnował naszą rodzinę. – Hattie skrzyżowała ręce na piersiach. – I to trwa po dziś dzień. Nie sądzę, żeby mój syn zdradził się przed panią ze swoją obsesją.

– Usiadła.

– Obsesją?

– Jestem pewna, że to przez nią nigdy nie opuścił Seaside. Dlatego pozwolił odejść żonie. On się stąd nie ruszy. Przez całe swe dorosłe życie studiuje przeszłość. Na poddaszu ma prawdziwą bibliotekę. Zagrzebuje się tam na całe godziny. Czasami pracuje nocami. Albo dniami, jeśli ma wolne. Szuka informacji o tym, co zdarzyło się z Robertem Kedrickiem.

– Ruchem głowy wskazała na czaszkę.

Mówiła dalej, głosem pełnym goryczy.

– Dziadek opuścił rodzinę, zostawił ją bez centa. Babcia samotnie uprawiała ziemię, aż mój ojciec dorósł na tyle, że mógł przejąć gospodarstwo z jej rąk. Potem mój mąż to robił, ale traciliśmy ziemię, kawałek po kawałku. Większość ziemi została zabrana za zaległe podatki i zlicytowana za długi. Hal poświęcił wiele czasu próbując udowodnić, że było to nielegalne, ale żaden prawnik nie chce nawet dotknąć tej sprawy.

– Czemu nie?

– Bo historia Kedricków jest jak czarna karta. Gdy Robert zrabował złoto armii, rząd postanowił ukarać nas wszystkich. I to trwa po dziś dzień. Jeśli jakiś prawnik zdecyduje się zająć tą sprawą, zostanie pozbawiony praktyki.

– To nie może być powodem. Są prawnicy, którzy gotowi byliby bronić samego diabła. – Dixie zastanawiała się przez chwilę. – Znam adwokata, przyjaciela, który jest mi coś winien. Gdyby pani zechciała, mogłabym zatelefonować do niego i poprosić, żeby zbadał sprawę w pani imieniu.

– Nie, wolę nie mieszać w to obcych.

Dixie chciała forsować swój projekt, ale uznała, że starsza pani ma dosyć wzruszeń. – Decyzja należy do pani – powiedziała łagodnie.

– Dziękuję pani! – powiedziała Hattie bardzo oficjalnie. – Doceniam to, co pani próbuje zrobić, ale to po prostu nie ma sensu.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Zło, które uczynił – wskazała na głowę – spadło na nas wszystkich.

– Hattie! – Dixie usiadła na nowo. – Ten człowiek zrabował złoto armii. Postąpił nagannie, ale nie było to zło ostateczne.

– On nie jest pani dziadkiem. Dixie nie znalazła na to odpowiedzi.

– Zaprowadzę panią do domu – westchnęła i wstała.

– Najpierw niech pani zdejmie i zniszczy to zdjęcie z tablicy w poczekalni. Proszę! Nie mogę znieść myśli, że ktoś inny mógłby je oglądać. – Jeszcze raz spojrzała na głowę. – I niech pani zakryje to coś.

Dixie zakryła głowę i zdjęła fotografię. Ale nie zniszczyła jej. Włożyła do szuflady biurka. Potem odprowadziła Hattie do domu.

Przeżyła tam niezwykle zaskoczenie.

Gdy zobaczyła bibliotekę na poddaszu, zrozumiała, jak głęboko zakorzeniona jest w rodzinie Blane'ów obsesja na tle Kedricka. Hattie nie przesadzała. Książki, dokumenty i wydawnictwa rządowe piętrzyły się w całym pokoju, zapępniały półki od podłogi do sufitu. Tani komputer stał na biurku, obok walały się dyskietki. Niewykształcony, niesystematyczny badacz, niemniej badacz! Dążący do jednego celu: wykrycia prawdy o swojej przeszłości.

Pewnie dlatego tak negatywnie odniósł się do Reeda Turnera, bo chce wszystko zrobić sam. Tak jak Hattie: obcym wstęp wzbroniony.

Czy zakaz obejmuje ją również?

Hattie mówiła dalej:

– Hal wychował się studiując przeszłość. Nigdy nie szło mu zbyt dobrze w szkole, ale jeśli zajmował się czymś, co go interesowało, mógł stać się ekspertem prawie w ciągu jednej nocy. Kiedy bierze się do nauki, jest jak gąbka. Moja babcia, póki jeszcze żyła, opowiadała mu całymi godzinami. Był wówczas małym chłopcem, ale łykał te opowieści o rodzinnych legendach i cierpieniach. Gdy babcia umarła, moja mama wzięła na siebie przekazywanie tych historii.

Podeszła do kartoteki i wyjęła grubą teczkę. Otworzyła ją i pokazała Dixie oprawioną fotografię.

Hal i jakaś obca kobieta stali sztywno upozowani w dziewiętnastowiecznych strojach ślubnych.

Nie, to nie Hal.

To Robert. W młodości musiał być jeszcze bardziej podobny do szeryfa. Przeszłość sięgnęła w teraźniejszość... Pieczętując żywych rysami zmarłych.

Wstrząśnięta chodziła po pokoju. To było miejsce Hala na ziemi. Bardziej niż jakiegokolwiek inne. Czula go tutaj. Widziała go. Odczuwała jego ból. Jego pragnienie prawdy, wszystko jedno jakiej, i dobrej, i złej. Pragnienie, które tak dobrze rozumiała. Szarpnęła nią nagle tęsknota za nim. Poczula się zaskoczona jej gwałtownością.

– Tak więc odziedziczył gorycz i pamięć swojej prababci i babci? – spytała. Musiała nieco ostudzić swe uczucia.

– Można to tak nazwać. – Hattie zacisnęła usta.

– Nie chcę pani urazić, Hattie, ale teraz jest to dla mnie coś więcej niż tylko problem medyczny. – Dixie podeszła do biurka.

– Naprawdę zależy mi na pani synu. – Spojrzała na papiery i na naklejki na dyskietkach.

– I ja tak sądzę. Dixie podniosła głowę.

– Ale może go pani zostawi, jak ta pierwsza?

– Hattie, on wie, że jeszcze zanim tu przyjechałam, zanim zaprosił mnie na obiad, zaplanowałam wyjechać stąd za trzy lata. Nie utrudniajmy sobie życia. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, to wszystko! Ja nie jestem żoną Hala.

Hattie zaczerwieniła się i odwróciła.

– Przepraszam, pani doktor. Nie miałam prawa...

– Nie ma sprawy. Zdaje się, że panią rozumiem. – Może nawet mówiła prawdę, nazywając związek z synem tej kobiety tylko przyjaźnią? Przyjaźń wystarczyłaby, aby czuć ten ból.

Nie trzeba przecież kochać, żeby tak cierpieć. Wystarczy troszczyć się o kogoś, by tak bolało. Hattie miała łzy w oczach.

– Napije się pani ze mną herbaty? A może zjemy lunch? Robi się późno, a ja jestem głodna, mimo całego tego... podniecenia.

Dixie przyjęła zaproszenie z zadowoleniem. Oznaczało to bowiem, że Hattie nie poniosła większego uszczerbku na zdrowiu. Apetyt jest zawsze dobrym znakiem.

– Świetnie! – powiedziała lekarka. – Też jestem głodna. I przecież nie odbyłyśmy naszej rozmowy, prawda?

– Nie, Dixie! – uśmiechnęła się pacjentka. – Nie odbyłyśmy. A przecież powinnyśmy.

– Czy mogę zatrzymać na jakiś czas zdjęcie Roberta i pani babci? Obiecuję, że nie zgubię.

– Może je pani wrzucić do ognia, jeśli pani zechce. – Hattie podała jej teczkę. – Widoku tej głowy nie zapomnę do końca mego życia!

Dixie wzięła teczkę i nie dyskutowała więcej.

Hal pędził na teren wykopalisk jakby mu sam diabeł pięty przypalał. Widok tej twarzy,

tak do niego podobnej, wzbudził w jego głowie i sercu myśli i uczucia, których jednocześnie nienawidził i pragnął.

A świadomość tego, że Dixie Sheldon rozpoczęła to babranie się w jego wnętrzu, dręczyła go bardziej niż widok głowy pradziadka.

To była zdrada.

To była historia jego życia.

Gdzieś w głębi czuł, że traci rozsądek, ale świadomość tego nie łagodziła ostrości uczuć. Rozerwie Winnie Nash na strzępy, potem wróci po Dixie! Nie miały prawa tego robić! Nie miały prawa ekshumować Roberta Kedricka i odtwarzać go, żeby cały świat zobaczył...

Żeby cały świat zobaczył, jak jest podobny do swego prawnuka...

Zwolnił. Chmura kurzu, którą ciągnął za sobą jeep, zaczęła go ogarniać i przesłaniać widoczność. O czym on, do diabła, myśli?!

Boże! Czyżby oszalał?

Zwolnił jeszcze bardziej. Przed nim wysoko wznosił się stok prowadzący na płaskowyż. Krajobraz rozplywał mu się przed oczami. Zamrugał, chcąc odzyskać ostrość widzenia. Jak mógł myśleć o skrzywdzeniu którejs z tych kobiet? Nie zrobiły nic złego. Zaspokoily tylko swą ciekawość. Czy dostawał kołowacizny? Czy duch pradziadka przywiódł go do obłądu?

Hal zatrzymał się na środku drogi. To dopiero było wariackie myślenie! Nikt inny nie odpowiada za jego czyny i myśli, tylko on sam! Jego wściekłość nie była winą Dixie czy Winnie. Rodziła się z niego i tylko w nim.

Oparł głowę na kierownicy i spróbował płakać.

Nie mógł. Krople poru spływały po jego twarzy, lecz ani jedna łza. Kurz ciągle wirował wokół wozu. Hal czuł się wciągany w wir koszmaru, przed którym nie sposób uciec.

W pewnym momencie, jakby dla podtrzymania atmosfery horroru, w chmurze pyłu pojawiła się niewyraźna postać i szła ku niemu. Zamknął oczy, przekonany, że wyobraźnia przyłączyła się do szaleńczych płasów reszty jego duszy. Kiedy znów uniósł powieki, nie zobaczył nikogo. Opadł na oparcie fotela i starał się uspokoić.

Pięść walnęła w szybę tuż przy jego głowie.

W ułamku sekundy przekręcił się na siedzeniu, cofnął od okna i wyciągnął rewolwer. Jego palec już zaciskał się na spuście, gdy usłyszał znajomy głos:

– Tato! To ja! Artie! Nie strzelaj!

Wszystkie jego mięśnie zmieniły się w watę. Drżącą ręką schował broń.

– Artie! Co, do diabła... – wykrztusił z siebie. – Przestraszyłeś mnie śmiertelnie!

Artie otworzył drzwi i usiadł na fotelu kierowcy.

– Ty mnie też! Co ci się stało, tato? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Hal wyprostował się i zamknął oczy. Drżał jak liść na wietrze.

– Chyba zobaczyłem.

– Roberta Kedricka – rzekł Artie. Nie było to pytanie.

– Skąd wiesz?

– Trochę pomagałem przy tej czaszce. Ale jest jeszcze coś, tato, o czym musimy pogadać.

Ale poważnie!

Hal przyjrzał się synowi. Nie było w nim nic z ponurego nastolatka. Szczeniak w fotelu kierowcy przestał być dzieckiem. Skinął głową.

– Przejmuj kierownicę, synu – powiedział. – Jazda! Artie zaczął coś mówić, potem uśmiechnął się i wrzucił bieg.

– O rany! – powiedział cicho. – Pierwszy raz! Pierwsza jazda! – Zwolnił hamulec, szarpnął trochę, a potem płynnie wprowadził wóz na prerię.

– Zdaje mi się, że to pierwszy raz za moją zgodą – rzucił cierpko Hal. – Jeździłeś już przedtem.

Artie nie przyznał się, ale uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Po kilku minutach znaleźli się przy topolach rosnących nad strumieniem. Hal kazał synowi zatrzymać wóz. Wysiedli z jeepa i bez słowa poszli ku wodzie.

Chłopiec usiadł na brzegu. Hal przestał się trząść, ale jego ciało było jeszcze sprężone do walki. Wolał stać.

– Oglądałem dziś tę głowę. Babcia też. Sporo ją to kosztowało.

– Nie widziałem jej wykończonej – powiedział Artie patrząc na rwącą wodę. – Poczulem ciarki w połowie roboty. Nie mogłem dłużej.

– Mocna rzecz! – Hal opadł na ziemię obok syna. Wyciągnął nogi. – Jakbym spojrział w lustro z odległości stu lat. – Obrócił się w stronę Artiego. – Co mi chciałeś powiedzieć, synu?

Dixie wypila z Hattie herbatę i zjadła kanapkę. Czekały na powrót Hala. Ale zbliżyła się godzina piąta i lekarka musiała się pożegnać.

– Muszę wracać do przychodni. – Przeprosiła Hattie, że nie będzie jej dalej towarzyszyć. – Zanim wyjdzie Frań, muszę załatwić sporo papierkowej roboty. Ale chciałabym się spotkać z Halem. Gdy wróci, niech mu pani powie, że muszę z nim porozmawiać. Będę albo w przychodni, albo w domu.

– Powiem mu. I dopilnuję, żeby poszedł do pani, choćby nie wiem jak się zapierał.

– Hattie! Niech pani go nie zmusza...

– Nie będę! Ale ten chłopak musi nauczyć się myśleć, zanim trzaśnie drzwiami i poleci coś gdzieś robić. To mój syn. Wiem, jak z nim postępować.

Dixie nie mogła z tym dyskutować. Wróciła do przychodni i zastała ją we względnie dobrym stanie, dzięki Frań.

– Posłałam Sissy z matką do domu – powiedziała Frań. – Gdy tylko widownia się wyniosła, Tessa cudem wróciła do zdrowia.

– Świetna diagnoza, Frań! – zachichotała Dixie. – Ty powinnaś być tu lekarzem, nie ja.

Frań nie zrewanżowała się uśmiechem.

– Co się stało?

– Poczta! – Frań podała jej stos kopert. – Dostałyśmy identyczne listy. Pierwszy z wierzchu.

Dixie usiadła na kanapie w poczekalni i rozerwała kopertę.

– Oni tego nie mogą zrobić – oznajmiła przeczytawszy krótkie, urzędowe pismo. – Po prostu nie mogą!

– Mogą! – Frań usiadła na krześle i westchnęła. – A przynajmniej spróbują. Po utracie

zysków z licencji na wydobywanie minerałów władze stanowe obcinają wiejską służbę zdrowia na prawo i lewo.

– Stary system gospodarczy zawodzi, a nikt nie umie zaproponować żadnego innego skutecznego rozwiązania – powiedziała ze smutkiem Dixie. Wraz z rodzicami zastanawiała się nad taką perspektywą od lat, odkąd zdecydowała się pójść na medycynę.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że to nadchodzi – Frań pokiwała głową. – Nie wiedzieliśmy tylko, że jest tak blisko. Mamy środki na trzy miesiące!

– Nie mogę się z tym pogodzić! – Dixie machnęła listem. – Podpisałam kontrakt na trzy pełne lata, a oni mogą zamknąć przychodnię, kiedy tylko zechcą?!

– Oni tu rządzą.

– Ależ Frań, nie możemy na to pozwolić!

– Przejrzyj jeszcze swoją pocztę, zanim odjedziesz stąd w siną dal na białym koniu – powiedziała Frań zmęczonym, zrezygnowanym głosem.

Dixie rzuciła okiem na stertę korespondencji. Zobaczyła w niej duży pakiet. Z Kalifornii... Otworzyła go. Przeczytała.

– Och! – jęknęła. – O Boże!

– Co znowu?

– Wygląda na to, że po zapoznaniu się z materiałem o ziołach leczniczych ze stanu Wyoming, który posłałam im kilka tygodni temu, władze Kalifornijskiego Instytutu Medycyny uznały, że nie mogą czekać na mnie przez trzy długie lata. Jeżeli się zgodzę, zapłacą z miejsca koszty mojego wykształcenia medycznego, pozostawiając mi do uregulowania niewielki roczny procent.

– Piszą tu – ciągnęła Dixie – że jednym z wiodących nurtów medycyny dwudziestego pierwszego wieku będzie uzupełnienie ogólnie przyjętych sposobów leczenia o tradycyjne metody naturalne i ludowe. Każdy przypadek będzie traktowany indywidualnie, a nie jako jeszcze jedno wydanie zestawu objawów. Marzenia się spełniają, Frań! Oto oferta, której nie sposób odrzucić!

– Więc ją przyjmij! I tak nie mamy tu czego szukać. Dixie siedziała w milczeniu. Wsłuchiwała się w swoje myśli.

Potem wsłuchiwała się w swoje serce.

– Ja tego nie mogę zrobić – szepnęła, niemal do siebie.

– Przynajmniej nie teraz. Tak długo, jak nie wiem...

– Czego nie wiesz?

– Wielu rzeczy, Frań! – Dixie wstała. – Wielu rzeczy. Dzisiaj wiemy, że mamy trzy miesiące, zanim zamkniemy tu drzwi za sobą. Wykorzystajmy ten czas, jaki nam pozostawiono.

Frań przez dłuższą chwilę nie ruszała się.

– W porządku, pani doktor! Ty tu rządzisz. Ty kręcisz tym interesem – westchnęła i również wstała.

– W tej chwili to kręcę numer telefonu swego prawnika. Nie mam zamiaru czekać, aż biurokraci zrobią pierwszy ruch.

Dixie podniosła słuchawkę telefonu.

– Poproszę z M.J. Nicholsem! – powiedziała. – Nie, to nie jest nagła sprawa. Tak, to ważne. Po prostu proszę mu przekazać, że telefonowała Dixie. – Uśmiechnęła się do pielęgniarki i podniosła kciuk do góry. – Zgoda! Proszę, żeby zadzwonił, jak tylko skończy konferencję. Nie ma znaczenia, która to będzie godzina. Niech tylko się odezwie. Dziękuję.

– Odłożyła słuchawkę.

Frań spojrzała na nią pytająco.

– Stary przyjaciel! – wyjaśniła lekarka. – Chodziliśmy ze sobą w college’u, ale wyszło na jaw, że powinniśmy się przyjaźnić, a nie romansować. Od chwili, gdy to zrozumieliśmy, nic nie jest w stanie nas rozdzielić. Utrzymujemy ściśle kontakty już od lat. Jest świetnym prawnikiem, a staje się prawdziwym psem gończym, gdy ma do czynienia z jakąś zagadką, czy z rządem. Coś wymyśli, jestem pewna.

Wzięła teczkę, którą dostała od Hattie i zaprowadziła Frań do swego gabinetu.

– Przyjrzyj się temu – powiedziała i wyjęła zdjęcie ślubne Kedricka. Postawiła je obok fotografii głowy.

– Niesamowite! – szepnęła zaszokowana siostra. – Są niemal takie same.

– A teraz przyjrzyj się temu – Dixie poszperała w teczce i wyciągnęła jeszcze jedno. Hattie pewnie nie wiedziała, że znajduje się ono wśród papierów, które jej dała. Wykonana w studiu fotografia przedstawiała Hala, sądząc po gładszej twarzy i mniej zatroskanych oczach, młodszego o kilka lat.

– O mój Boże! – zawołała Frań. – Oni są identyczni!

– Tak jest! – Dixie zebrała zdjęcia i wsunęła do teczki. – Mam zamiar poprosić kogoś, kto mógł ich obu widzieć żywymi, o kilka szczegółów.

– Kogo znowu?!

– Biorę te zdjęcia do panny Esther. – Mam dziwne przeczucie i chcę mu ulec. Nie mogę tego zrobić teraz, bo czekam na telefon od prawnika i muszę porozmawiać z Halem, gdy wróci, ale jutro zaraz z rana jadę jej pokazać te fotografie.

Oczy Frań rozbłysły z ciekawości.

– Naprawdę myślisz, że ona coś wie?

– Nie jestem pewna. Ale mieszka tu od początku świata. I zachowywała się tak dziwnie, kiedy powiedziałam jej o znalezieniu grobu.

– Już biegnę odwołać wszystkie wizyty zapowiedziane na jutro. – Pielęgniarka ruszyła w stronę drzwi.

– Co ja bym zrobiła bez ciebie?! – zaśmiała się Dixie.

– Nie! – powiedziała poważnym głosem Frań. – Pytanie powinno brzmieć: co my wszyscy zrobimy tu bez ciebie?

Dixie dumiała nad tymi słowami, czekając na telefon od adwokata.

Hal słuchał raportu Artiego o jego ponurych odkryciach i niebezpiecznych metodach wywiadowczych, i czuł, jak ogarnia go lodowaty chłód. Początkowo odnosił się do tej opowieści ze sceptycyzmem. Nie mógł uwierzyć w istnienie spisku. Lubił Hastingsa Clarka.

Oskar Hayden to owszem, nاپuszczony waźniak, lecz przecież nie zbrodniarz. Gdy jednak Artie opowiedział o mężczyźnię imięnię George, niewiara Hala zaczęła słabnąć. To przecież George Preston! Był na tyle podły i głupi. Artie nie tylko zaryzykował życię. Został teraz schwyтany w kedrickowską sieć śmierci, przemocy i chciwości, jakby sam był przestępcą.

Choć jest tak niewinny. Jego jedynym grzechem było pokrewieństwo z Robertem Kedrickiem. Hal przysięgł sobie, że zrobi wszystko, aby chłopakowi nic się nie stało. – Więc co robimy, tato? – zapytał syn, gdy ojciec milczał zbyt długo.

Hal odchrząknął, nie wiedząc co odpowiedzieć. Siedzieli ciągle nad brzegiem strumienia. Hal czuł zapach ziemi i wody. Spojrzał na rozciągającą się za potokiem prerię. Wyszuszoną przez sierpniowe słońce była jeszcze dobrym pastwiskiem. Pożółkłe trawy mogły wyżywić zarówno dzikich mieszkańców, jak i bydło. Dobra ziemia...

Kiedyś ich ziemia...

– Nie mam pojęcia – odpowiedział chłopakowi. – Wiem tylko, że nie wolno ci brać udziału w tym wszystkim. To zbyt...

– Ryzykowne? – Artie zerwał się na równe nogi. Jego dłonie zwarły się w pięści. – Ja się już tak narażałem, że nie uwierzyłbyś. Nie próbuj mnie teraz wypchnąć z gry!

– Nie wypycham cię. Ale muszę kierować się rozsądkiem. Jesteś jeszcze chłopcem.

– Chłopcem, który odkrył, że jacyś faceci chcą cię zabić! Nie dowiedziałbyś się o tym, gdybym nie zaryzykował. Ja już biorę w tym udział!

– Nie!

– Tato! Nie rób tego. Szeryf spojrzал w dal.

– Artie! Jesteś moim jedynym dzieckiem. Nie mogę pozwolić na to, abyś narażał życie. Masz całą przyszłość przed sobą.

– No, a ty?

– Nie wiem, synu! Ja może mam już przyszłość za sobą. Dlatego muszę zapewnić ci bezpieczeństwo, wydostać cię stąd.

Łzy frustracji i złości wypełniły oczy chłopca i popłynęły po policzkach. Otarł je, wściekły na siebie, i krzyknął:

– Ale nie możesz! – Usiadł z powrotem. – Wiedzą przecież, że pracuję przy wykopaliskach. Jeśli zniknę, znajdą mnie. Najpierw rozprawią się z tobą, potem przyjdą po mnie.

– Artie, to już...

– A co z babcią? A z Dixie? Z doktor Nash? Czy one nic dla ciebie nie znaczą? Czy potrafiś je też ukryć?

– Nie, oczywiście, że nie...

– Uważasz, że im nie grozi żadne niebezpieczeństwo?

– Nie...

– Tato! Doktor Nash i doktor Sheldon ulepiły tę głowę. Hastings wie o tym, bo dał doktor Nash parę wskazówek.

– To wcale nie znaczy, że spróbuje... – Hal się zawahał. – Nie mogę być pewny tego, co ci faceci zrobią.

– Jasne, że nie! I nie możesz mnie ukryć. – Artie położył dłoń na ramieniu ojca. – Tato, my musimy to zrobić razem. Ty i ja.

– Co mamy zrobić?

– Pozbawić ich powodu, dla którego mieliby zabić ciebie czy mnie, czy kogoś z nas. Znaleźć złoto!

– Znaleźć złoto? – Hal potrząsnął głową. – Synku! Ludzie szukają skarbu Kedricka już ponad sto lat!

Czując, że opór szeryfa słabnie, Artie podjął jeszcze jedną próbę.

– Ludzie tak! Ludzie szukają. Ale nie ty. Ty nigdy nie szukałeś.

– Nie mam pojęcia, gdzie może być. – Hal wzruszył ramionami. – Skąd mógłbym wiedzieć?

– Nieprawda! Ty wiesz, tato! Spędziłeś połowę życia na poddaszu, przeglądając te wszystkie stare papierzyska, książki i inne śmieci. Dalej, tato! Przecież tylko ty wiesz, co i jak on mógł myśleć.

– Tak uważasz?... – Hal milczał przez chwilę, czując zawrót głowy. – Ja myślę tak, jak Robert? Kto wie, może potrafiłbym myśleć jak on, gdybym postawił się w jego położeniu.

– No właśnie!

Hal spojrział na syna z uznaniem.

– Ciągle wiem, że muszę cię trzymać z daleka od kłopotów. Ale na razie tkwisz w nich po same uszy.

Krzyk radości Artiego odbił się echem od gór i pobiegł daleko w prerię.

Tego wieczoru Dixie czekała w przychodni do ósmej. W kółko czytała dwa listy. Jeden od władz stanu Wyoming. Drugi z Kalifornii. Listy, które zmieniały jej plany. Zmieniały jej życie...

Czyż Kalifornia nie była szczytem jej marzeń? Sporo już zainwestowała na rzecz przyszłości w instytucie, współpracując z Esther i kilkoma innymi mieszkańcami tej części stanu.

Lecz nie była gotowa do wyjazdu! Jeszcze nie teraz. Miała tu spędzić trzy lata!

Co stanie się z Halem? Z jego kłopotami? Z matką? Z jego...

Z ich... związkiem?

W ciągu trzech lat rozwiązałyby te wszystkie problemy. Teraz brakowało jej czasu.

Doczekała się wreszcie połączenia z M. J. , co wyrwało ją z błędnego kręgu myśli.

– Cześć, kochana pani doktor! – powiedział prawnik ciepłym głosem. – Jak tam twoja praktyka na końcu wszechświata?

– Ale dowcip! Masz być poważny. Słuchaj! Mój przyjaciel ma kłopoty.

– Przyjaciel?

– Naprawdę. To nie o mnie chodzi, przysięgam! Prawie sto lat temu jego rodzina została skrzywdzona przez rząd. A przynajmniej przez pewne agendy rządowe. Przypuszczam, że nie uda ci się obwinie za to całego systemu amerykańskiego, ale ktoś jest za to odpowiedzialny. Twoja specjalność!

– Świetnie! Podaj mi szczegóły. – Ton prawnika zmienił się z żartobliwego na pełen profesjonalnej rzeczowości. – Powiedz mi o wszystkim.

Uzyskawszy zapewnienie, że M.J. natychmiast przejrzy sprawę starego Kedricka, skończyła rozmowę i poszła do domu z nadzieją, że Hal wpadnie na rozmowę... Chciała z nim pogadać i przekonać się, że nic mu nie jest po wstrząsie, jakiego doznał, gdy zobaczył twarz tak bardzo podobną do własnej. Z nadzieją, że przyjdzie, aby ją kochać, jak w minione noce... Z nadzieją, że się nie zjawi i że nie będzie musiała mu powiedzieć o przychodni i o ofercie z Kalifornii.

Hal się nie pojawił. Hattie nie zatelefonowała. Dixie spędziła noc sama ze swymi myślami.

Musi wkrótce podjąć kilka trudnych decyzji. Nie była zachwycona konsekwencjami żadnej z nich.

Następnego ranka zaparkowała przed restauracją Fawcettów. Lecz długo się zastanawiała, zanim wysiadła z wozu. Dzień wstał niezwykle ciepły, po niebie wędrowały cieniutkie, przejrzyste chmury. Przez korony sosen błyskało słońce. Nie wiedziała, jaki protokół obowiązuje podczas wizyt u Esther przy dziennym świetle. Dotychczas widywała starszkę tylko po zmroku.

Miała jednak zbyt ważne sprawy na głowie, aby czekać do zachodu słońca. Chciała usłyszeć parę odpowiedzi Esther. I to natychmiast.

– Cześć, Dixie! – Sandy Fawcett pomachała do niej z werandy przed restauracją. – Co cię tu sprowadza o poranku? Mam nadzieję, że nie wybierasz się do panny Esther?

Dixie uniosła aktówkę, którą zabrała z domu. Zawierała fotografie i pośpiesznie sporządzone przed wyjazdem notatki.

– Prawdę mówiąc, przyjechałam z tym! – Zawołała. – Chcę jej pokazać parę rzeczy.

Sandy zeszła z werandy. Jeden z jej wielkich psów, ciężki labrador, przylazł za nią i machał ogonem witając się z lekarką.

– Esther nie lubi dnia – powiedziała. – Jeśli tam teraz pójdziesz, będzie bardzo nieprzyjemna.

– Muszę zaryzykować.

Sandy założyła ręce na piersi i pokiwała głową.

– Wygląda na to, że jesteś zdecydowana.

– Ano, jestem!

– I zaniepokojona. Dixie nie odpowiedziała.

– Chodzi o Hala?

– Mniej więcej. – Spojrzała gdzieś w bok.

– Mogłabym ci towarzyszyć?

– Jeszcze jak! – Poczowała ulgę. – A czy pies mógłby pójść z nami? To śmieszne, ale las przeraża mnie bardziej teraz niż w nocy.

Sandy uśmiechnęła się, ale nie była zachwycona.

– Ty i ta twoja panna Esther! Dobrałyście się w stogu siana. – Poglądziła psa. – Wiking może też pójść, ale nie obiecuję, że zostanie z nami. Jeśli ucieknie, nie próbuj go przywoływać.

– W porządku! – Dixie opanowała dreszcz czegoś bardzo podobnego do strachu, a raczej przerażenia. – Nie odważyłabym się nikogo zmuszać do tego.

– Mnie nie zmuszasz – uśmiechnęła się Sandy, tym razem cieplej. – Nie rozumiem Esther, ale się jej nie boję. A ty?

– Nie boję się jej, ale... – zawahała się. – Ale tego, co może wiedzieć.

Sandy pozostawiła te słowa bez komentarza.

Ruszyły pod górę w las. Labrador szedł z nimi, węsząc za zwierzyną, ale jej nie gonił. Dixie nie miała ochoty na rozmowę, a i Sandy nie zdradzała chęci do zadawania dalszych pytań.

Gdy zbliżyły się do polany, powietrze stało się cięższe. Choć był już wrzesień, a więc pora, kiedy chłód obejmuje góry, słońce ciągle jeszcze przygrzewało i wilgoć gęstniała między drzewami. Dixie otarła pot z twarzy.

– Ależ dziś gorąco! – powiedziała Sandy. – I duszno! Burza nadciąga.

– Tak myślisz?

– Jestem pewna. Nie mieszkam tu długo, ale kiedy większość czasu spędzasz na łonie natury, uczysz się tego i owego – Tak jak Esther?

– Ona jest tu od bardzo, bardzo dawna – cicho, z szacunkiem zaśmiała się Sandy.

– Na to właśnie liczę – mruknęła Dixie półgłosem. Wyszły na polanę. Drzwi chaty były

szeroko otwarte, kobiety nie dostrzegły jednak żadnego ruchu wewnątrz ani na łące. W słońcu chatka wyglądała na opuszczoną i zniszczoną. Czar mroku zniknął i była tylko domem równie starym, jak jego mieszkanka.

Przez chwilę stały w milczeniu i patrzyły. Pies usiadł obok Sandy. Świerszcze koncertowały na polanie, duży czarny ptak żeglował w rozpalonym powietrzu. To miejsce przypominało pusty kościół.

Albo cmentarz.

– Może powinnymy wrócić... – cicho zaczęła Dixie, lecz nie dokończyła. Nie! Przybyła tu w ważnej sprawie. – Esther! – zawołała. – Jesteś tam?

Pies szczeknął. Jeden raz. Potem zaskomlał. Nic się nie ruszało. Jedynie owady i ptaki.

– Tu jest niesamowicie. Wolę zaczekać na ciebie – powiedziała Sandy i z trudem przełknęła ślinę. Dotknęła obroży psa. – Powiesz nam, co tam zastałaś.

– Wszystko jest w porządku! – zapewniła ją Dixie, ale też napotkała trudności z przełknięciem czegoś, co utkwilo jej w gardle. – Jestem pewna. To tylko my... Przypuszczam, że ona śpi.

– Idź i zobacz.

Dixie posłuchała. Przeszła przez polanę i stanęła w otwartych drzwiach. W izdebce było nieprzytomnie gorąco. Poczula zapach dymu i drewna, i jeszcze czegoś, czego nie umiała określić. Ogień nie płonął na palenisku.

– Esther? Jesteś tu? – zawołała.

Szmer przyciągnął jej uwagę do tej części izby, gdzie stało łóżko staruszki.

Esther leżała z kołdrą podciągniętą pod brodę. Miała zamknięte oczy i wyglądała na dwieście lat. Dixie dotknęła jej twarzy. Była zimna jak lód. Kołdra nie poruszała się.

– Czy ona...? – zapytała Sandy od drzwi. Pies u jej boku zaskomlał znowu.

Dixie uklękła przy łóżku.

– Żyje – powiedziała. – Ledwo, ledwo. Nie wiem, co jej jest, a boję się ją ruszać. Nie wykluczone, że się uśpiła. – Szybko i delikatnie zbadła staruszkę. Potem zwróciła się do Sandy.

– Biegnij do domu! Wezwij helikopter pogotowia z Casper. Zdoła wylądować na polanie. Nie mogę ryzykować przenoszenia jej na rękach.

– Dixie! Naprawdę paskudna burza szykuje się na południu, nad Douglas i Casper. Radio nadawało ostrzeżenia przez całe rano. Helikopter może nie wystartować od razu. Czy możesz czekać?

– Tak długo, jak będę musiała.

– Jeśli ona umiera... – Sandy zawahała się. – Nie będzie zadowolona, jeśli jej w tym przeszkodziś.

– Wiem. Ale teraz nie może umrzeć. Nie jest gotowa. Czuję to. Idź!

Sandy Fawcett poszła.

Dixie usiadła przy łóżku, patrzyła i czekała. Po kilku minutach, ku jej zaskoczeniu, pies wszedł do chaty i usiadł obok niej. Cichy skowyt wydostał się z jego gardła. Dixie pogładziła masywny łeb. Labrador polizał jej dłoń, westchnął i położył się przy łóżku.

Esther nie ruszała się. Ledwo oddychała.

Minęło południe. I popołudnie. Słońce wyzłościło wnętrze domu. Na zewnątrz nieprzerwanie grały świerszcze. Duży, powolny szerszeń wleciał do pokoju, zatoczył koło i wyfrunął.

Dixie i pies czekali. Słońce zaczęło blednąć, niebo przybrało odcień ołowianej szarości, potem jeszcze bardziej pociemniało, a oni czekali.

Późnym popołudniem, poprzez łoskot deszczu i grzmoty Hattie usłyszała jakieś odgłosy w garażu. Wiedziała, że to nie jest syn. Najpierw przyszedłby zobaczyć, jak ona się czuje. Stuki i szuranie wyrwały ją z drzemki. Gdy zastanawiała się, kto też mógł wtargnąć do domu, poczuła ból w piersiach.

Cicho otworzyła szafę i wyjęła karabin Hala. Jeszcze ostrożniej podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer biura szeryfa. Czekaając na zgłoszenie dyżurnego, sprawdziła czy broń jest załadowana.

Odezwał się Ted. Opowiedziała mu, co się dzieje.

– Niech pani opuści dom, pani Blane – powiedział Ted. – Proszę narzucić prochowiec i wyjść. Ja już tam jadę. Ale błagam, żeby pani zeszła na dół i wyszła frontowymi drzwiami. Niech pani nawet nie próbuje myśleć o zatrzymaniu kogoś.

– Tedzie Traversie! To jest mój dom. Przyjeżdżaj. Ja się stąd nie ruszam.

– Pani Blane, Hal mnie zabije, jeśli pani się coś stanie.

– Więc śpiesz się! – Hattie odwiesiła słuchawkę. Bezszelestnie zeszła na parter. Serce jej łomotało, ale nie bolało już.

Usiadła w kącie kuchni, wymierzyła karabin w drzwi do garażu i czekała.

Grzmoty zaczęły toczyć się po niebie. Esther poruszyła się. Dixie pochyliła się do przodu i wzięła rękę staruszki. Delikatnie potarła jej przegub i wyszukała puls.

Był mocny i równy.

– Esther! – zawołała cicho. – Esther! Czy mnie słyszysz? Esther poruszyła się znowu, gdy trzask pioruna rozległ się nad ich głowami. Ale nie otworzyła oczu i nie odezwała się. Pies zaskowyczał.

Dixie dotknęła pomarszczonego, brązowego czoła. Skóra Esther stała się cieplejsza. Choć chyba tylko jakimś cudem nie upiekła się dotychczas pod ciężką kołdrą, w rozgrzanym powietrzu wypełniającym chatę. Dixie wstała i podeszła do drzwi. Ani śladu helikoptera. Objęła się ramionami, aby opanować dreszcz strachu. Wokół szalała burza, a Esther była...

Jaka? Odwróciła się ku izbie. W jakim stanie była Esther? Nafaszerowana narkotykami? W transie czy śpiączce wywołanej ziołami? Nie czuła już zapachu, który uderzył ją, gdy pojawiła się dziś w chacie, ale to, co go wydzielało, mogło się tu jeszcze znajdować. Teraz, gdy miała czas nad tym pomyśleć, woń wydała się znajoma. Co to mogło być? Coś, co Esther jej pokazywała? Coś, co razem próbowały i zbierały?

Cofnęła się od drzwi i przeszukała izbę.

Znalazła to po kilku minutach.

– Jeszcze to, synu! – Hal podał Artiemu mały oskard. – Może nam się przydać.

Artie wziął narzędzie i położył je na stercie ekwipunku.

– Czy powiesz babci, dokąd idziemy? – zapytał.

– Nie. Tylko tyle, że wychodzimy na pewien czas. Niech pomyśli, że wybraliśmy się na kemping i na ryby, jak kiedyś. – Hal zszedł z drabinki i odstawił ją pod ścianę garażu. – Im mniej wie, tym lepiej.

– Będzie się martwić. A co z Ducie?

– Też nie chcę, żeby wiedziała – skrzywił się Hal. – W ogóle nie chcę z nią rozmawiać. Dalej! Idziemy do środka po jedzenie.

– Dobra! – kiwnął głową Artie i ruszył za ojcem. Spędzili noc w namiocie nad potokiem, w pionierskich warunkach, jak za dawnych czasów. Rozmawiali o szansach na znalezienie złota i o dalszej realizacji przedsięwzięcia. W ciągu tych nocnych godzin stali się sobie bliżsi, choć żaden z nich otwarcie nie przyznałby się do tego. Powstał związek dorosłych mężczyzn, którego spoiwem było pragnienie wykrycia skarbu.

Postanowili natychmiast udać się na poszukiwania. Nie czekać, aż obóz opustoszeje, co da szansę także innym. Hal i jego syn znali te tereny lepiej. Mogli poruszać się i kopać w tajemnicy przed obcymi.

Znajdą złoto... Wzbogacą się... Odkupią ziemię... Będą kimś!

Pogrążony w marzeniach Artie wpadł na ojca. Zdziwił się, gdy usłyszał jak tato wyraźnie, głosem pełnym napięcia mówi:

– Mamusiu! Niech mama odłoży ten karabin.

– Nie ruszać się! – Ted Travers rozkazał skądś zza pleców Artiego. Chłopiec odwrócił się i na tle drzwi do garażu zobaczył ciemną sylwetkę. Dostrzegł też rewolwer wycelowany prosto w swoją głowę.

Znalazła to na dnie starego, glinianego dzbanka, w którym Esther podała herbatę podczas ich pierwszego spotkania. Dixie zdjęła splekaną pokrywkę i powąchała osad na dnie.

Waleriana i tarczyca. Rumianek... I...

– Ja go widziałam. – Głos był tak cienki, że przypominał śpiew fletu. – Widziałam go...

Pies, który obserwował Dixie, ale nadal siedział przy łóżku, szczebkał.

– Esther! – Dixie odstawiła dzbanek i pośpieszyła do staruszki. – Esther! Czy mnie słyszysz?

Powieki drgnęły, uniosły się, opadły i uniosły na nowo.

– Widziałam go, moje dziecko! Nie żył, ale ja go widziałam.

– Kogo, Esther? Kogo widziałaś?

Panna Esther usiadła. Zrobiła to tak gwałtownie, że zaskoczyła lekarkę. I opadła na plecy, wstrząśnięta. Pies zakręcił się i wybiegł z domu. Popędził przez polanę i wpadł do lasu.

– Widziałam go! – zapiszczała Esther. – Znowu! Dixie czekała, sama zaszokowana.

Esther uspokoiła się. Otworzyła oczy. Spojrzała na Dixie.

– Wzięłam trochę ziół – odezwała się normalnym głosem – aby odbyć podróż w głąb mego serca.

– Obejrzałam osad w dzbanku. – Dixie starała się opanować drzenie głosu. – Nie powinnaś tego robić, gdy jesteś sama.

– Robiłam to w samotności już tyle razy! – zachichotała Esther. Jej brązowe oczy zachmurzyły się. – Ale tym razem się wystraszyłam.

– Opowiedz mi!

Staruszka popatrzyła gdzieś daleko. Ściągnęła brwi. Jej twarz zmarszczyła się od wysiłku.

– Bałam się. Byłam młoda. Nie mogę sobie przypomnieć... Może nie powinnam?

– Jak się czujesz? – Dixie wstała. – Pod względem fizycznym.

– Wypoczęłam. Czuję się świetnie.

– Zrobię ci coś do jedzenia.

– Nie jestem głodna. Burza nadciąga. – Wzrok kobiety przeniósł się na drzwi. Jeszcze jeden grzmot. Czujesz zapach deszczu? Założę się, że w mieście już pada.

– Wiem, Esther. Ja...

– Przyszłaś tu z jakiegoś powodu, dziecko. Powiedz mi, o co chodzi.

– Chyba nie powinnam. Przeżyłaś szok, gdy byłaś w transie. Janie...

– Dlaczego tu przyszłaś, Dixie Sheldon? – Głos kobiety był mocny, dźwięczała w nim nuta odwiecznej władzy i mocy.

Grzmot zahuczał tuż nad ich głowami. Werbel na dachu oznajmił nadejście deszczu.

– Nie dożyłabym tego wieku, gdybym nie była silna – ciągnęła Esther. – Miałam widzenie we śnie. Nie pamiętam jakie, ale przypomnę sobie. To ważne, abym sobie przypomniała. A ty chciałaś mi coś rzec. Dalej!

– Chodzi o Hala – zaczęła Dixie. – I o jego pradziadka, Roberta Kedricka. – Uważnie obserwowała staruszkę, wypatrując oznak podniecenia.

– Aha – mruknęła Esther i kiwnęła głową. – Mów dalej. – Była spokojna. Pogodna.

– Przyniosłam kilka zdjęć. Esther znów kiwnęła głową.

– Pokaż mi.

– Nie wiem...

– Pokaż mi! – Powykręcana dłoń wysunęła się spod kołdry i chwyciła powietrze.

Dixie otworzyła teczkę i wyjęła trzy zdjęcia. Rozłożyła je na kołdrze, aby Esther mogła dobrze się im przyjrzeć.

Niedaleko uderzył piorun. Deszcz lunął całą mocą.

– Wystraszyłeś mnie, aż mi dech odebrało, Haroldzie Blane! – westchnęła Hattie wpatrując się w syna. Broń wróciła do szafy, a Ted Travers do biura, wstrząśnięty tym, że niewiele brakowało, by strzelił do swego szefa i jego szczeniaka. – Myślałam, że ktoś próbuje się włamać.

– Przecież powiedziałem, że przepraszam, mamusiu! – Hal usiadł na krześle przy stole. – Nie chciałem ci przeszkadzać, to wszystko.

– Ja i tata potrzebowaliśmy trochę sprzętu, babciu! – dodał Artie.

Hattie obserwowała ich. Była pewna, że chłopcy ją okłamują. Obaj! I to ugruntowało jej przekonanie, że dzieje się coś złego. Artie i jego ojciec tak rzadko zgadzali się co do tego, która jest godzina, a nawet, czy słońce świeci, że Hattie nie pamiętała ostatniego takiego święta.

– Przyznaj się, Arturze! I ty też, Haroldzie! Nie pozwolę, żeby mnie okłamywała własna rodzina. Moja własna krew!

– Mamo! Chcieliśmy wybrać się na trochę w góry, zanim Artie pójdzie do szkoły – powtarzał Hal, trzymając się swojej wersji.

– No wiesz, babciu! Na ryby. Na wspinaczkę. Coś w tym rodzaju!

– Bzdury! – Hattie zajrzała im w oczy.

Blane'owie wytrzymali to spojrzenie bez zmrużenia powiek.

– No, dobrze! – westchnęła w końcu. – Poddaję się. Jeśli chcecie iść do lasu w taki czas, to ja wam przeszkadzać nie będę.

– W jaki czas? – Hal wyprostował się na krześle. – O co ci chodzi, mamo? Czy ktoś... ?

– Twoja młoda dama cię potrzebuje, Haroldzie! Czeka na ciebie, żeby porozmawiać o wielu sprawach. Czy wiesz, że kazano jej zamknąć przychodnię za trzy miesiące?

– Co?! – Hal zerwał się przewracając krzesło. – Zamknąć przychodnię? Nie mogą tego zrobić!

– Rozmawiałam rano z Frań – mruknęła Hattie. – To ona mi powiedziała. Dostały zawiadomienia wczoraj po południu.

Hal postawił krzesło i usiadł na nim z powrotem.

– Czy Dixie wyjeżdża?

– Pewnie będzie musiała.

– Tato! – odezwał się Artie cichym, lecz nagłym głosem. – Musimy już iść.

Hal nie odpowiedział. Czuł się tak, jakby dostał porządne kopniaka w serce.

– Tato!

– Czy ona jest w domu? – zapytał Hal i ruszył do wiszącego na ścianie telefonu. – A może w przychodni? – Zaczął wybierać numer.

– Nie wiem – powiedziała Hattie. Wyjrzała przez okno. – Frań mówiła, że Dixie jedzie w odwiedziny do panny Esther. A tu ściemniło się, burza szaleje...

– Pojechała do Esther? – Hal powiesił słuchawkę. – Po co?

– Frań nie wiedziała.

– Tato! – Artie wstał. – Musimy iść!

– Ja, hm... – Hal nie ruszył się z miejsca. – Ja nie... Czy ona pojechała pożegnać się z Esther? – Wyglądał tak, jakby rozmawiał ze sobą. – Czy ona wyjeżdża od razu? – Zaczął chodzić po kuchni. – Nie może tego zrobić!

– Tato!

– Hal! To dobry człowiek. Zrobi to, co musi, ale dopóki nie powiesz jej, co czujesz...

– Tato! No, dalej! – Artie podszedł do ojca, chwycił go za ramiona, spojrzał w twarz i potrząsnął. – Ty wiesz, co musimy najpierw zrobić.

Hal zamrugał oczami. Spojrzał na syna. Na telefon. Na matkę. Przeciągnął dłonią po twarzy.

– Mamusiu, powiedz Dixie, że muszę z nią porozmawiać, zanim podejmie jakąś decyzję. A teraz musimy iść.

– W taką pogodę? – Hattie kiwnęła ręką w stronę okna. Deszcz zaczął padać. –

Próbujecie mi wmówić, że w tę ulewę idziecie na ryby, pod namiot?

– Jasne, babciu! – uśmiechnął się Artie. – W pionierskich warunkach!

– To on – powiedziała Esther i wzięła do ręki starą fotografię Roberta i jego narzeczonej.
– To ten, którego widziałam. – Przesunęła trzęsącą się dłonią po jego twarzy. – Był martwy.
Był żywy...

– Czy nie mylisz go z Halem? – Dixie wzięła fotografię szeryfa i trzymała tak, żeby Esther mogła się przyjrzeć. – Są tak do siebie podobni!

– Tak – zgodziła się Esther. – I ten sam los im sądzony...

– Znowu spojrzała gdzieś w dal. Dixie poczuła, jak ogarniają zimny dreszcz. – Taka sama śmierć, moje dziecko!

– Esther! Hal nie urządza napadów wraz z innymi złoczyńcami i nie okrada armii ze złota – powiedziała Dixie.

– A ty nie znasz przyszłości, choć jesteś tak mądra. Ja chcę dowiedzieć się czegoś o przeszłości. Czy widziałaś kiedyś Roberta Kedricka? Żywego?

Esther skinęła głową.

– Tak mi powiedziano. – Jej głos był wysoki, niemal dziecięcy.

– Powiedziano?!

– Tak! – Odłożyła zdjęcie na kołdrę. – Byłam maleństwem. Właściwie niemowlakiem. Wtedy on przyszedł tu i powiedział mojemu ojcu, że może pozostać na jego ziemi.

– Więc ta ziemia też należała do Kedricka?

– Tak. I większa część okolicznych terenów. Brał, co chciał, ale miał dobre serce dla tych, którzy nie posiadali wiele.

– Jak twoja rodzina?

– No właśnie. Nie wszyscy traktowali nas dobrze, bo moja mama była Szoszonką. – Esther zamilkła na chwilę. Deszcz bił w dach domu, a ten szum wywoływał uczucie samotności i zagubienia. Dixie wstała i zamknęła drzwi. Zrobiło się ciszej.

Znacznie ciszej.

– Czy dlatego Hal jest dla ciebie kimś szczególnym? – zapytała siadając.

Esther nie odpowiedziała.

Dixie wzięła do ręki fotografię głowy.

– Esther, to jest twarz, którą odtworzyliśmy z czaszki szkieletu znalezionej na terenie wykopalisk. To Robert Kedrick.

Esther kiwała głową, najpierw powoli, potem szybciej.

– To on. To on. To on – zawodziła cicho. – Przyjechał nam pomóc, kiedy byłam dzieckiem, a potem wyprawiał się ze złoczyńcami, którzy go zastrzelili. Mój ojciec...

– Twój ojciec? – Dixie przysunęła się bliżej. – Co twój ojciec?

– Mój ojciec pochował go, jak należy.

Wypowiedziała te słowa mocnym głosem.

– Twój ojciec? Jak mógł twój ojciec...

Dixie nie dokończyła pytania. Esther wstała z łóżka i przeszła sztywno przez pokój. Dotarła do kominka, potem do drewnianego kufra. Otworzyła go i wyjęła coś owiniętego w

kawałek wyblakłej skóry jeleniej, po czym normalnym już krokiem wróciła do stołu i położyła na nim pakunek. Dixie podeszła bliżej i stanęła obok niej.

Esther rozpakowała zawiniątko i odsłoniła starą księgę. Bardzo starą księgę. Jej czerwonobrazowa skórzana oprawa była spękana ze starości. Jak twarz i ręce Esther.

– Ojciec prowadził dziennik – powiedziała i dotknęła księgi z szacunkiem. – Opisał tutaj, jak na wiosnę znalazł ciało Roberta Kedricka i jak je pogrzebał na nowo. I jak...

– Pogrzebał na nowo? – Dixie wyciągnęła rękę, ale stare dłonie powstrzymały ją. – Esther! To może być bardzo ważne dla Hala. Gdyby wiedział, gdzie jest pierwszy grób, mógłby odnaleźć złoto!

– Które mogłoby zabić także jego – westchnęła staruszka i zamknęła oczy. – Musisz dotrzeć do niego i ostrzec go, dziecko!

– Ostrzec go? – Dixie zadrżała. – Przed czym?

– Przed złymi ludźmi. Przed złoćcyńcami, którzy zastrzelą go tak, jak zastrzelili jego pradziadka.

– Esther! – Dixie poczuła, jak rośnie w niej panika. – Mów do mnie tak prosto, jak tylko potrafisz. O co chodzi?

– Miałam wizję. – Esther odetchnęła głęboko. – Przypomniałam sobie, jak mój ojciec przyszedł do domu i opowiadał mamie, że znalazł pana Kedricka nieżywego i zamrożonego w górach nad płaskowyżem. Że przeniósł ciało i zakopał głęboko w ziemi, żeby uchronić je przed kojotami.

– Pogrzebał na nowo Roberta?

– Tak. A potem on i moja matka poszli tam i poświęcili grób.

– Wiedzieli, że Robert nie żyje, wiedzieli, gdzie jest jego grób i nie powiedzieli nikomu? Dlaczego, Esther? Dlaczego?

Staruszka odwróciła się i spojrzała lekarce w oczy.

– Zostaliby oskarżeni.

– Nie rozumiem.

– Ludzie nienawidzili ojca i matkę. Bali się mocy mamy, a ojca nazywali „mężem tej squaw”. Gdyby się przyznał, że znalazł pana Kedricka, wszyscy posądziliby go o kradzież złota. Rozumiesz teraz?

Dixie skinęła głową, zasmucona tym wszystkim.

– Rozumiem – powiedziała. – Twój ojciec postąpił rozsądnie. Szkoda tylko, że nigdy nie powiedziałaś o tym Halowi.

Esther zamrugła powiekami.

– Dopiero dziś sobie o tym przypomniałam.

– Ale ten dziennik...

– Jest napisany bardzo niejasno. To są opowieści, które wymagają...

– Objaśnienia?

– Tak.

– Więc usiądźmy i przeczytajmy go – powiedziała Dixie. Popatrzyła przez okno na szalejąca burzę. – Nigdzie nie pójde przez jakiś czas. Nie w taką pogodę.

– Ty nie! – kiwnęła głową. – Ale Harold Kedrick Blane pójdzie.
Przysunęła sobie krzesło, usiadła i otworzyła kronikę. Zaczęły czytać.

Hal i Artie przedzierali się ścieżką biegnącą wzdłuż strumienia. Deszcz walił, jakby ktoś wylewał wodę z gigantycznego wiadra. Grząski zazwyczaj grunt stał się błotnisty i śliski. Na szczęście mieli dobre buty i znali teren.

Całymi latami obozowali, wspinali się po górach i wędkowali nad strumieniem. Tym razem ich misja była znacznie poważniejsza. I niebezpieczna.

Podczas jazdy ustalili, jak się uporać z tym zadaniem. Postarają się jak najwierniej odtworzyć ostatnie godziny Roberta. Z dokumentów i meldunków składanych przez dowódców oblawy Hal wiedział, że dziewięciu jeźdźców pojawiło się w dolinie pod koniec dnia, tuż przed wielką zamiecią. Burza śnieżna spowodowała, że ścigający zgubili przestępców. Choć na śniegu łatwiej było iść po śladach, oddział pozostał w tyle i odnalazł ich trop dopiero po tygodniu, sto mil stąd na południowy zachód.

W tym czasie złoto wraz z Robertem Kedrickiem zniknęło.

Od tego momentu nie istniały pisemne zapisy, które mogłyby pomóc Halowi i Artiemu w odtworzeniu ruchów Kedricka. Choć nie przyznawali się do tego, obaj mieli wrażenie, że mogą polegać na czymś głębszym niż wiedza.

Polegali na głosie krwi, która płynęła w ich żyłach.

Podczas wspinaczki Hal pozwolił swym myślom krążyć swobodnie.

Martwił się o syna, mniej jednak niż dotychczas. Chłopak nie był już dzieckiem. Nie był też pewnie jeszcze mężczyzną, ale chciał i potrafił podjąć męską pracę. To, że społeczeństwo i czasy, w jakich się urodził, nie uznawały go za dorosłego, nie zmniejszało jego możliwości.

Kiedy Robert Kedrick miał siedemnaście lat, tylko dwa lata więcej niż Artie, zastrzelił człowieka, uwiódł jego żonę i wprowadził swe bydło na przywłaszczoną ziemię.

Hal stał deszcz z twarzy i spojrzał w górę. Wielkie, szare urwisko sterczało na tle ciemniejącego nieba jak gigantyczny kamień nagrobny.

Co rzeczywiście zdarzyło się tutaj sto lat temu? Czy dowiedzą się o tym tej nocy? Zadygotał, gdy strużka deszczu pociekła mu z kapelusza na szyję, pod kołnierzyk, i wytoczyła sobie zimną ścieżkę na skórze. Byli odpowiednio ubrani na tę pogodę, od stóp do głów w nieprzemakalne i ocieplane kombinezony. Z ochronnymi pokrowcami na kowbojskich kapeluszach. Ale nawet najlepsze kombinezony nie mogły uchronić ich przed wilgocią. Hal obejrzał się na Artiego.

Zimno i zmęczenie najwyraźniej dawały się chłopakowi we znaki, ale walczył dzielnie. Akurat podniósł głowę i uśmiechnął się od ucha do ucha. Duma rozgrzała serce szeryfa. Jego chłopak!

Nieśli w plecakach sprzęt do obozowania i poszukiwań. Hal nie potrzebował swych notatek czy książek: całą wiedzę, którą zgromadził przez lata, przechowywał w głowie. Jak długo nic złego z nią się nie stało, tak długo mieli szansę.

Pomyślał o głowie Roberta Kedricka spoczywającej na biurku Dixie.

Pomyślał o Dixie. O Dixie, która wyjeżdża do Kalifornii.

Poślizgnął się. W ostatniej chwili złapał się pnia osiki rosnącej przy ścieżce.

– Nic ci nie jest, tato? – zapytał Artie, zbliżywszy się do ojca. – Tak wyglądało, jakbyś na sekundę zboczył ze szlaku.

– Nic mi nie jest. Nie martw się.

Skoncentruj się na robocie, którą masz do wykonania – przykazał sobie Hal. Myśl o przeszłości, nie o przyszłości.

Poszli dalej. Drzewa nosiły jeszcze letnie liście, deszcz padał jednak zbyt gwałtownie, by mogły zapewnić jakąś osłonę. Lał beznadziejnie równo, przygnębiająco, lodowato.

Na Roberta padał śnieg. Mimo wszystko deszcz nie był jeszcze czymś najgorszym.

Wlekli się noga za nogą. Tamci, sprzed stu lat, mieli przewagę posuwając się konno. Konie jednak robią hałas, którego nie da się stłumić. Tylko tego brakowało, żeby odkrył ich ktoś pozostawiony w obozie poszukiwaczy dinozaurów i doniósł o tym Haydenowi lub Clarkowi! Ponadto konie mogą przenieść człowieka zbyt szybko nad czymś, co powinien zauważyć. Jedynym sposobem przeszukania wszystkiego było przejście na własnych nogach. Stopa za stopą.

Dotarli w końcu do stoku. Wspinali się teraz jeszcze wolniej.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał Artie starając się przekrzyczeć dudnienie deszczu i huk grzmotu. – Jak wysoko musimy się dostać?

– Nie jestem pewien! – zawołał Hal przez ramię. – Wiem tylko, że jechali tędy, lecz co dalej – nie wiadomo. Będziemy musieli kierować się nosem.

– No i dobrze!

Szli, często czepiając się skalnych ścian wyrastających po obu stronach ścieżki. Zrobiła się szeroka na dwie osoby, oni jednak posuwali się jeden za drugim. Woda spływała w dół, rozmywając ścieżkę, zastawiając pułapki. Dwukrotnie Hal poślizgnął się i tylko czujność Artie'ego uratowała szeryfa przed upadkiem w błoto. Raz syn stracił równowagę, lecz Hal zdążył odwrócić się, złapać i utrzymać go na nogach.

Dotarli wreszcie do końca szlaku. Wąska ścieżka prowadziła na skalisty, dość płaski skrawek terenu, znajdujący się nad płaskowyżem. Ciężko dysząc doszli nad krawędź i spojrzeli w dół na obóz.

– Nie wszyscy się wynieśli – odezwał się Artie. Pod nimi stało jeszcze kilka namiotów i latarnie rzuciły złote światło w gęstniejące ciemności. Między nimi krążyły cienie zakutane w okrycia przeciwdeszczowe. Pakowano skrzynie i części wyposażenia.

– Ano nie. Ale podczas burzy nie powinni nas zauważyć. – Hal odwrócił się. – Bierzemy się do roboty.

Zrzucili z ramion plecaki, wyładowali sprzęt i przystąpili do pracy.

Dixie odsunęła się od stołu wstrząśnięta tym, czego dowiedziała się z kroniki.

– Twój ojciec ukrył złoto! – zawołała. – Znalazł je wraz z ciałem. Zakopał. Po prostu zostawił z Robertem. Nie zabrał. Nie zdradził nikomu. A ty wiedziałaś o tym przez wszystkie te lata?

Esther wpatrywała się w poblakłe stronice.

– Tak. Ale nie pozwalałam sobie myśleć o tym. – Podniosła w górę pełne smutku

brązowe oczy. – Potrafisz to zrozumieć?

– Nie bardzo.

– Moje dziecko, owe złoto to śmierć. Ono już raz zabiło i jeszcze zabije. Moja rodzina przysięgła, że nigdy go nie dotknie. Nigdy nie będzie o tym rozmawiać. Nikomu nic nie powie.

– Ale musisz! Hal musi się o tym dowiedzieć!

– Harold Blane idzie za swym własnym przeznaczeniem. Jeśli sam znajdzie złoto, wtedy to, co się stanie, spadnie na jego głowę.

– Esther! To jest tchórzostwo!

– Nie! – Staruszka zmierzyła ją gniewnym wzrokiem. – To jest prawo.

– Uważasz... – Dixie zastanowiła się. – Sądziś, że ponieważ złoto było, w jakimś stopniu, Roberta, więc jeśli Hal je znajdzie... ?

– To będzie jego. – Esther wstała. Podniosła oczy w górę. – Ono nie jest i nigdy nie było moje. – Przerwała. – Burza odchodzi stąd. Idzie tam, gdzie czeka złoto. – Spojrzała na lekarkę. – Chyba też tam musimy pójść. Ty i ja. – W ciasnej izbie echo zdawało się powtarzać jej słowa.

Dixie poczuła dreszcz przebiegający jej przez plecy.

– Esther! Powiedziałaś mi przecież, że nie masz żadnych sił nadprzyrodzonych. Że jesteś po prostu stara. Ty o czymś takim nie możesz wiedzieć. Co się dzieje?

Esther potrząsnęła głową.

– Nie wiem! Ale przeczuwam, że coś się stanie tej nocy.

– Dobrze. Nie mam pojęcia, jak mogę się tam znaleźć w ciągu kilku godzin. Potrzebuję co najmniej dwóch, żeby się dostać na główną szosę do wykopalisk, pod warunkiem, że przebrnę przez błoto na polnych drogach.

– Jest droga przez góry. Chodziłam nią wiele razy. – Esther pochyliła się nad stołem i pieczołowicie owinęła dziennik skórą. – Ale dzisiaj nie pójdziemy. Dziś pojedziemy konno.

– Na twoich konikach?

– Są małe – uśmiechnęła się Esther – i stare, ale uniosą nas. Jesteśmy lekkie. A one są mocne.

– Esther! Ja od lat nie siedziałam na koniu. Nie wiem, czy potrafię.

– Potrafisz! – Odwróciła się i włożyła zawiniątko do skrzyni. Przeszła do szafy pod ścianą, gdzie trzymała gotowe już leki. – Musisz! – Wzięła dużą sakwę i zaczęła ładować do niej zawartość szafy.

– Pomogę ci – zaproponowała Dixie i stanęła obok niej. – Powiedz, co mam robić.

Esther na chwilę położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Idź i nałóż koniom skórzane uździenice. One nie potrzebują żadnego metalu w pysku. Ani siodeł na grzbiecie.

Dixie stłumiła jęk na myśl o jeździe na oklep po kilkunastoletniej przerwie. Ale wykonała polecenie. Tkwiła w tym wszystkim już tak głęboko, że zachowanie zdrowego rozsądku wydawało się największym szaleństwem, jakie mogłaby popełnić.

Koniki musiały wyczuć przygodę, bo gdy weszła do zagrody, podbiegły do niej rżąc i

pomogły jej nałożyć sobie uprząż. Ziemia po deszczu była grząska i ich małe kopyta kłaskały w błocie, gdy krążyły wokół niej i domagały się pieśczoły. Pachniały ciepłem i sianem. Podrapała je po łbach i przyjrzała się z drżeniem ich kościstym grzbietom. Czekala ją długa, niewygodna wędrówka do wykopalisk.

Wróciwszy do izby z ulgą westchnęła na widok dwóch siodeł sporządzonych z kocy. Wzięła je od Esther wraz z grubym, wełnianym pledem.

– To dla ciebie – powiedziała staruszka. – Deszcz już ustał, ale w górach będzie zimno.

Dixie nie mogła oderwać od niej wzroku.

Esther była ubrana w skórę kozłową. Długie włosy, które zwykle wiązała z tyłu głowy, teraz były splecione w dwa warkocze. Wyglądała jak Indianka.

– Odbywamy wędrówkę w przeszłość – wyjaśniła staruszka.

– Wiem o tym – odparła Dixie.

Wiedziała. Wszystkie te dziwne odczucia cofania się w czasie, jakie towarzyszyły jej od przyjazdu do Seaside, nagle nabrały sensu. Przybyła tu w określonym celu. Miała odnaleźć i naprawić przeszłość. – Wiem o tym – powtórzyła z namysłem. – Wiem.

Tym razem, gdy obudziły ją hałasy, Hattie pomyślała, że Hal i Artie poddali się pogodzie i wrócili do domu. Podniosła głowę i spojrzała na zegarek na nocnym stolczku.

Jedenasta. Będą musieli sami zatroszczyć się o siebie. Jest już za późno, by mogli liczyć na to, że wstanie i zajmie się nimi. Są dość samodzielni. Czas już, aby popraczkować trochę zdrowego egoizmu, zgodnie z tym, co Dixie radziła jej podczas jednej z ostatnich rozmów. Zamknęła oczy i starała się zasnąć.

Hałasy nie ustawały, lecz Hattie przestała zwracać na nie uwagę.

Miała do tego prawo.

Hal zamachnął się kilofem i odrąbał spory kawał błota i skały. Artie, który kucnął przy zagłębieniu, wsunął rękę w bryłę i szukał w niej czegoś twardego.

– Nie ma, tato! Tu też nie ma.

– Do diabła! – Hal oparł kilof o nogę i zsunął kapelusz na tył głowy. Deszcz przestał padać, ale było już zupełnie ciemno. Ziemia zmieniła się w kleisty muł. Pracowali przy świetle ślepych latarek i nie mogli niczego widzieć dokładnie. Hal kierował się instynktem za każdym razem, gdy decydował się na uderzenie kilofem. – On przecież nie mógł odejść od innych zbyt daleko – powiedział ni to do Artiego, ni to do siebie. – Podejrzewaliby go. To musi być gdzieś tutaj.

– Ale został pogrzebany tam – Artie wskazał na skalną półkę, gdzie znaleziono szkielet. – Dlaczego jesteś taki pewny, że złoto jest tutaj?

– Nie wiem, synu! – Hal potrząsnął głową. – Po prostu czuję to. Ja ciągle nie rozumiem, jak on się tam w ogóle znalazł. To jest bez sensu. Jeśli go zastrzelili tutaj, to tutaj by go pochowali. Nie mieli czasu na kopanie głębokiego grobu... – Zawahał się.

– Co jest?

– Nie pomyślałem o tym. Może to nie jest jego pierwszy grób? – Odsunął kilof i podszedł

do krawędzi. Spojrzał w dół. Przysiadł na piętach i badał teren.

Jakieś sto pięćdziesiąt metrów poniżej, w lewej części płaskowyżu leżało obozowisko. Wiele namiotów zniknęło, ale w kilku mieszkali pozostali naukowcy i robotnicy. Najwyraźniej zniechęceni ulewą przerwali pakowanie i poszli spać.

Dalej na lewo było urwisko, a pod nim występ skalny, gdzie znaleziono szkielet.

Zbyt daleko stąd, aby mogło to mieć jakikolwiek sens.

Chyba że ktoś przeniósł ciało i jeszcze raz pochował Roberta Kedricka.

Ten, kto to zrobił, mógł również ukryć złoto.

Albo je zabrać.

Hal rozważał te możliwości. Zamknął oczy. – Tato!

– Artie podszedł do niego. – Co robisz?

– Ciii! Myślę. Artie zamilkł.

Długo tkwili tam, nad przepaścią, pogrążeni w swych myślach.

Świat wokół Hala pogrążył się we mgle. Szeryf skupił się, próbując odtworzyć przeszłość, ujrzeć, jak wtedy było, przeżyć raz jeszcze to, co się wówczas zdarzyło...

Grzmot zaczął się łagodnym pomrukiem, przypominającym werbel, który zaniepokoiłby trójkę jeleni, gdyby jeszcze znajdowała się na otwartej przestrzeni. W następnej chwili łoskot wstrząsnął doliną jak salwa artyleryjska, zaraz jednak złagodniał i rozsypał się w odgłos i plusk kopyt końskich o płytkie dno strumienia.

Dziwiewięciu jeźdźców wtargnęło na scenę. Twarze mieli zdesperowane i złe. Jeden z nich jechał z tyłu, oglądając się przez ramię w obawie przed pościgiem. I jeden prowadził, a jego spojrzenie było spokojniejsze niż innych, wlepione w wysoką skalistą grań nad nimi i w płaskowyż, który znał tak dobrze.

Był wielkim mężczyzną o grubo ciosanych rysach i skórze spalonej przez słońce Zachodu. Oczy miał błękitniej sze niż czyste niebo, a włosy miedziano-brązowe. Kapelusz z szerokim rondem osłaniał mu twarz.

Ośmiu jechało za swym przywódcą, coraz dalej od strumienia, między osikami nad potokiem, między skałami u podnóża urwiska. Tam zniknęli. Jeszcze przez kilka minut kłaskanie kopyt wspinających się coraz wyżej koni dźwięczało echem w dolinie.

Hal odetchnął głęboko. Otworzył oczy i spojrzał na syna. Artie miał pustą, nieprzytomną twarz. Strużka błota, która ciekła mu po policzku, wyglądała w ciemności jak krew.

– Nie wiem, tato! – powiedział. – Myślę, że nie dotarli tak wysoko.

– Dotarli! – Hal położył rękę na ramieniu syna. – Pytanie brzmi tylko: czy zatrzymali się tutaj. – Wyciągnął rękę w noc, ku prerii. Burza pociągnęła na wschód i chmury zaczęły się przeredzać. Światło księżyca nadawało krajobrazowi srebrzysty połysk. – Pościg ciągnął stamtąd. Banda wołała znaleźć się tutaj, wysoko, skąd mogła obserwować okolicę.

– Zgoda, ale wraz z nadejściem burzy może zeszła niżej, żeby się przed nią schronić.

– On znał tę ziemię. Wiedział, gdzie można przeczekać burzę.

– My też wiemy.

– Ale pozmieniało się wiele. – Hal zamilkł. – Mam! – Wstał. – Urywisko zostało podmyte

tak, że odsłoniło szkielet. Przyjrzyj się, jak woda spływa w dół ścieżki. Założę się o ostatniego dolara, że...

Rozległ się wystrzał i kula ugodziła go, zanim zdołał dokończyć zdanie. Zatoczył się nad krawędzią urwiska. Artie krzyknął i rzucił się ku ojcu.

Za późno. Bez jednego dźwięku Hal Blane zniknął w ciemności.

Dixie zmieniła pozycję na koniku, próbując złagodzić ból mięśni i stawów. Prawda była taka, że choć miała pod sobą szmaciane siodło, jechała na oklep na kościstym stworzeniu. Bolało ją wszystko. Stłumiła skargę wyrrywającą się jej z piersi. Esther nie odzywała się całą godzinę, odkąd wyjechały, i Dixie nie chciała przerywać jej milczenia.

Ponadto las wymagał dziś zachowania ciszy. Nawet odgłos końskich kopyt był przytłumiony. Owinięta w gruby pled, czuła się odcięta od zewnętrznego świata.

Jazda była dokuczliwa, ale i spowita jakimś czarem. Dixie podróżowała jakby w półśnie, pozwalając Esther i jej konikom wieść się, gdziekolwiek chciały, ufając im, jak nigdy nikomu dotychczas. Świat wokół niej był ciemny, obmyty deszczem i spokojny.

Nagle usłyszała wystrzał.

– Co to? – zawołała. Ledwo zdołała utrzymać się na koniu. – Esther, czy ktoś do nas strzela?

Staruszka nie odezwała się, tylko kopnęła konia w bok. Zwierzę pogalopowało leśną ścieżką. Za nim popędził wierzchowiec lekarki. Musiała złapać go za grzywę, aby uratować się przed upadkiem. W następnej jednak chwili odzyskała równowagę, pochyliła się nad szyją zwierzęcia i zachęcała je do biegu.

Wypadły w końcu z lasu na otwartą przestrzeń. Jakiś człowiek klęczał za skałą i celował w dół. Dixie wrzasnęła i zrzuciła pled. Kopnęła konika i zaszarżowała na mężczyznę. Zaskoczony, odwrócił się w jej stronę i krzyknął. Przez ułamek sekundy mierzył do niej z karabinu, potem zgiął się i rzucił na prawo od niej, między drzewa, na stok wysokiej góry. Koń zarył się kopytami w błocie, tuż nad skrajem urwiska, skąd strzelał tamten człowiek.

Dixie zeskoczyła z konia i podbiegła do krawędzi.

Spojrzała ku niej biała twarz Artiego.

– On zastrzelił tatusia! – płakał. – Dixie, on zabił mojego ojca!

Hałasy były tak uporczywe, że Hattie nie mogła zasnąć. Niezadowolona, odrzuciła kołdrę i założyła płaszcz kąpielowy. Chłopcy ciągle przetrząsali pokój Hala, robili więcej hałasu niż...

Hattie zatrzymała się w drzwiach swego pokoju. Czego oni o tej porze szukali w pokoju Hala? Otuliła się połami płaszcza. Gdyby wrócili przemoczeni, brudni i zmęczeni, zrzuciliby odzież na dole, wzięliby krótki prysznic i poszli spać.

Nie siedzieliby w bibliotece. Na pewno nie!

Cofnęła się od drzwi.

Telefon był w korytarzu. Nie mogła dostać się do niego i wezwać pomocy nie narażając się na przyłapanie przez tych... A w dodatku raz już dzisiaj wszczęła alarm. Może jednak to

byli jej chłopcy? Czy nie wyglupiłaby się podwójnie, jeszcze raz meldując o włamywaczach?

Musi najpierw dowiedzieć się, kto tam szpera. Potem postanowi, co robić.

Jeśli grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo, to musi myśleć i działać szybciej i skuteczniej niż kiedykolwiek przedtem. Wróciła do łóżka, usiadła na nim i zaczęła przygotowywać plan.

– Do diabła, Turner! – wyszeptał Oskar Hayden. – Przeorałeś już wszystko. Skąd wiesz, że znajdziesz tu jedno słowo o złocie?!

Reed Turner przestał na chwilę wertować kartotekę.

– Bo znam ludzi. Ten człowiek wie, gdzie szukać złota. On tylko czeka na właściwy moment, by je zlokalizować.

– I nagle ten czas nadszedł?

– W samej rzeczy! Gdy tylko pański student znalazł szkielet, Blane zrozumiał, że pojawiła się szansa, na którą czekał. Musiał tylko doprowadzić do zidentyfikowania zwłok, i już mógł działać, jako poszukiwacz skarbu.

– Przykro mi, lecz nie rozumiem, w jaki sposób włamywanie się do jego domu i przetrząsanie papierów ma nam przynieść jakąś korzyść. Czy nie lepiej śledzić go i zabrać mu skarb, gdy go już znajdzie?

– Wtedy bylibyśmy jedynie złodziejami – wyjaśnił Reed Turner. – Niczym lepszym od jego pradziadka. Nie, drogi panie Hayden! My musimy uzyskać prawa, które wytrzymają próbę sądu. Musimy wykazać, że to my, dzięki naukowym metodom i badaniom historycznym, zlokalizowaliśmy złoto.

– Tak czy siak je zabierzemy.

– Owszem, lecz bez przemocy. I bez rekompensaty dla Blane'a.

– Panie Turner, podoba mi się pańskie podejście – zachichotał Hayden. – Słowo daję!

– Ale mnie się nie podoba – oznajmiła Hattie Blane. Wyciągnęła rękę ku ścianie i włączyła światło. – Słowo honoru!

Mężczyźni odwrócili się ku otwartym drzwiom biblioteki. Oskar Hayden zachłysnął się. Reed Turner krzyknął.

Winnie Nash była pogrążona w głębokim śnie, gdy obudził ją huk wystrzału. Przespała najgorszą część burzy nawet nie drgnąwszy, ale ten dźwięk otrzeźwił ją natychmiast.

Jak również to, że ktoś znajdował się w namiocie.

Otworzyła jedno oko. W namiocie panowała ciemność, tylko wątła strużka światła z malutkiej latarki przecinała mrok. Ktoś nachylał się nad jej biurkiem i próbował odczytać jej notatki.

Trochę szerzej otworzyła oko.

Nie. Nie jej notatki. Jej osobisty dziennik! Ostrożnie sięgnęła pod materac po rewolwer i mocną latarkę. Zanim wyjechała z Bostonu, jej narzeczoney, który nigdy nie wybrał się na zachód od Nowego Jorku, sprezentował jej broń wraz z ostrzeżeniem przed wszystkim, od grzechotników po niedźwiedzie. Nauczyła się strzelać i trzymać ją pod ręką, ale nigdy nie sądziła, że będzie musiała jej użyć.

Wyciąnęła rewolwer i latarkę i wsunęła pod kołdrę. Delikatnie załadowała i odbezpieczyła broń.

Usiadła, wycelowała rewolwer, włączyła latarkę i wrzasnęła:

– Nie ruszaj się, gadzie! Mam cię na muszce!

Snop jasnego światła przyszpilił Hastingsa Clarka jak pluskwę. Odwrócił się, zrzucając papiery na ziemię. Lekceważąc jej wezwanie runął w noc.

Winnie, wstrząśnięta i zła, wstała i podeszła do biurka. Włączyła światło. Dziennik zniknął. Narzuciła bluzę, włożyła buty. Machając rewolwerem i latarką wybiegła z namiotu.

Nie było śladu Hastingsa Clarka. Zniknął.

– Hastings! – zawołała. – Gdzie jesteś, skórkozjadzie?! Oddaj mi mój dziennik!

Kilku paleontologów wyjrzało z namiotów zobaczyć, co się dzieje. Winnie jeszcze raz zawołała Hastingsa i oświetliła obóz.

Przybiegł do niej Wayne Sussex.

– Nic ci się nie stało? Zdawało mi się, że słyszałem strzał – powiedział. – Rąbnęłaś Hastingsa Clarka?

– Nie zdążyłam wystrzelić – oświadczyła Winnie. – Ale ja też słyszałam strzał.

Jedna z robotnic wskazała na urwisko nad obozem.

– Wydawało mi się, że słyszałam go stamtąd.

Winnie skierowała tam światło reflektora. Deszcz zmył ze zbocza glebę i roślinność. Stromizna wyglądała teraz jak ściana jakiegoś gigantycznego więzienia.

Wysoko na wąskim występie skalnym, nie dalej niż parę metrów w bok od obozu, leżało czyjeś ciało. Mężczyzna. Jedno jego ramię i noga zwisały z krawędzi, głowa była odwrócona od stoku. Najego plecach widniała plama krwi. Ciemna, prawie czarna w świetle latarki. Winnie stłumiła pragnienie krzyku. Przeniosła światło wyżej.

Artie Blane o śmiertelnie bladej twarzy klęczał na krawędzi następnego występu. Nawet z tej odległości widać było malujące się na niej przerażenie.

Jego ojciec leżał nad przepaścią krwawiąc, może martwy.

Winnie usłyszała jeszcze inny głos. Na szczycie góry nad obozem stała Dixie Sheldon z małą Indianką u boku. Winnie dojrzała jeszcze łby dwóch koni. Linę. Dwie liny.

Po chwili Dixie zawisła na nich i zaczęła spuszczać się w dół przepaści.

Do Artiego. Do Hala.

Winnie odwróciła się i wydała polecenia swoim pracownikom.

Liny pochodziły z torby Esther. Wiedza o tym, jak się nimi posługiwać, przetrwała z czasów, gdy Dixie uprawiała wspinaczkę jako hobby. Teraz schodziła ostrożnie ścianą urwiska, i próbowała opanować emocje, wisząc nad pierwszym występem, gdzie stał Artie.

W milczeniu i ze stoickim spokojem czekał na kogoś, kto pomoże jego tacie. Zachowywał się tak jak ojciec. Każdy inny dzieciak wrzeszczałby i płakał o pomoc.

Dixie odrzuciła myśl, że Hal nie żyje. To po prostu niemożliwe! Wiedziałyby przecież. I Esther wiedziałyby też. To staruszka podała jej liny i powiedziała:

– Idź do niego, dziecko! Uzdrów go. Ty wiesz, jak. I właśnie to miała zamiar uczynić.

Ściana była mokra po ulewie, szczeliny i występy na stopy i palce były śliskie i zdradliwe, ale Dixie posuwała się do celu. Nie mogła popełnić błędu. Zbyt wiele zależało od niej. Zbyt wiele.

Po kilku minutach dotarła do Artiego. Twarz chłopca była zalana łzami. Pomógł jej ściągnąć linę i przewiązał ją, aby mogła iść niżej, do Hala.

– Kiedy spadł? – zapytała. – Przed czy po strzale?

– Po – odpowiedział Artie i przeciągnął linę wokół skalnej kolumny. – Dixie, czy pani myśli, że on umarł?

– Nie! – Wypróbowała linę. – Nie pozwolę mu. – Stanęła na krawędzi. – Pilnuj liny. Stój tam, gdzie jesteś. Nie wiem, kto strzelał do twego ojca, ale ten człowiek jeszcze gdzieś tu jest.

– Wiem. Sam się nim zajmę. – Jego głos był niski, groźny. Łzy zniknęły już z jego twarzy, która przypominała teraz kamienną maskę, taką samą, jaką często nosił jego ojciec.

– Nie waż się! – ostrzegła go. – Myśl o ojcu. I o babci. I stój tam. Nawet nie próbuj myśleć o ściganiu przestępcy.

– Tak jest, proszę pani! – odpowiedział. Ale w jego twarzy więcej było buntu niż posłuszeństwa.

Dixie nie miała czasu tym się zająć. Poprawiła plecak i spuściła się w dół. Lina ślizgała się przez jej dłonie, ścierając skórę, ale lekarka nie zwracała uwagi na ból. Po kilku chwilach stała na wąskim występie, gdzie leżał Hal.

Już pobieżne oględziny wykazały, że żyje. Zapragnęła krzyknąć i tańczyć z ulgi i przemożnej radości. Ale opanowała się natychmiast i przystąpiła do pracy.

Nie pozwoliła, żeby emocje wzięły nad nią górę. Uklękła u boku szeryfa. Leżał wyprostowany, twarzą do skały, zjedną ręką zgiętą pod tułowiem, drugą przewieszoną przez krawędź. Jedna noga też zwiślała niebezpiecznie. Druga była wyprostowana i cała. Kapelusz spadł mu z głowy, ale Dixie nie dostrzegła krwi na twarzy, ani z tyłu czaszki. Oczy miał zamknięte, oddychał płytko.

Na plecach rosła plama krwi.

Dixie zapaliła małą lampkę, którą Esther zapakowała do plecaka. Przy jej chybotliwym płomieniu zbadała ranę. Nie wyglądała dobrze, ale nie była śmiertelna. Kula nie wyrządziła zbyt wielkiej szkody. Przeszła czysto przez mięśnie boku i dolnej części pleców, omijając

wszystkie organy. Dixie niemal zapłakała z ulgi. Hala zrzuciło uderzenie kuli, a nie śmiertelne trafienie.

Znajdował się jednak w poważnym stanie. Prawa ręka była prawdopodobnie złamana, upadek pozbawił go przytomności i na pewno spowodował wstrząs mózgu, jeśli nie coś gorszego. Nie dowie się tego, zanim nie dostarczy go do szpitala.

Najpierw jednak musi ściągnąć go z tej półki.

Spojrzała w górę. Artie nie odrywał od nich oczu.

– Żyje! – zawołała. – Ale muszę go stąd ściągnąć. Możesz iść po pomoc?

Artie potrząsnął głową i pokazał ręką w górę. Niemał się uśmiechał. Dixie obejrzała się. Na wschodniej części nieba zobaczyła poruszające się światła, a po chwili usłyszała terkotanie helikoptera. Pogotowie lotnicze, które wezwała na pomoc staruszce, musiało jakimś cudem zostać zawrócone z drogi i skierowane tutaj. Gdy patrzyła na maszynę, pilot włączył reflektor i znalazł ją i Hala. Pomachała, wiedząc, że została zauważona i że pomoc jest blisko. Bogu dzięki!

Podczas gdy sanitariusze i pilot zastanawiali się, jak zbliżyć się do rannego, Dixie starała się zatamować upływ krwi i powstrzymać Hala przed dalszym pograżaniem w szoku. Bandażami zrobionymi przez Esther z miękkiej kory opatrzyła bok. Rękę unieruchomiła w łupkach. Bez szpitalnej aparatury nic więcej nie mogła zrobić.

Wzięła go za rękę i pogładziła po głowie. Myślała o tym, co czuje do niego. Myślała o przyszłości.

Śmigłowiec manewrował, wreszcie siadł na półce z Artiem. Jeden z sanitariuszy spuścił się stamtąd wraz z noszami na grubej linie.

Był to krępy, niski, silny mężczyzna z łysą głową okrytą baseballową czapczką z oznaką pogotowia lotniczego.

– W porządku, proszę pani! – przekrzykiwał warkot helikoptera. – Teraz ja się nim zajmę.

– Ja jestem lekarzem – zawołała Dixie. – To mój pacjent. Od tej chwili dyrygowała wszystkim.

We dwoje przywiązali Hala do noszy, wciągnęli na górę i załadowali do śmigłowca. Gdy ułożono go na kozetce wewnątrz maszyny, Dixie przystąpiła znów do pracy. Zmierzyła mu ciśnienie i kazała sanitariuszowi co pięć minut notować wyniki badań. Siłą nadała swemu głosowi chłodne, rzeczowe brzmienie, aby nie zdradzić uczuć wybuchających w niej, gdy patrzyła na bezwładne ciało.

Wkrótce wylądowali obok szpitala w Casper. Tu Dixie usunęła się i pozwoliła działać lekarzom z pogotowia. Dwaj mężczyźni z odznakami detektywów trzymali się również na uboczu, ale bacznie śledzili przebieg wydarzeń. Prawo zechce niedługo zadać jej całą masę pytań. Teraz jednak jedyną jej troską był Hal.

W eksplozji szaleńczej pracy, wykonywanej precyzyjnie i niemal w całkowitym milczeniu, zespół dyżurny przeniósł rannego do sali operacyjnej. Nikt nie odezwał się do niej słowem, ale wiedziała, że traktowano ją jako główną opiekunkę. Poinformują ją o wszystkim, jak tylko coś będą wiedzieć...

Dixie usiadła w poczekalni. Detektywi na razie zachowywali pełen szacunek dystans. Nie

musiała na nich zwracać uwagi. Przez kilka minut trwała w całkowitym bezruchu, sparaliżowana fizycznie i psychicznie.

Gdy zaczęła szlochać, panowie opuścili pokój.

Płakała w milczeniu, gdy pojawił się M.J. Nichols. Podeszedł do niej i objął ją.

– Dowiedziałem się o wszystkim od znajomego z pogotowia i od człowieka, którego mam w biurze szeryfa. Domyśliłem się, że tu jesteś. Jak się czujesz?

– Jesteś dobrym przyjacielem – powiedziała pociągając nosem i ocierając łzy. – Teraz czuję się dobrze, tylko robię z siebie idiotkę wypłakując oczy.

– Widzę, że ten facet wziął cię naprawdę. – Adwokat sięgnął do kieszeni i podał jej chusteczkę.

– Chyba tak. – Dixie przyjęła ją z wdzięcznością. Wszystkie serwetki ze stojącego obok pudełka już od dawna spoczywały w koszu na śmieci. – Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowuję.

– Dixie Sheldon! – zawołał Nichols. – Przychodzi taki czas na nas wszystkich, zwykłych śmiertelników, że się zakochujemy. Wygląda na to, że i ty w końcu wpadłaś.

Dixie spojrzała na starego przyjaciela.

– Czy ty naprawdę myślisz, że mnie to spotkało?

– Mogę się założyć! – M. J. jeszcze raz ją objął. – On się z tego wykaraska, kochanie. Zobacysz! – uśmiechnął się, co uruchomiło wszystkie mięśnie jego okrągłej, przystojnej twarzy. Poglądził ręką przerzedzone, ciemne włosy. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym omówić kilka interesujących faktów, które odkryłem w toku krótkiego przeglądu sprawy, jaką mi powierzyłaś w związku z tym mężczyzną.

– Już coś znalazłeś? – zdziwiła się.

– W samej rzeczy. I to coś niezwykle ciekawego!

– Więc powiedz mi, proszę. Muszę myśleć o czymś innym, a nie tylko o tym, co się dzieje z Halem.

– Jak tylko twój szeryf wstanie i wyjdzie stąd, ja wnoszę sprawę jego ziemi do sądu.

– Żartujesz! Czyżby rząd nie przejął tych gruntów legalnie?

– Nie, albowiem uczynił to wykorzystując ubóstwo spowodowane przez świadome mściwe działanie przeciwko wdowie po rzekomym przestępcy, Robercie Kedricku.

– Rzekomym? Co ty mówisz, M.J. ?

– Był tajnym agentem rządowym. Banda, do której się przyłączył jako agent, napadała od miesięcy. Skradzione złoto należało do armii Stanów Zjednoczonych. A ktoś z władz wiedział, jaką trasą będzie transportowane. Kiedy zostało zrabowane, ten ktoś nie chciał, aby działalność tajnego agenta w ogóle wyszła na jaw. Po śmierci Kedricka i zaginięciu złota osoba ta doszła do wniosku, że jeśli wdowa zostanie publicznie potępiona i finansowo wyniszczona, to nigdy nie będzie miała czasu, pieniędzy, serca czy wpływów, aby wniknąć w cały ten bałagan.

– Jesteś genialny, M.J. ! Nie wiedziałam, że już wtedy rząd miał tajnych agentów.

– Miało ich tylko parę ministerstw, wśród nich ministerstwo skarbu. Twój Hal powinien być dumny ze swego przodka. Tajny agent ministerstwa skarbu! – Prawnik był wielce z siebie

zadowolony. – Chcesz wiedzieć, jak na to wpadłem?

Dixie uśmiechnęła się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Zamieniam się w słuch.

– Dotarłem do tego powołując się na ustawę o wolności informacji. Wyobraź sobie, że dokumenty Kedricka zostały ukryte w takim dziale, w którym nawet ja, ze swoim wielkim prawniczym umysłem, nie szukałbym ich. Ulokowano je, wbrew porządkowi alfabetycznemu, przy aktach Butch Cassidy Sundance Kid, dostarczonych rządowi przez Pinkertona. Niezgodnie z czasem, z przynależnością terytorialną, z jakimikolwiek zasadami.

– Jakim cudem do nich trafiłeś? Dlaczego ty dotarłeś, a Hal nie zdołał?

– Jako krewny jest chyba za blisko związany ze sprawą. Obawiano się procesu. I nie tylko to. Musisz uwzględnić, że mimo swej obsesji, w rzeczywistości mógł nie chcieć poznać prawdy, gdyby miało okazać się, że fakty potwierdzają oskarżenie. Któż nie wolałby wtedy uznać sprawę za nierozstrzygniętą, przynajmniej we własnym umyśle?

– Ale mam przyjaciółkę – ciągnął adwokat – która lubi zmagać się z biurokratami. Po prostu zleciłem jej to zadanie. Pamiętasz Mirandę? Prywatnego detektywa? Pomogła mi kilka lat temu w sprawie kuzynki Allie. Gdy była bliska wykrycia wszystkiego, zacząłem dostawać telefony i faksy z Waszyngtonu. Oni się tam boją kolejnego skandalu, choćby nie wiem jak starego. Ale ja nacisnąłem parę guzików w stolicy i proszę, faks wypłynął mi stuletnie dokumenty.

– Kocham cię, M.J. !

– Jasne! Ale znacznie bardziej kochasz tego szeryfa, prawda?

Dixie poczuła łzy gromadzące się pod powiekami.

– Tak. Chyba tak.

W tej chwili drzwi do sali operacyjnej otworzyły się i ukazał się w nich ubrany na zielono chirurg. Był to wysoki, młody człowiek o krótko przyciętych blond włosach i zielonkawych oczach.

– Jestem doktor Sanders – przedstawił się adwokatowi.

– Pański pacjent ma się świetnie.

– Dzięki Bogu! – zawołała Dixie.

– On jest jej pacjentem – rzekł M. J. i pokazał na Dixie.

– Ja jestem tylko prawnikiem.

Sanders zrobił zdziwioną minę.

– Aha! – Zwrócił się do Dixie. – Ręka nie jest złamana. To tylko mocne zwichnięcie. Przez pewien czas będzie bolała. No i musi być w gipsie. Chcę zadać pani jedno pytanie. Chodzi o ranę postrzałową – powiedział. – Ktoś przyłożył na nią jakąś mieszankę ziołową. W porządku, powstrzymało to krwawienie, ale...

– Ja to zrobiłam – powiedziała lekarka. – To była suszona mieszanka wewnętrznej kory dzikiej czereśni i osiki. I...

– Indiański lek? – Sanders był zaintrygowany. Z uwagą przyjrzał się Dixie.

– Tak, ja...

– Znalazł go jakiś Indianin?

– Nie. Ja go opatrzyłam. Uczę się u pewnej staruszki, która...

– Świetnie! Interesujące! – zawołał lekarz, przerywając jej znowu. – Gdzie pani praktykuje?

– W Seaside.

– Dlaczego nie tutaj? – zatoczył ręką, potem dotknął jej ramienia. – To jest szpital rejonowy. Marnuje pani czas w tej głuszy.

Dixie odsunęła się i spojrzała na niego zimno.

– Nie sędzę. Mogę teraz zobaczyć pana Blane’a?

– Jest w sali pooperacyjnej.

– Gdzie ona się znajduje?

Doktor Sanders zaczął dowodzić, że lepiej zrobiłaby czekając tutaj, ale w końcu zmienił zdanie.

– Proszę iść za mną – westchnął z rezygnacją. – Ale pani przyjaciel musi tu zostać.

– Nie ma sprawy! – zawołał adwokat. Pocałował Dixie w policzek. – Skontaktuj się ze mną jak tylko będziesz mogła.

– Dziękuję ci, M.J. – Dixie objęła go. – Dzięki za to, że byłeś ze mną, kiedy potrzebowałam twej pomocy. Nie wiem, co bym zrobiła...

– Jeszcze nie wygraliśmy, kochanie! – ostrzegł prawnik. – Jeśli nie zdarzy się coś nadzwyczajnego, czeka go, jak wiesz, długa walka w sądach.

– Tego się obawiałam. – Dixie zamyśliła się. – Nie wykluczone, że będę przy nim w tym czasie.

Przyjaciel uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

W kilka chwil później Dixie pochyliła się nad Halem. Wzięła skądś biały fartuch i nikt nie kwestionował jej obecności przy rannym.

Był blady, zbyt wielki jak na standardowe łóżko. Z zamkniętymi oczami, unieruchomioną ręką i bandażami owijającymi tułów wyglądał zupełnie bezradnie.

Przyglądała jego włosy.

– Powinien się obudzić lada chwila – rzekł Sanders. Stał obok niej. Dixie zauważyła go dopiero teraz, gdy się odezwał. – Wstrząs nie jest zbyt groźny, ale głowa go będzie bolała przez kilka dni. I początkowo może być trochę zdezorientowany. Miejscowa policja będzie chciała z wami porozmawiać.

– Spodziewałam się tego – mruknęła, patrząc ciągle tylko na Hala.

– Czy on jest... – zapytał lekarz. – To znaczy, czy on i pani...

– Tak! – potwierdziła.

– Aha! – Doktor Sanders wyszedł. Czekala na Hala. Będzie czekać do skutku.

W końcu jedna z pielęgniarek przyniosła jej krzesło. Usiadła, napiła się kawy, ale nie mogła jeść. Pielęgniarki wchodziły i wychodziły, kontrolowały stan pacjenta i robiły adnotacje na karcie.

Stawała się śpiąca.

Na chwilę przymknęła oczy.

– Dixie! – Hal wołał jej imię. – Dixie! Podniosła się.

– Dixie! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie!

Siedział na łóżku i wolną ręką szukał czegoś w powietrzu. Miał oczy otwarte, ale nie widział niczego. Przynajmniej niczego w tym pokoju.

– Dixie! Wiem, gdzie ono jest – krzyknął. – Znajdę to złoto!

Złapała go za rękę i objęła. Pielęgniarki zakreśliły się przy łóżku, ale odsunęła je.

– Hal! Jestem tutaj – powiedziała. – Spójrz na mnie.

Odepchnął ją.

– Odeszła! – wybelkotał. – Opuściła nas. Zostawiła mnie. – Spojrzał gdzieś na prawo. – To ty, Robercie? Powiedz mi prawdę, do cholery!

Dixie chciała objąć go znowu, ale siostra dyżurna powstrzymała ją.

– Majaczy. Jest gorzej, niż się spodziewaliśmy. Musimy go związać, żeby nie zrobił sobie krzywdy. – Dała znak dwom potężnym sanitariuszom.

– Robert! – wrzasnął Hal. – Schowałeś je gdzieś, prawda? Zakopałeś je, prawda? – Opadł na łóżko ciężko dysząc. Och, ty stary sukinsynu! – wyszeptał.

Sanitariusze spróbowali wykorzystać ten moment. Hal zerwał się, gdy tylko go dotknęli. Walczył z nimi jak opętany.

Rzucił dwóch potężnych mężczyzn na podłogę.

Zanim się podnieśli, Dixie podbiegła do Hala. Zapomniała o całym swoim wykszoleniu, przepchnęła się między pielęgniarkami, wspięła na łóżko. Klęcząc na pościeli wzięła głowę rannego w ramiona i przytuliła do piersi.

– Ciii! – powiedziała i pogładziła go po włosach. – To ja, Dixie! Jestem tutaj. Jestem z tobą. Nie odejdę. Nie opuszczę cię. Ani teraz, ani nigdy. Kocham cię, Hal!

Nieprzytomny, oszalały, poraniony Hal Blane westchnął, odprężył się, przestał walczyć i wrócił do uzdrawiającego snu.

Po kilku godzinach przeniesiono go na oddział i Dixie podjęła czuwanie na wygodniejszym krześle. Sama zasypiała i budziła się co jakiś czas. Odpowiadała też na telefony zaniepokojonych mieszkańców Seaside, aż w końcu lekarz zakazał łączenia rozmów prywatnych z aparatem w pokoju szeryfa.

Cisza i uwolnienie od obowiązku powtarzania ciągle tego samego przyniosło jej ogromną ulgę. Minął dzień, nastąpiła kolejna noc. Hal spał.

Dixie budziła się i czuwała.

I myślała.

Śmieszne, jak łatwo podjęła ostateczną decyzję, gdy sytuacja zmusiła ją do dokonania wyboru. Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem zasnęła.

Pojawili się dwaj detektywi i zadali jej kilka pytań, ponieważ jednak Hal ciągle był nieprzytomny, nie drażyli sprawy. Dixie nie uczyniła nic, żeby ich zachęcić. Póki nie wiedziała wszystkiego, wolała zachować jak najwięcej dla siebie.

O świcie następnego dnia Hal się obudził.

– Dixie! – zawołał. – Co ty tam robisz? Kark ci zeszywnieje, jeśli będziesz spała w tej pozycji.

Wyprostowała się. Bolał ją każdy mięsień.

– Hal! Naprawdę się przebudziłeś?

– Jasne! – uśmiechnął się blado. – Jak długo... ?

– Bardzo długo – odparła. Wstała i dotknęła jego twarzy. – Co pamiętasz?

Lecz on patrzył tylko na nią. Zatraciła się w tym spojrzeniu.

– Kocham cię – wyszeptała w końcu. – Łzy wypełniły jej oczy i popłynęły po policzkach.

– A więc to nie był sen – powiedział cicho, ocierając je palcami. – Słyszałem, jak mówisz, że zostajesz ze mną. Na zawsze.

Dixie zdołała się uśmiechnąć.

– Oboje gadaliśmy różne rzeczy.

– Nie próbuj się wycofać!

– Nie wycofuję się. Powiedziałam to. I to jest prawda.

– Ale ja już wiem o Kalifornii. I o zamknięciu przychodni. Co zrobisz w tej sytuacji?

– Nie wiem – przyznała, mocno ściskając jego rękę. – Nie mam pojęcia. Ale możesz być pewien, że coś wymyślę.

– Nie! To my coś wymyślimy – sprostował. Zdrową ręką objął ją za szyję i przyciągnął do siebie.

Nie rozmawiali potem przez chwilę.

Przerwała im dopiero zmiana pielęgniarek. Wiedząc, że Sanders pojawi się wkrótce u pacjenta, Dixie zeszła do pokoiw lekarskich, aby doprowadzić się do porządku.

Poprzedniego dnia kuzynka adwokata, Allie Glass, przyniosła jej świeżą odzież i przybory toaletowe. Dixie wzięła prysznic, przebrała się. Siedziała w głównym pokoju lekarskim nad kawą i pączkiem, gdy usłyszała, jak dwoje starszych lekarzy rozmawia o niej.

A raczej o zastosowanym przez nią opatrunku.

– Najpaskudniejsza rzecz, jaką w życiu zdarzyło mi się oglądać – sarkał mężczyzna. – To świństwo położono dosłownie na otwartą ranę. Z naruszeniem wszelkich zasad higieny!

Lekarka była starszą, siwowłosą kobietą o poważnym wyrazie twarzy.

– Zupełnie nie mam pojęcia, co się dzieje z tymi młodymi ludźmi zaraz po akademii – rzekła. – Zdaje im się, że zniżając się do prymitywnych metod rozwiążą wszystkie problemy medyczne świata. – Napłała się kawy. – Powinniśmy uszykować dla nich miejsce, gdzie mogliby hodować swoje pijawki.

Zaśmiali się złośliwie.

Dixie nachmurzyła się. Ale nie wystąpiła w obronie okładów Esther. Po co marnować czas na spory z niewiedzą? Dla takich ludzi musi zdobyć dowody naukowe.

Może je zdobyć pracując w Seaside.

Jeśli, jakimś cudem, zdoła utrzymać tę pracę. O ironio! Zaledwie kilka miesięcy temu rzuciłaby się na pierwszą lepszą okazję do przeprowadzki do Kalifornii i opuściłaby Seaside nie oglądając się za siebie ani razu!

Teraz wygląda na to, że skazała się na życie w tej miejscinie.

Życie z Halem.

Oczywiście, uśmiechnęła się idąc korytarzem do jego pokoju, chociaż oboje wyznali

sobie miłość, żadne z nich nie wspomniało o stałym, formalnym związku.

Nikt jednym słowem nie wspomniał o małżeństwie.

Weszła do pokoju.

– Co ty robisz? – krzyknęła, gdy zobaczyła Hala.

Był już na nogach i ubierał się. Obok stał doktor Sanders i protestował, jękając się ze zdenerwowania.

– Proszę mu powiedzieć, że nie wolno tego robić! – Lekarz zwrócił się do Dixie. – Musi tu pozostać na obserwacji przez następne czterdzieści osiem godzin.

– Już się widzę, jak tu zostaję! – oświadczył Hal. Wyciągnął pokrwawioną i podartą koszulę w stronę Dixie. – Proszę cię, zdobądź dla mnie czystą koszulę.

– Nie! Doktor ma rację! Wracaj zaraz do łóżka, Hala Blane!

– Niece! – Odrzucił koszulę. – Chyba pójdę bez koszuli. Jest ciepło na dworze. – Włożył dzinsy i zapiął je.

Wyglądał wspaniale!

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknęła Dixie.

– Panie Blane, nie wolno panu...

Hal z uśmiechem zwrócił się do lekarza:

– Panie doktorze, ja naprawdę doceniam to, co pan zrobił, aby mnie połatać. Ale czuję się już świetnie i czas, abym wrócił do domu i do pracy. – Spojrzał na Dixie i dodał: – Wkrótce będę musiał troszczyć się o żonę.

Dixie nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

– No, jeśli oddaje się pan pod opiekę doktor Sheldon, to wszystko w porządku – ustąpił Sanders. Nie wyglądał na zachwyconego, ale najwyraźniej pogodził się z faktem, że jeśli Hal chce coś zrobić, to zrobi.

– Jeszcze raz dziękuję, panie doktorze! – Szeryf wyciągnął rękę do Sandersa. – Rachunek proszę wysłać do powiatu SeaLake.

– Już to zrobiliśmy.

– Dixie, kochanie, nie mogłabyś kupić mi gdzieś koszuli? – zapytał Hal. – Wolałbym nie włączyć się po mieście półnagi– Ja... Jasne! – zdołała wystękać. – Zatelefonuję...

– Dzień dobry! – M. J. wszedł do pokoju obładowany paczkami. – Nie przeszkadzam?

Dixie przedstawiła go.

– Przyniosłem nieco odzieży, która może pasować na pana, szeryfie – rzekł adwokat. – Należały do przyjaciela męża mojej kuzynki. – Zrzucił pakunki na łóżko. – Zalicza się do tych większych.

Dixie wzięła jedną z paczek, otworzyła ją i podała Halowi białą koszulę.

– Dziękuję! – pogładził materiał. – Ładna! – dodał. – Jedwabna?

– Chyba tak – odpowiedział M. J.

Gdy Hal zapinał koszulę, doktor Sanders wręczył Dixie dużą teczkę.

– Tu jest cała dokumentacja – powiedział. – Jest już właściwie zdrowy, jak się pani prawdopodobnie zorientowała. Widać, że odzyskuje siły, ale gdyby pojawiły się jakieś problemy, proszę dostarczyć go tu jak najszybciej.

– Oczywiście! – Dixie rzuciła spojrzenie na Hala, który uśmiechał się szeroko i żywo rozmawiał z adwokatem. M. J. pewnie dzielił się z nim dobrymi wiadomościami.

– A to są recepty – ciągnął Sanders. – Może je pani zrealizować w aptece szpitalnej. Zapłaci pani niższą cenę – dorzucił i wyszedł z pokoju.

– Dixie! – Hal tym razem nie krzyczał, ale jego głos wibrował z podniecenia.

– Tak?

– Słyszałaś o tym? – Wskazał na uśmiechniętego adwokata. – Czy ty to słyszałaś? – Otworzył ramiona.

Dixie zniknęła w jego objęciach.

– Tak. Gdy byłeś na sali operacyjnej. Oparła dłoń na jego piersi i spojrzała w górę. – To jedna, jedyna dobra rzecz, jaka zdarzyła się tej nocy.

– O nie! – Trzymał ją blisko siebie. – Doszłaś też do wniosku, że mnie kochasz.

– To prawda. Może straciłam rozum, ale jestem pewna tego, co czuję.

– W takim razie wiadomość, którą przyniósł mi twój przyjaciel, jest tylko drugą dobrą rzeczą – powiedział cicho.

Pocałowali się. M. J. bil brawo.

Dixie wiedziała, że dokonała słusznego wyboru. Liczy się tylko miłość. Nic innego nie ma znaczenia.

Później, gdy usiedli w sali konferencyjnej w biurze adwokata, Nichols poinformował ich o wszystkich szczegółach związanych ze sprawę Kedricka.

– Według starych dokumentów pański pradziadek, Robert Kedrick miał być ranczerem, który kradł na boku. – Rozłożył fotokopie wycinków prasowych. – Według ówczesnej opinii publicznej albo lubił swobodne życie, albo potrzebował gotówki na prowadzenie gospodarstwa.

Hal siedział w fotelu. Trzymał dotąd rękę Dixie, ale teraz puścił ją i wsadził dłonie do kieszeni.

– Był to jeden z powodów, dla których rancho natychmiast skonfiskowano – powiedział. – Gdy zaczęto sprzedawać ziemię, ludzie sądzili, że Robert wróci i spróbuje z bronią w rękę wydostać się z kłopotów.

– Zostałby zabity.

– Tak! – Hal popatrzył na adwokata. – Tylko że stało się to, zanim oni zaczęli okrawać nasze grunty.

– Oni, czyli ówczesne agendy rządowe.

– Lecz jeśli pracował dla ministerstwa skarbu – odezwała się Dixie – to przecież ktoś powinien do tego czasu oczyścić jego imię.

– Słusznie – zgodził się M. J. – Musimy więc założyć, że jego kontakt w ministerstwie miał jakieś powody, by siedzieć cicho, prawda? Musiał mieć ważny powód, aby oczernić imię Roberta Kedricka i zaaranżować przyszłe zrujnowanie jego rancho.

– Jakie było nazwisko jego łącznika? – Oczy Hala zwięziły się. – Czy znalazł je pan?

– Owszem – Adwokat podał mu dokument. Hal przeczytał i zaklął cicho:

– A to sukinsyn!

- Kto taki? – zapytała Dixie. Hal wręczył jej papiery.
- Człowiek nazwiskiem Turner – powiedział. – Rudolf Turner.
- Reeda Turnera...
- ... stryjeczny dziadek. – Hal się zachmurzył.

– Rozmawiałem o nim z twoim tatą – powiedział prawnik do Dixie. – Zatelefonowałem wczoraj. To bardzo interesujące, że syn bratanka Rudolfa poświęcił ładny kawał życia na próby wykrycia, kim był ów tajny agent. Nikt poza Rudolfem Turnerem nie znał jego nazwiska. Mógł to być każdy z członków bandy. Rudolf najął Kedricka, bo miał zamiar zabrać mu złoto. Wielkim błędem Kedricka było to, że zaufał pracownikowi rządu federalnego. Uwierzył w kłamstwa, które naopowiadał mu Turner.

– Lecz kiedy wszyscy zniknęli – opowiadał prawnik – Turner nie znalazł ani ciała, ani złota. Jeden z członków bandy przyznał się wiele lat później do zabicia Kedricka, ale trudno było przyjąć to za prawdę. Przodek Reeda Turnera był przekonany, że tajny agent ukrył złoto, zanim zniknął. Reed Turner...

– ... chciał je odszukać – dokończył szeryf. Znowu ujął rękę Dixie. – Kochanie, muszę zatelefonować do domu i powiedzieć mamie i Artiemu, żeby nie ufali temu człowiekowi i żeby uważali na...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Sekretarka adwokata, Barbara, zajrzała do sali i powiedziała:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale ktoś z pańskiego biura, szeryfie, prosi o rozmowę.
- Tutaj? – Hal wstał. – Jak mnie tu znaleźli? Barbara wzruszyła ramionami.
- Zdaje się, że pański zastępca szukał pana po całym mieście. – Wskazała na telefon. –

Druga linia.

Hal przeszedł do stoliczka w kącie pokoju i nacisnął klawisz aparatu. Dixie usiadła i patrzyła, jak podnosi słuchawkę i mówi. Potem milczał przez chwilę, z twarzą nieruchomą, jak zawsze. Ulga zaczęła obejmować całe jej ciało.

A potem Hal powiedział:

– Trzymajcie ich pod kluczem, zanim nie wrócę. Sam się nimi nie zajmuj. Już ja zabiję ich obu.

Hal odłożył słuchawkę i spojrzał na Dixie. Twarz miał bez wyrazu, oczy wąskie jak szparki, usta zaciśnięte. Dwie czerwone plamy wykwitły na jego policzkach, koniuszki nozdrzy pobrały.

– Jedziemy! – powiedział. – Mam trochę pilnej roboty w domu.

– Właśnie usłyszeliśmy. – Dixie podeszła do niego bliżej. Tak chciałyby zajrzeć do jego serca! – Co się dzieje, Hal?

– Nie mówiłeś poważnie o zabijaniu, prawda? – zapytał adwokat.

Hal nie odpowiedział od razu. W końcu napięcie zelzało w nim na tyle, że objął Dixie ramieniem.

– To telefonował Ted. Wczoraj w nocy mama przyłapała Reeda Turnera i Oskara Haydena w mojej bibliotece. Trzymała ich do rana na muszce starej, ojcowskiej czterdziestki piątki, dopóki Ted nie przyszedł, żeby zobaczyć, czy wszystko z nią w porządku. – Zamknął oczy. – Gdyby wystrzeliła, broń eksplodowałaby jej prosto w twarz.

– O mój Boże!

– Artie zniknął. Wraz z Hastingsem i Georgem.

– Z Georgem? – zainteresowała się Dixie. – Chyba nie z...

– Z Prestonem. Artie podsłuchał, jak George mówił, że mnie załatwi. Zważał się z Haydenem i Hastingsem.

– Widziałam go. To on cię postrzelił. Artie nie wie o tym, prawda?

– Nie wiadomo. Nikt go nie widział od poprzedniej nocy, odkąd zabrał nas helikopter. Winnie mówi, że na krótko przed tym przyłapała Hastingsa w swoim namiocie. Ukradł jej dziennik. Wycelowała do niego z rewolweru, ale on uciekł wraz z notatkami zawierającymi jej uwagi związane z rekonstrukcją głowy Roberta i przypuszczenia na temat miejsca ukrycia złota.

Dixie poczuła jak napinają się i dygocą mięśnie jego ręki.

– Nikt nie wie, gdzie jest Artie. Przynajmniej nikt mi tego nie mówi – powiedział ponuro.

– Co ty zamierzasz? – zapytał M.J. – Obawiam się, że masz jakieś plany wobec tej dwójki, którą twoja matka aresztowała.

– Może mam. Nie twój interes.

– Hal, posłuchaj go! – błagała Dixie. – On jest prawnikiem. I to dobrym!

– Czy wróci mi mojego chłopca? Nietkniętego?

– Posłuchaj, Hal! – zawołał M. J. – Nie wiem, co sobie zaplanowałeś i chyba nie chcę wiedzieć, ale zrób nam tę łaskę i uspokój się.

– Jestem spokojny – oświadczył Hal. Ramię, którym obejmował Dixie, zaczęło gwałtownie drżeć.

I wtedy szeryf Blane zemdlał.

Nie odesłali go z powrotem do szpitala. Nawet M.J. który ledwie znał Hala, nie ośmielił

się tego zaproponować. Gdy tylko Dixie ocuciła go z omdlenia i gdy okazało się, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, prawnik zawiózł ich w góry do domu swego kuzyna. Rodzina Glassów przyjęła ich serdecznie i zapewniła wszystko, co mogło być potrzebne szeryfowi.

Zebrali się w salonie. Hal leżał na wielkiej sofie, reszta siedziała na krzesłach lub na podłodze. Pięcioro dzieci chciało zostać, ale matka wygoniła ich z domu i przykazała najstarszej dwójce, bliźniakom, żeby czuwali nad parą najmłodszych, też bliźniaków. Za piątym dzieckiem, blondynką, bez przerwy chodził siwy pudel o imieniu Fred.

Dorośli odczekali, aż tłum małych zniknie, potem adwokat wyjaśnił Mattowi i Allie Glassom niektóre z problemów, z jakimi boryka się Hal.

– Ta jedwabna koszula, którą masz na sobie – powiedział Matt do Hala – należała do przyjaciela, który przez większą część swego dorosłego życia zarabiał jako najemnik. Myślę, że mógłbym ci pomóc. Ja też pracowałem jako swego rodzaju najemnik. Gdy byłem młodszy, wykonaliśmy razem parę robót. Takie tam operacje pościgowo-ratunkowe.

– Żartujesz! – Dixie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Matt Glass był przystojnym, szczupłym mężczyzną, o blond włosach i ładnych rysach twarzy. Wyglądał bardziej na profesora niż na wojownika. O ile Dixie wiedziała, to jego żona Allie była wojowniczką w tej rodzinie. Allie Glass piastowała funkcje senatora stanowego i przymierzała się do walki w następnym roku wyborczym o urząd gubernatora.

– On nie żartuje – powiedziała Allie. – Przed naszym ślubem pewien mój wróg mnie porwał i niemal zabił. Matt i jego ludzie uratowali mnie. – Poglądziła ramię adwokata. – Oczywiście, M. J. też był bohaterem. Gdyby nie on, zostałabym, mimo wysiłków Marta, zastrzelona.

Prawniki zarumienili się i uśmiechnęli. Najwyraźniej dobrze się czuli w roli bohaterów.

– Ale co wspólnego ma to wszystko z moim kłopotem?

– zapytał Hal. – Ja muszę się dostać do Seaside i znaleźć chłopaka, i nie obchodzi mnie, kogo w tym celu będę musiał rozerwać na strzępy.

– Wszyscy to rozumiemy – powiedział Matt. – Z wyjątkiem ciebie. Nie wygląda na to, abyś myślał o przyszłości z Dixie czy z innymi bliskimi ci osobami. Posłuchaj, człowieku! Byłem gotów uciec w góry z moją siostrzenicą, gdy zaczęło być gorąco i prawo chciało mi ją odebrać. Ale dzięki Allie, M.J. i kilku innym porządnym ludziom nie straciłem głowy i odniosłem prawomocne zwycięstwo.

Hal zmarszczył się.

– Do diabła! Jesteś przecież szeryfem – powiedział Matt.

– Ty musisz przestrzegać prawa.

– To by dopiero uwieńczyło legendę o Kedrickach, gdybyś o cal przekroczył w tej sprawie prawo – powiedziała Dixie. – Ale musimy znaleźć Artiego. Z tym się zgadzam.

Hal opadł na poduszki sofy.

– A więc byłeś najemnikiem? – spytał Marta.

– Bardziej poszukiwaczem przygód. Nie szedłem do walki, jeśli mogłem jej uniknąć. Moją specjalnością było odnajdywanie ludzi, ofiar porwania. Zaginionych poszukiwaczy. Coś w tym rodzaju.

– Hm! – mruknął Hal. Oparł głowę na ramieniu Dixie. – Co o tym sądzisz, kochanie?
Dixie była chyba zbyt zaskoczona, aby odpowiedzieć, ale w końcu zdołała wykrztusić:
– Słuchaj go, Hal! Ty znasz teren. Z pewnością przeprowadzałeś standardowe operacje poszukiwania i ratowania. Myślę jednak, że M.J. przedstawił nas Mattowi z jakiegoś powodu.
– Spojrzała na przyjaciela. – Mam rację, M.J. ?
M.J. uśmiechnął się tylko.

Wszystko to zajęło trochę więcej czasu, niż Hal się spodziewał, ale po paru godzinach mieli już plan bitwy gotowy. Podczas gdy adwokat i Matt telefonicznie uruchamiali pierwsze działania, Dixie przygotowała mu wywar z leśnych ziół, a Allie Glass poczęstowała go wysokobiałkowym koktajlem mlecznym.

Głowa go ciągle bolała, ale czuł się znacznie lepiej.

Potrzebna mu była jeszcze chwila rozmowy sam na sam z Dixie, ale już czuł się lepiej.

Powiedziała, że go kocha i nie odrzuciła perspektywy wspólnej przyszłości, kiedy wspomniał o tym w obecności jej przyjaciela, adwokata.

O tak, czuł się już naprawdę dużo lepiej.

Lecz gdy samolotem Marta Glassa lecieli na północny wschód, ogarnął go prawdziwy strach. Gdzie jest Artie? Co się z nim dzieje? I czy mama czuje się dobrze po szoku i napięciu nocy, którą spędziła trzymając na muszce dwóch zdesperowanych mężczyzn?

Jaka będzie przyszłość jego rodziny? Czy to, co prawnik powiedział o Robercie Kedricku jako tajnym agencie ministerstwa skarbu, może mieć jakieś znaczenie?

I czy wierzyć w ten sen w szpitalu, kiedy Robert przyszedł i pokazał mu wprost, co stało się ze złotem?

Artie... Musi żyć i być bezpieczny! Hal zacisnął pięści i zaczął dygotać.

– Dobrze się czujesz? – przez warkot motoru usłyszał głos Dixie. Kiwnął głową i ujął ją za rękę.

Poczuł się teraz lepiej.

– Dixie! – powiedział. – Ja... Ja chciałbym... Nie mogę ci obiecać...

Uciszyła go pocałunkiem tak czułym, jak miłość w jej oczach.

– Później! – powiedziała. – Mamy przed sobą całe życie do gadania. Później!

Nic więcej nie potrzebował.

Wylądowali na odcinku nie używanej polnej drogi. Matt prowadził samolocik z wprawą doświadczonego pilota. Zgodnie z planem Al Pringle czekał na nich z jeepem Hala i dwoma innymi pojazdami, przyprowadzonymi przez synów Ala. Szeryf wyjął z wozu trzy policyjne radia i dał je adwokatowi, Mattowi i Dixie. Podziękował Alowi i jego chłopakom, uściśnął wszystkim ręce. Pringlowie odjechali, a Hal przemówił do swoich sił.

– Skontaktuję się z wami, jak tylko coś z nich wydostanę.

– Zachowaj zimną krew – poradził adwokat. – Nie będziesz miał świadków, ale jeśli zrobisz coś wbrew prawu, może to odbić się rykoszetem.

– Wiem. – Hal spojrzał na Dixie. – Ufasz mi?

– Tak – powiedziała.

To mu wystarczyło. Wsiadł do jeepa i bez dalszych słów odjechał do miasta.

Dixie popatrzyła w ślad za nim. Potem poszła do swego wozu.

– Wiem, że Esther czeka na wiadomość – powiedziała do przyjaciół. – Znajdę ją i natychmiast dam wam znać.

Matt podniósł kciuk do góry. M. J. skinął głową. Dixie odjechała. M. J. spoglądał za nią.

– Czuję się tak, jakby przeszłość odżyła – rzekł do Matta. – Z tym, że moje uczucia nie są takie same, jak wtedy, gdy Allie znalazła się w niebezpieczeństwie. Jestem znacznie chłodniejszy.

Matt podał mu plecak.

– To normalne. Z tego, co wiemy, chłopak nie jest w niebezpieczeństwie. Nie mamy żadnych dowodów na to, że został uprowadzony.

M. J. zaczął rozpakowywać sprzęt.

– Tego musi się Hal dowiedzieć.

– Tak – mruknął Matt.

Nie rozmawiali na temat sposobów, za których pomocą szeryf miał zdobyć te informacje.

Hal podjechał pod więzienie i wysiadł z jeepa. Miał w sobie zimno góry lodowej. Rozstanie z Dixie pozbawiło go wszelkich uczuć. Poza nienawiścią.

Nienawidził tak, że mógłby zabić. Łatwo.

Wszedł do środka, skinął głową Tedowi i podszedł do swego biurka. Ted, przed kilkoma godzinami poinformowany o stanie rzeczy, nie odezwał się. Otworzył tylko wielkie drzwi do korytarza i cel.

– Hej tam! – rozległ się głos z celi w głębi. – To pan, panie zastępczo? – Głos należał do Oskara Haydena. Hal stłumił wzbierającą falę wściekłości. – Chcemy porozmawiać.

– Będziesz miał szansę, Hayden! – powiedział Ted Travers. – Jest już szeryf. Szeryf Hal Blane. I naprawdę ciekawi go to, co masz do powiedzenia.

Milczenie zapanowało w korytarzu. Potem pośpieszne, zdesperowane, przestraszone szepty.

Hal wyjął jakieś pudełko z szuflady biurka.

– Przynies krzesło – polecił Tedowi. Zastępca skinął głową.

Po kilku minutach Hal siedział wygodnie na krześle pod ścianą naprzeciw celi zajmowanej przez Reeda Turnera i Oskara Haydena. Ciągłe miał na sobie koszulę podarowaną przez Marta Glassa. Nie nosił żadnych insygniów swego urzędu. Był po prostu facetem w dzinsach, butach i pożyczonej koszuli.

Facetem, który szukał swego chłopca.

– Zobacz, Hayden! – powiedział, wyjmując coś z pudełka. – Przyjrzyj się temu. Sądzę, że wiesz, gdzie George i Hastings się ukrywają. A ja przypuszczam, że mój szczeniak jest z nimi, więc myślę sobie, że ty i Reed musicie mi to powiedzieć.

– Ja nic nie wiem – powiedział Reed Turner. – Ja tylko pokazałem temu człowiekowi, gdzie w pańskim domu znajduje się biblioteka.

– I wystraszyłeś moją mamę tak, że straciła chyba z dziesięć lat życia. – Hal popiawił coś

w przedmiocie, który trzymał w ręku.

– Daj spokój, Blane! Stara pani wcale się nas nie wystraszyła. Miała największy karabin, jaki w życiu widziałem... Cholera, to draństwo też jest duże. Co masz zamiar zrobić z tym pistoletem?

– Zastrzelić was – odparł Hal.

Więźniowie zaczęli wrzaskiem przywoływać Teda Traversa.

– Nie ma go w biurze – wyjaśnił im szeryf. Przekręcił bębenek rewolweru, sprawdzając kule. – Wolę nie mieć. świadków.

Podnieśli jeszcze większy krzyk.

– Dobrze, Blane! – przemówił w końcu Hayden. – Co chcesz wiedzieć?

Hal popatrzył wzdłuż długiej lufy.

– Gdzie jest George?

– Ja nie wiem!

– Tego rewolweru nie da się zidentyfikować, Hayden! – Hal odwiódł bezpiecznik. – Wiesz, że należał do mojego pradziadka, starego Roberta Kedricka? No, wiesz! Tego, którego znalazłeś.

– Ja go nie znalazłem. Hastings Clark go wykopał.

– Ano! – Hal popatrzył wzdłuż lufy, powiódł nią w górę i w dół. – Ale zaraz się tam pojawiłeś. Clark jest twoim studentem. Przyleciał i powiedział ci o złotej monecie, prawda?

– Janie nie wiem...

Huk wystrzału zadudnił echem armatnim w więziennych murach. Ogromny kawał tynku odpadł od ściany celi. Dwaj mężczyźni krzyknęli i zaraz ucichli.

Hal zdmuchnął dym z wylotu lufy i wycelował ją ponownie.

– Powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć. W przeciwnym razie następny strzał pośle cię tam, gdzie będziesz mógł przedyskutować sytuację z Robertem Kedrickiem. Osobiście.

Oskar zaczął bełkotać.

Dixie przeszła przez polanę do chaty Esther. Tylko jeden konik był w zagrodzie. Powitał ją rżeniem. Nie spodziewała się zastać staruszki w domu, ale stąd właśnie musiała zacząć poszukiwania. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Jak sądziła, izba była pusta.

Podeszła do skrzyni i wyjęła owinięty w skórę dziennik. Drżącymi rękami rozłożyła księgę na stole i zaczęła czytać.

Po godzinie znalazła to, czego szukała. Zawinęła dziennik, odłożyła go na miejsce i wyszła po konika. Wielki czarny kruk czekał na słupie ogrodzenia. Patrzył na nią złotymi oczami, gdy przygotowywała zwierzę do podróży. Dixie starała się nie zwracać na niego uwagi.

Jazda przez las za dnia trwała krócej niż nocą, po burzy. Koń już jej ufał. Tworzyli zgraną parę. Dotarli do końca szlaku w niecałą godzinę.

Dixie nastawiła radio, które dostała od Hala, i nadała zakodowaną wiadomość, że dotarła do celu, lecz nie znalazła nikogo z poszukiwanych.

Zsiadła z konia i podeszła nad skraj urwiska.

Przed jej oczami rozciągała się, jak trójwymiarowa mapa, kraina Hala Blane'a. Dokładnie pod nią znajdowała się półka skalna, do której prowadziła ścieżka. To tutaj wraz z synem kopał, szukając złota. I tutaj został trafiony. Nieco niżej widniał występ skalny, na który upadł. Jeszcze niżej leżało obozowisko na płaskowyżu. Na lewo od niego ostatnia część urwiska opadała do doliny i potoku. Dixie tylko raz rzuciła okiem na ten teren. Mimo iż coś zachęcało ją do dłuższej obserwacji. Nie uległa pokusie. Zjawiała się tu, aby odnaleźć Hastingsa, George'a i Artiego. Nie po to, aby grzebać w przeszłości, jej niebezpieczeństwach i bogactwach.

To zadanie zostało zastrzeżone dla Hala.

Cofnęła się od krawędzi i weszła między skały, gdzie dwa dni temu czyhał Preston. Przykucnęła i spróbowała zająć pozycję taką, jak on. I wtedy u swych stóp zobaczyła błyszczącą łuskę. Podniosła ją, przestrzegając zasad zbierania dowodów rzeczowych. Zanim wyruszyli w teren, M. J. bardzo podkreślał konieczność starannego zabezpieczenia śladów.

Zbadała grunt wokół skały. Nikt tu nie chodził od burzy i odciski butów przestępcy były wyraźnie widoczne.

Ruszyła między skałami w las, który dotykał urwiska. Tamten człowiek biegł ścieżką, którą przez lata wydeptały zwierzęta. Pomyślała, że wiedzie do miejsca, gdzie mogły znaleźć wodę.

Miała rację. Gdy wyszła pomiędzy drzew na łąkę, zobaczyła wąły strumyczek. Popołudniowe słońce błyszczało w wąskiej strudze wody. Wysoka trawa nabrała złotego koloru od przymrozków, które zaatakowały już na tej wysokości. Dixie wspinała się tropem przestępcy nad strumykiem. Na drugim skraju łąki ziemia gwałtownie wznosiła się ku górze. Na stoku zauważyła cień zagłębienia. A może jaskini.

Niskie drzewa i gęste krzaki otaczały i niemal zasłaniały ten teren. Zwolniła i posuwała się ostrożnie. Jeśli słusznie się domyślała, była to kryjówka zwierząt. No i była.

Zanim zrobiła następny krok czyjaś ręka złapała ją od tyłu. Zimny, okrągły ryjek lufy wcisnął się w jej szyję. – Dzień dobry, doktor Sheldon! – powitał ją Hastings Clark.

– Naprawdę żałuję, że zdecydowała się pani złożyć nam wizytę domową. Niezwykle to uprzejme z pani strony, obawiam się jednak, że na wizycie tej może zakończyć się pani kariera medyczna.

Hal spotkał się z prawnikiem i Mattem w obozie paleontologów. Szczegółowo poinformował Winnie Nash o sytuacji i przekonał, że nie może tu mieszkać, póki Hastings i George są na wolności. Wiele namiotów zniknęło. Płaskowyż stawał się czysty i pusty.

Tak pewnie, jak sto lat temu, pomyślał Hal.

– Nie mamy żadnej wiadomości od Dixie – niepokoił się.

– Ale jeśli znalazła Esther, to prawdopodobnie nie jest w stanie odebrać naszego sygnału. Powinna się odezwać – spojrzał na zegarek – za godzinę.

– Jak uzgodniłszy. O piątej – powiedział Matt. – Ona rozumie, jak ważna jest skoordynowana łączność w takiej operacji. Odezwie się punktualnie.

M. J. zmienił temat.

– Profesor Hayden powiedział ci, że wraz z Clarkiem zaprowadził George’a do jaskini na skraju lasu na tej górze?

Hal skinął głową.

– Tylko z ciekawości... Jak...

– Zostaw swoją ciekawość w spokoju! – poradził mu Hal. – Powiedzieli mi to, czego chciałem się dowiedzieć. Nic im nie zrobiłem. To wszystko.

– Jaka jest najlepsza droga do jaskini? – spytał Matt.

– Najlepsza wiedzie z dna kanionu, gdzie biegnie strumień – pokazał im ręką. – Stamtąd stara ścieżka wije się stokiem góry do granicy lasu. Ale stąd...

– Blane! – Krzyk spadł na nich z nieba, jak drapieżny ptak. – Szeryfie Blane! Popatrz w górę!

Hal podniósł głowę i przysłonił dłonią oczy przed popołudniowym słońcem.

– O sukinsyn! – wyszeptał. – Ma Dixie!

M. J. odwrócił się i spojrział w górę. Dixie Sheldon stała na samym skraju drugiego występu skalnego na zboczu góry. Obok niej stał wysoki mężczyzna o długich włosach ściągniętych do tyłu w koński ogon. Lufa jego strzelby wciskała się w szyję lekarki.

– O Boże! – westchnął M. J.

– Zaczynamy negocjacje – powiedział Matt i wyciągnął obie ręce przed siebie, pokazując, że nie ma broni. – Pozwólcie mi spróbować. Kiedyś byłem w tym dobry. Czego żądasz? – krzyknął. – Nie chcemy nikomu nic zrobić. Chcemy tylko, żeby doktor Sheldon i chłopiec wrócili cali i zdrowi.

– Trochę na to za późno – zawołał Hastings. – Powiedz im, doktorko!

– Hal! – Głos Dixie był, jak na te okoliczności, bardzo opanowany. – On jest ranny, ale nic mu nie będzie.

– Artie? – Tak! On... Hastings dźgnął ją lufą.

– Dosyć gadania! – wrzasnął. Złość i strach zmieniły mu głos. – Słuchaj mnie, Blane! Słuchaj uważnie, bo nie mam zamiaru powtarzać swoich poleceń.

– Puść ją! – powiedział Hal. Jego głos pobiegł daleko, choć mówił normalnie. – Żadnych poleceń. Żadnych negocjacji. Po prostu puść ją!

– Zamknij się, Blane! – szepnął Matt. – Nie chcesz chyba wystraszyć go jeszcze bardziej.

– Nie mam ochoty go straszyć. Mam zamiar go zabić.

– Hal poruszył się. Jego dłoń znalazła się o kilka cali od karabinu.

Hastings krzyknął ostrzegawczo.

Dixie kopnęła do tyłu próbując się uwolnić.

Strzała wyfrunęła nie wiadomo skąd i zatoneła w ciele Hastingsa Clarka. Krzyknął zdławionym głosem, wypuścił strzelbę i runął w przepaść, objijając się o występy skały.

Hal pociągnął za sobą towarzyszy. Pobiegli w górę zbocza. Gdy ciało Hastingsa uderzyło w dno doliny, Dixie wydała rozpaczliwy okrzyk i zniknęła im z oczu. Hal nie zawahał się, nie poświęcił jednej myśli martwemu paleontologowi, ani zwichniętej ręce, obolałej głowie, ogólnemu osłabieniu, niczemu! Po prostu złapał karabin i pobiegł pod górę. Wspinał się, jak w transie. Jego towarzysze nie mieli wyboru, musieli iść za nim. Spoceni, bez tchu dotarli na

szczyt.

Nie zobaczyli nikogo.

M. J. zaklął. Mart opuścił głowę i ciężko oddychał. Szeryf pochylił się i badał grunt.

– Jaskinia jest w tamtym kierunku. A ona poszła tędy – powiedział i wskazał ręką. –

Naprzód!

Hal prowadził, oni szli za nim.

Dotarli wkrótce do łąki. Słońce schowało się już za górami, ale było jeszcze jasno. Hal kazał przyjaciołom rozdzielić się i pójść skrajem lasu. Sam ruszył ścieżką przy strumyku. Szli z bronią gotową do strzału...

Poruszali się zgodnie, jakby pracowali razem całymi latami. Hal dotarł do otworu bez przeszkód i położył się przy skalnej ścianie. Nasłuchiwał.

Usłyszał jęk. Ktoś cierpiał. Dixie?

Artie? Kazał towarzyszom podejść bliżej i kryć wejście.

Wszedł do środka. Cicho podkładał się do kogoś, kto znajdował się na końcu tego tunelu ciemności. Żaden więcej jęk nie prowadził i nie popędzał go. Było cicho jak w grobie.

Zobaczył przed sobą błysk światła, usłyszał pomruk głosów, jeszcze jedno ciche westchnienie bólu.

Schylił się, sprawdził broń i runął do przodu. Jednym skokiem znalazł się w świetle, gotowy do strzału.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była wystraszona i zła twarz Dixie. Potem dostrzegł syna. Artie leżał na starym, brudnym kocu. Miał zamknięte oczy, pokrwawioną twarz i odzież.

A potem ujrzał George'a.

George Preston trzymał strzelbę wymierzoną w ukochanych Hala.

Szeryf warknął z wściekłości i podniósł karabin...

Robert Kedrick zawołał: – Nie! – Hal puścił spust.

George upadł na twarz.

– Hal! – krzyknęła Dixie. – Och, Hal! – Rzuciła się w jego ramiona. – Musiałam tu wrócić, gdy Hastings został trafiony. Wiedziałam, że Artie został sam z Georgem i że jeśli się nie pojawię, to może dojść do tragedii. Byłam pewna, że nas znajdziesz. Artie czuje się dobrze. Zasnął po lekarstwie, jakie mu dałam. Krew jest George'a. On...

– Cześć, tato! – zachrypiał Artie. – Zdażyłeś w samą porę.

– Synku! – Hal rzucił się ku chłopcu, nie puszczając dziewczyny. – Artie, czy wszystko...

– Dostałem po zębach, tato! – Artie usiadł ostrożnie i skrzywił się z bólu. Pokazał na George'a. – Ale on też oberwał. Próbował nas trzymać na muszce, gdy Dixie wróciła, ale nie mógł wytrzymać, bo Dixie dała mu jakiegoś soku od panny Esther, i to go zmogło.

Hal puścił Dixie i objął syna.

– Bałem się, że cię stracę – powiedział i przytulił chłopca do piersi. Potem pozwolił mu się położyć. – Przepraszam cię, Artie!

– Za co, tato? – uśmiechnął się chłopak. – Miałem fajną przygodę i przylałem facetowi, który cię postrzelił.

– George'owi?

Dixie skinęła głową. Podczas gdy ojciec i syn obejmowali się, ona badała leżącego mężczyznę. Jak podejrzewała, zemdłał po wypiciu mikstury, którą mu wcześniej przyrządziła. Zaufał jej, pamiętając jak delikatnie opatrzyła go w więzieniu, co ułatwiło jej wzbogacenie herbaty mocnymi, usypiającymi lekami ziołowymi.

Wiedziała, że ledwo uniknął śmierci. Miała jeszcze przed oczami twarz Hala, gdy znalazł się w świetle i podniósł broń.

Był gotów zabić. Chciał zabić.

Odwróciła się od George'a. Ciekawiło ją, co powstrzymało Hala, lecz właśnie pojawili się Matt i prawnik. Odłożyła pytania na kiedy indziej.

Nieco później stali na łące i patrzyli na jeszcze jeden odlot helikoptera pogotowia lotniczego z Casper. Na jego pokładzie znajdowali się Artie i George. Dixie opowiadała, jak doszło do tego, że została więźniem Hastingsa.

– Złapał Artiego dwa dni temu. W jaskini zgromadzili trochę zapasów. Hastings i George postanowili trzymać go jako zakładnika na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Ja próbowałam odszukać Esther – wyjaśniała. – Przyjechałam tym samym szlakiem, co dwie noce temu. Nie mogłam jej znaleźć. Wtedy poszłam tropem człowieka, który do ciebie strzelił.

Lewe ramię Hala było znowu w szynie. Prawym obejmował Dixie. Był obolały od stóp do czubka głowy, ale czuł się znakomicie.

– Poszłam po jego śladach – ciągnęła Dixie. – Hastings czyhał na mnie przed jaskinią. Gdy zaprowadził mnie do środka, zobaczyłam Artiego i George'a. Spotkali się kilka godzin po strzale. Artie tropił go, tak jak ja, i kiedy znalazł, wpadł w furję. Gdyby Hastings ich nie rozdzielił, zatłukliby się na śmierć.

– Kto zastrzelił Hastingsa? – zapytał adwokat. – Widzieliśmy strzałę, ale nie łucznika.

– Esther! – W głosie Dixie zabrzmiała nuta szacunku. – Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

– Znajdziemy ją – rzekł Matt. – Możesz mi ją opisać?

– To cudowna, staroświecka dama, która... – Dixie straciła głos z emocji. – Uratowała mi życie. Hastings nie bluffował.

– A więc musimy ją znaleźć. Jakikolwiek były jej motywy, zabiła faceta.

– Wszyscy będziemy szukać – stwierdził Hal. Spojrzał na Dixie. – Prawda?

– Prawda! – powiedziała. Jej oczy wypełniły się łzami. – Już myślałam, że koniec z nami wszystkimi.

– Ja też. – Pocałował ją. – Chodźmy szukać Esther. Schodzili powoli stokiem, aż znaleźli się w obozie na płaskowyżu. Hal wyjaśnił, że najlepsze zejście do strumienia wiedzie obok grobu Kedricka.

Tam właśnie znaleźli Esther.

Siedziała przy urwisku. Jej ciało kryło się w cieniu. Otulała się starym pledem, który wzięła tamtej nocy. Obok leżał łuk ze strzałami. Kobieta nie poruszyła się, nie odezwała. Jej ciemne oczy patrzyły nieruchomo przed siebie.

– Esther! – powiedziała cicho Dixie i wzięła w dłoń jej pomarszczoną rękę. – Esther,

czy mnie słyszysz? – Spojrzała na towarzyszy. – Żyje. Ale ledwo, ledwo.

– Przywołam helikopter – powiedział Matt i zaczął nastawiać radio.

– Nie! – rzekła Esther. – To jest miejsce mojej śmierci.

– Powieki jej drgnęły, wzrok stał się czysty. – Haroldzie Kedricku Blane! Podejdź tutaj! – rozkazała głosem silnym jak zawsze.

Hal uklęknął przed staruszką. Wręczyła mu dużą brezentową torbę.

– To twoje – powiedziała. – Byłam tylko strażniczką na ten czas, dopóki nie dojrzałeś. To od twojego pradziadka. Korzystaj z tego tak, jak on ci kazał.

– Złoto? – Hal wziął torbę.

– Tak. Mój ojciec zakopał je, gdy pochował twego pradziadka. Wiedziałam, gdzie jest, ale dopóki deszcze nie wymyły urwiska, nie mogłam... – Jej głos przycichł. – Nie mogłam się tam dostać. Ono należy do ciebie. – Zakrztusiła się. Spazm wstrząsnął jej kruchym ciałem.

– Esther! Pozwól mi... – zaczęła Dixie. Przetrzęsnęła torbę z lekami, którą ciągle miała ze sobą. – Ja mogę...

– Jeśli możesz, to daj mi wnuki! – przerwała Esther.

– Dałam złoto twemu mężczyźnie. Tobie uratowałam życie, zabijając tego, który zabiłby ciebie. Dałam ci moją wiedzę. Teraz daję ci mojego ducha. Ujrysz mnie w oczach swoich dzieci, i w oczach ich dzieci...

Esther odetchnęła głęboko i odeszła.

Załatwienie wszystkiego wymagało sporo czasu. Czasu i inteligencji. Miłości i troski. A nawet przebiegłości.

Przede wszystkim przebiegłości!

Śmierć Esther, wraz z zeznaniami Marta i prawnika, zamknęła sprawę zabójstwa Hastingsa Clarka. Oboje, przestępca i jego kat, odeszli z tego świata. Dixie żyła. Żyła dzięki znachorce. Cierpienie lekarki po stracie starej przyjaciółki łagodziła wdzięczność za uratowanie życia i za dary, jakie zostawiła w spadku.

Złoto nie było spośród nich najważniejsze. Gdy tylko ucichły echa przemocy i strachu Dixie wróciła do swych badań. Natychmiast przefaksowała do kalifornijskiego instytutu opis okładu, jaki zastosowała na ranę Hala, herbaty, którą leczyła ból i skaleczenia Artiego oraz narkotyku, którym poczęstowała George'a.

Instytut popadł w ekstazę i żądał więcej, i to natychmiast! Dixie jak mogła, tak spychała te żądania na dalszy plan. Miała zbyt wiele spraw na głowie, by zaprzętać ją sprawami nauki.

Złoto stanowiło większy problem, ale M. J. odwołał się do swej niewyczerpanej inteligencji i talentu, i opracował plan, odporny na zakusy nawet najbardziej złośliwego agenta podatkowego.

Ustanowił on dysponujący złotem fundusz powierniczy na rzecz powiatu SeaLake z Halem jako jego głównym wykonawcą i dyrektorem. Dochody uzyskane z zainwestowania pieniędzy, jakie wpłyną ze sprzedaży złota rządowi, zostaną wykorzystane dla dobra obywateli Seaside i powiatu SeaLake, nie zaś przez samą rodzinę Blane'ów. Mart, Allie i M. J. zadbali o nadanie sprawie takiego rozgłosu, że żaden polityk ani urzędnik skarbowy nie był w stanie zakwestionować przeznaczenia skarbu.

Pradziadek Hala odzyskał dobre imię. M. J. podał do publicznej wiadomości wszystkie informacje uzyskane z Waszyngtonu. Reed Turner w końcu przyznał, że przez trzy pokolenia jego rodzina knuła spisek mający na celu zagarnięcie złota i napiętnowanie Roberta jako rabusia i przestępcę. Ministerstwo skarbu nie zostało bezpośrednio obwinione, ale odpowiedzialnością obciążono biurokrację, która sto lat temu nie przeprowadziła porządnego śledztwa.

Historia, jak oświadczył ojciec Dixie, będzie teraz musiała zostać napisana na nowo. Przynajmniej historia powiatu SeaLake. Po odkryciu i udokumentowaniu wszystkich szczegółów, rzekł profesor Raymond Shelton, powiat zyskał w osobie Roberta Kedricka prawdziwego bohatera Dzikiego Zachodu.

Istotna zmiana!

Artie Blane szybko wrócił do zdrowia, wykazując żywotność właściwą piętnastolatkom. Dość mocno uszkodził George'a i promieniał dumą, że częściowo pomścił cierpienia ojca.

Hattie świetnie uporała się ze stresem, który przeżyła. Prawdę mówiąc, Dixie uważała, że obrona domu i pojmanie dwóch przestępców dało jej więcej niż całe godziny terapii. Odmłodziła o wiele lat, z ufnością patrzyła w przyszłość. Zniknęły ataki bólu w piersiach,

strachu i słabości.

Reed Turner i Oskar Hayden zostali oskarżeni o udział w przestępstwie. Jak zapewniał M. J. nawet najlepszy adwokat nie uchroni ich przed latami więzienia.

Groźba likwidacji przychodni została zażegnana. Za pieniądze funduszu Hal nie tylko wykupił od stanu miejsce i wyposażenie – po obniżonych cenach wynegocjowanych przez Allie i Marta – ale rozpoczął zakupy nowej aparatury.

Nie rozstrzygnięte pozostawało pytanie, czy Frań Coble będzie musiała samodzielnie prowadzić klinikę, czy też znajdzie się lekarz gotów zastąpić Dixie, która jeszcze nie podjęła decyzji.

Kalifornijski Instytut Medycyny Ogólnej, dowiedziawszy się o wydarzeniach, powtórzył swoją ofertę. Nie tylko przyszły pracodawca, ale i koledzy z akademii medycznej i stażu szpitalnego namawiali Dixie do opuszczenia Seaside. Wszyscy uważali, że byłaby szalona, gdyby zrezygnowała z tak pięknie zapowiadającej się kariery. Wszyscy ci, którym ufała, na których jej zależało, a przede wszystkim rodzice, przemawiali jej do rozsądku.

– Wiem, że przeżyliście wspaniałą przygodę – tłumaczyła matka – ale przecież to nie jest fundament, na którym można budować całe życie.

– On nigdy się nie wzniesie ponad poziom, który już osiągnął – ostrzegał ojciec. – Odkrycie złota i prawdy o pradziadku zapewniło mu jego minutę sławy. Może być dobrym człowiekiem, ale ta minuta już się nie powtórzy. Zapamiętaj moje słowa!

– Masz dług wobec społeczeństwa – przypomniała jej Filomena. – Masz świetny umysł, jesteś pracowita i po prostu marnowałabyś się w tej głuszy. Powiedz, kto potraktuje poważnie jakiegokolwiek odkrycie z dziedziny medycyny ludowej dokonane przez lekarza, który mieszka kilkaset mil od najbliższego prawdziwego szpitala? Musisz znaleźć się we właściwym miejscu, moja droga, aby przyciągnąć uwagę właściwych ludzi. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

– A ponadto on będzie chciał mieć dzieci – ponuro snuła matka.

– Nie muszę ci tłumaczyć, co dzieci robią z karierą naukową kobiety. Choćby nawet obiecywał, że będzie dzielić z tobą obowiązki, ty mu nie wierz! Żaden mężczyzna jeszcze nie dotrzymał słowa w tym względzie.

– Nie mogę podpisać się pod tą teorią – zaproponował Ray – ponieważ mam swój poważny udział w pielęgnowaniu ciebie. Ale musisz spojrzeć rzeczywistości w twarz. Bądźmy szczerzy: co ty i ten człowiek macie wspólnego? Nic!

Dixie niepokoiła się tym, że zaczyna przyjmować ich argumenty. Przeżyła z Halem coś niezwykłego, cudownego. Kochali się, w to nie wątpiła. Podczas krótkich chwil, jakie znajdowali dla siebie, darzyli się czułością i namiętnością sięgającą szczytów, o jakich dotychczas nawet nie marzyli.

Nie mieli jednak czasu na omówienie przyszłości. Zastanawiała się nad nią sama, on bowiem spędzał całe dni zamknięty w bibliotece, skoncentrowany na pracy. Nie mogła wyciągnąć go stamtąd i tylko Artiemu wolno było tam wchodzić. Rozgłos otaczający niedawne wydarzenia skupiał się wokół Hala, ona zaś unikała zwracania uwagi opinii publicznej. Miała dość czasu, aby myśleć, wątpić, marzyć, mieć nadzieję i zastanawiać się.

Jaki uczynić następny krok? Nie wiedziała. Nie mogła podjąć decyzji. Jeszcze nie teraz.

Oficjalne uroczystości pogrzebowe Roberta Kedricka odbyły się kilka tygodni później. Nie wszystkie grunty starego rancha zostały zwrócone przez rząd na mocy porozumienia, które wynegocjował M. J. Było jednak ich dość, by sprawić Hattie radość i satysfakcję, i umożliwić Halowi realizację planów na przyszłość. Przewidywały one między innymi wydzielenie na płaskowyżu rodzinnego cmentarza, na którym Robert Kedrick miał zająć pierwsze, honorowe miejsce.

Esther spoczęła w grobie niedaleko swej chaty. Dixie zamierzała zachować tu wszystko w niezmienionym stanie, jak za życia staruszki. Chciała, aby miejsce stało się żywym pomnikiem poświęconym życiu i mądrości jej nauczycielki. Dwa koniki przeniosła na pastwisko Dumontów, których dziecko odebrała w noc, kiedy zszywała George'a Prestona.

Był to pierwszy prawdziwy pogrzeb Roberta, choć przecież chowano go już po raz trzeci.

Zjawili się na nim ludzie z różnych sfer społecznych, z Wyomingu i spoza granic stanu. Przybyła większa część ludności Seaside i powiatu. Ze Wschodniego Wybrzeża przyleciała Winnie Nash z kilkoma współpracownikami. Ministerstwo skarbu oddelegowało swego przedstawiciela, aby pozytywnym akcentem zakończyć rolę, jaką w tej sprawie odgrywało. Allie Glass wysłała zaproszenia do wszystkich oficjeli stanowych i większość z nich przybyła do miasteczka. Poczucie winy i ciekawość, zadumała się Dixie.

Był jasny, październikowy dzień babiego lata z lekkim zapachem zimy niesionym przez wiatr z gór. Ta sama pora roku, w której zamordowano Roberta Kedricka.

Dixie znalazła się u boku szeryfa, gdy duchowny z jedyne kościoła w Seaside czytał Pismo Święte i wygłaszał krótkie kazanie. Hal stał nieporuszony jak skała. Nie drgnął w nim jeden mięsień, nie poruszył się jeden włos, nie zadygotał żaden nerw. Zamiast zwykłego uniformu szeryfa czy dżinsów miał na sobie dostojny garnitur, lecz i tak wyglądał jak bliźniaczy brat Gary Coopera. Wielki, samotny, posepny.

Dziewczynę ogarnęła nagle panika. Jak mogła myśleć o spędzeniu reszty życia z człowiekiem tak zamkniętym w sobie?! Z mężczyzną, którego uczucia ujawniały się tylko wtedy, gdy stawał się niebezpiecznie wściekły, lub kiedy oddawali się namiętnej miłości?

Wtedy zdarzyło się coś, czego nie oczekiwała.

Hal wygłosił mowę pogrzebową ku czci swego pradiada.

– Nie znałem Roberta Kedricka – powiedział do wielkiego tłumu. – Może komuś wydać się śmieszne, że mówię o człowieku, który zmarł sto lat temu, ale muszę wyznać, iż myślałem, że go znam. I to cholernie dobrze.

Październikowe słońce dawało się we znaki. Hal otarł pot z twarzy. Tłum trwał w absolutnym milczeniu, świadom dramatu, jaki rozgrywał się przed jego oczami.

– Znałem go – ciągnął Hal – od chwili, gdy nauczyłem się rozumieć pierwsze słowa. Mówiono mi, że był bandytą i tchórzem, a co najgorsze, człowiekiem, który opuścił rodzinę i spowodował jej ruinę. – Przerwał i zapatrzył się na trumnę, wiszącą na linach nad grobem.

– Myliłem się – powiedział. – Wszyscy się myliliśmy – Otarł znów twarz, a po chwili zdjął marynarkę.

– Powiem wam, co naprawdę się zdarzyło. Wiem to teraz. Szept zdziwienia przebiegł

przez tłum. Po chwili wszyscy zamarli słuchając.

Dixie poczuła zawrót głowy.

– Robert Kedrick był tajnym agentem ministerstwa skarbu – powiedział tak, jakby rozpoczynał gawędę u ogniska.

– Wszyscy o tym wiecie. Nie wiecie jednak, że podjął się tego zadania, ponieważ ta sama banda zamordowała jego przyjaciela. Robert uznał, że najlepszą zemstą będzie zaarrestowanie jej członków, postawienie przed sądem i wykonanie wyroku. – Znów przerwał. – Chciał zemsty, ale szukał jej na drodze prawa. – Hal podszedł do trumny i oparł dłoń na wieku.

– Nigdy nie złamał prawa. Kiedy stanął przed ostatecznym wyborem, nie zabił, gdy jego zabijano. – Głos mu się załamał. Przestał mówić.

Dixie z całego serca chciała podejść do niego, ale wiedziała, że chciał stać tam samotnie. Całe jego życie, cała jego przeszłość, starsza nawet niż on sam, skumulowała się w tej chwili.

Hal zakaszłał i zwrócił się ponownie do zgromadzonych.

– Doprowadził bandę do tego miejsca. Szczegóły rabunku są powszechnie znane. Nie wiecie tylko, że uzgodnił on z agentem ministerstwa skarbu, Rudolfem Turnerem, że tu odbędzie się spotkanie bandy z prawem. Turner jednak nie wywiązał się ze swego zobowiązania, lecz wszedł w porozumienie z innym członkiem grupy.

Hal przez dłuższą chwilę spoglądał na trumnę.

– Robert Kedrick został zdradzony.

Tłum zaszemrał, a potem znów zapanowała cisza.

– Zaufał Turnerowi jako swemu łącznikowi z ministerstwem, a kiedy dowiedział się o zdradzie, zamierzał ukryć złoto tak, żeby nikt nie mógł z niego skorzystać. Został jednak trafiony kulą ze strzelby i poważnie ranny.

– Tak jak ja. – Głęboko wciągnął powietrze.

– Spadł z urwiska, zrzucony kulą, tak jak ja. Ale nie stracił przytomności od upadku. Nie został uratowany. – Przez moment patrzył na Dixie. – Zdołał jednak ukryć złoto, prawdopodobnie w głębokiej szczelinie skalnej. A potem dopadli go bandyci i zabili strzałem w głowę, aby załatwić rzecz do końca. Pogrzebali go płytko i odeszli bez łupu. W tym momencie bardziej pragnęli znaleźć się gdziekolwiek indziej, niż znaleźć skarb.

Jeszcze raz otarł twarz.

– I wszyscy myśleli, że Robert Kedrick był złodziejem – powiedział.

Dixie nagle spostrzegła, że Hal płacze, sam o tym nie wiedząc. Opowiadał tę historię, a łzy płynęły mu po twarzy. Grzebał przeszłość. Grzebał krzywdę, jaką wyrządzono jego nazwisku. Grzebał zmarłego przodka.

– Wczesną wiosną odkryto ciało i złoto – ciągnął Hal.

– Znalazł je ojciec panny Esther. Człowiek ten pochował zwłoki z należytą czcią i ukrył złoto w bezpieczniejszym miejscu. Bał się, że jeśli ktoś się o tym dowie, on i jego rodzina również zginą. Zaprzysiągł więc swych bliskich, aby zachowali to wszystko w tajemnicy.

– Złoto miało być ostoją na przyszłość dla potomków Kedricka, którzy wykorzystają je w dobrych celach, nie dla zysku czy w imię zła. Panna Esther zachowała tę tajemnicę przez sto

lat. Dopiero teraz uznała, że nadszedł czas, aby mi je powierzyć. – Załamał się i gestem przywołał Artiego.

Artie Blane wyszedł przed tłum. Twarz miał różową z podniecenia, ale podjął wątek opowieści ojca.

– No więc, stara panna Esther wiedziała wszystko o złocie i o Kedricku. Ta cała historia została zapisana jakimś szyfrem w dzienniku jej ojca, ale ona przysięgła wraz z resztą rodziny, że nic nie powie, dopóki potomkowie Roberta nie będą bezpieczni. No i aż do czasów mojego taty myślała, że nikt nie da sobie rady z takim skarbem.

– Ona nawet szeryfa nie była pewna, dopóki któregoś wieczoru nie przyprowadził do niej doktor Sheldon. Polubiła Dixie od razu. A zaledwie kilka godzin później znaleziono mojego prapradziadka. Panna Esther uznała to za znak, że czas nadszedł.

Dixie nagle zrozumiała, że zdarzyło się to w chwili, w której Hal doznał dziwnego wstrząsu w drodze powrotnej od Esther. Spojrzała na niego. Próbował opanować swoje emocje. Pewnie i on się domyślił.

Hal doszedł do siebie. Stanął obok syna przed trumną Roberta.

– Kiedy Hastings Clark odkrył zwłoki – powiedział – obok nich znalazł też jedną złotą monetę. Na jej miejsce położył dziesięciocentówkę, uważając, że nikt nie będzie się przejmował starym szkieletem. Lecz gdy doktor Sheldon i profesor Winnie Nash na podstawie odlewu czaszki odtworzyły głowę Roberta, sprawy potoczyły się szybko. – Wyciągnął rękę do matki. Hattie wysunęła się z tłumu i ujęła ją.

– Moja matka rozpoznała tę twarz. A to otworzyło furtkę do dalszego śledztwa. Do poszukiwania złota.

– Hastings Clark podporządkował sobie George'a Prestona – powiedział Artie. – Wiedział z plotek, że George nienawidzi mojego taty i chętnie pomoże każdemu, kto by chciał tacie coś zrobić. I postanowili, że jeśli szeryf dotrze zbyt blisko do złota, wtedy George go zastrzeli.

– Co mu się niemal udało. – Hal znów spojrzał na Dixie. – Ale miałem więcej szczęścia niż Robert. Zostałem uratowany.

Dixie poczuła łzy spływające po jej twarzy. Chciała podejść do niego, ale nogi wrosły jej w ziemię.

– Reszta jest wam znana – powiedział Hal. – Ja tylko chciałem, żebyście poznali prawdę o Robercie Kedricku. Jesteście pierwszymi, którzy ją usłyszeli, ale już posłałem rękopis wybitnemu historykowi do zrecenzowania. Wszystkie moje informacje są udokumentowane i udowodnione. Po zaopiniowaniu rękopisu przekażę go wydawcy, który ma zamiar udostępnić go czytelnikom w całym kraju. – Przerwał i uśmiechnął się pierwszy raz. – Zainteresowała się nim również wytwórnia filmowa. Pamiętajcie, ile Południowa Dakota skorzystała z filmu *Tańczący z wilkami*? Teraz częściej produkuje się westerny tam, gdzie rzeczywiście coś się działo. Producent chce kręcić ten film tutaj, w naszym powiecie. Ale to już inna historia.

Tym razem tłum zaszumiał z podniecenia i zadowolenia. Dixie niemal płakała z radości. Wszystkie jego marzenia się spełniały!

Ceremonia wkrótce się zakończyła. W dramatyczny sposób troje Blane'ów pożegnało się

ze swym przodkiem i trumna znalazła się w ziemi, która znów do nich należała. Dixie nie ukrywała łez. Zauważyła, że prawie wszyscy mieli łzy w oczach. Podzieliwszy się z zebranymi swoim smutkiem Hal objął matkę i syna, żegnał się z ludźmi z dumą i godnością.

Dixie zrozumiała wówczas, że kocha go bardziej, niż kogokolwiek innego na świecie.

Ale nie miała okazji powiedzieć mu o tym. Tłum przeniósł się z płaskowyżu do baru Sala, zalał ulice miasteczka. Rozmowy, dyskusje, spotkania trwały do późnego popołudnia, a nawet po zachodzie słońca.

Dixie często znajdowała się blisko Hala, nigdy jednak nie była z nim sama.

A on powrócił do swojego skamieniałego wnętrza. Znów nie mogła wyczytać jednego drgnienia uczuć z jego twarzy czy z oczu. Zbyt wielu ludzi, zbyt wiele wrzawy, za dużo tego wszystkiego dla niej. Stypa nie miała końca.

Gdy zapadł wieczór Dixie wymknęła się z restauracji i poszła do domu. Sfrustrowana i niepewna siebie wiedziała tylko jedno: że musi porozmawiać z Halem, wyznać mu swoje uczucia. On był jej przeznaczeniem, bez względu na wszystkie jej plany. Istniały sposoby na uniknięcie doli uczonego z głębokiej prowincji. Znała takich, którym się to udało. Nie pójdzie to jak z płatka, ale jest możliwe.

Długo siedziała samotnie i rozmyślała. Potem podeszła do biurka, otworzyła maszynę do pisania i wystukała na niej list do Kalifornii, w którym dziękowała za propozycję i sugerowała, że lepiej przysłużyć się sprawie prowadząc badania w terenie.

Jeśli to im się nie spodoba, mogą powiedzieć, że nie są tym zainteresowani. Przestało to mieć większe znaczenie.

Marzenia się zmieniły.

Wyciągnęła swe rozliczenia finansowe i zastanawiała się, jak długo musi jeszcze pracować, aby spłacić zobowiązania wobec stanu i usamodzielnić się. Dwa lata i osiem miesięcy. Na ogół skracano staż o rok, jeśli lekarz zostawał na prowincji, teraz jednak, gdy stan przestał finansować przychodnię w Seaside, nie wiedziała, jak postąpią biurokraci.

Nie chciała jeszcze raz korzystać z wpływów Allie Glass. Załatwiła dzięki niej już tyle, że do końca życia nie spłaci zaciągniętego wobec niej długu wdzięczności.

Cztery miesiące. Tyle wystarczyło, żeby zmienić jej marzenia, jej życie.

Cztery miesiące i Hal Blane. To on zmienił ją i jej życie. Od chwili, kiedy pierwszy raz weszła do więzienia, wszystko potoczyło się w innym kierunku, choć na początku nie zdawała sobie z tego sprawy. Wsunęła dokumenty do teczek i odłożyła je na półkę.

Z zewnątrz dobiegł ją dziki krzyk. Dziki, ale znajomy i przyjazny.

Przez chwilę siedziała sparaliżowana. Potem wstała i pobięła do drzwi. Otworzyła je i usłyszała go znowu. Zapaliła zewnętrzną lampę. Na jedynym dużym drzewie w jej ogrodzie siedział wielki kruk. W sztucznym świetle lśniły czarne, gładkie pióra, błyszcząły jego jasne oczy. Zakrakał jeszcze raz, zatrzepotał skrzydłami i odleciał w kierunku domu Hala.

Schwyciła płaszcz i pobięła za ptakiem.

Szła pustymi ulicami. Październikowy księżyc oświetlał jej drogę. Czuła Esther u swego boku. I Roberta. Czuła przeszłość i teraźniejszość stapiające się w jedno...

Podbiegła do frontowych drzwi domu Blane'ów, rozwarła je i wpadła do środka, nie

dbając o to, kogo wystraszy, zaskoczy czy urazi. Hattie, Hal i Artie byli w pokoju. Mieli towarzystwo. Nie zwróciła uwagi na gości. Podeszła do Hala i z trudem łapiąc oddech stanęła przed nim.

– Zostaję tutaj – oświadczyła. – W Seaside. Pragnę pozostać z tobą bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Kocham cię, a to dla mnie najważniejsze.

Hal przez chwilę siedział w fotelu i gapił się na nią, potem wstał i wziął ją w objęcia. Jego ramiona były silne, zapewniały jej bezpieczeństwo.

– A więc wszystko w porządku! – powiedział i głos mu się załamał, jak podczas mowy nad trumną. Pocałował ją, a Dixie odpowiedziała mu z nieskrępowanym entuzjazmem, nie przejmując się tym, kto ją obserwuje i co sobie myśli.

– Dixie!

Brzmienie znajomego głosu dotarło do jej świadomości. Krzyknęła i wyzwoliła się z objęć Hala.

– Tatusiu! – Odwróciła się i zobaczyła swoich rodziców siedzących na kanapie Blane'ów.

– Co, u diabła... – I nagle olśniło ją. – Tatusiu, to ty jesteś tym wybitnym historykiem, który recenzuje rękopis Hala?

– Owszem! – przyznał Raymond Sheldon. Wstał i uśmiechnął się do zaskoczonej córki. – Sądziłem, że się już tego domyślasz. Któż inny w tym stanie mógłby to zrobić?

– Powinam wiedzieć! – Potrząsnęła głową próbując oswoić się z tym wszystkim, co się wokół niej działo.

Jej matka też się uśmiechała.

Ręka Hala spoczywała na jej ramionach, ciepła, pewna.

– Nie powiedziałem ci, kochanie, bo nie chciałem, żeby to miało wpływ na twoją decyzję o naszej przyszłości.

Podniosła na niego wzrok.

– Ja podjęłam decyzję wtedy, gdy Esther powiedziała mi, że jestem idiotką, jeśli myślę o opuszczeniu ciebie.

Hal nie bardzo rozumiał.

– Przysłała mi tego kruka. Pamiętasz go?

– W takim razie – oświadczył Hal Blane – chyba musimy zaprosić ptaszysko na wesele.

Tak też zrobili.

Ślub odbył się w Seaside kilka tygodni później. Wielu spośród uczestników pogrzebu Roberta wróciło na radosną ceremonię weselną.

Rodzice panny młodej, Raymond i Filomena, zmienili opinię o Halu o sto osiemdziesiąt stopni. Raymond oświadczył, że jest to naukowiec z urodzenia i zachęcał go do dalszego pisania po ukończeniu sagi o Kedricku. Filomena uspokoiła się usłyszawszy o tym, że Blane planuje wycofać się z policji i poświęcić się badaniom, pisaniu i rodzinie. Dochody z funduszu miały pomóc mu osiągnąć szereg celów, które postawił przed sobą, między innymi w zdobyciu wyższego wykształcenia oraz posłaniu Artiego za parę lat na uniwersytet.

Również marzenia Dixie nabierały kształtu. Instytut wyraził niezadowolenie z jej decyzji

o pozostaniu w Seaside, ale zgodził się regularnie publikować wyniki jej prac. Jak stwierdzili dyrektorzy instytutu, odkrycia, których dokonała podczas badań nad skarbnicą ziół pozostawionych przez Esther i notatki na temat ich właściwości, warte były złota równego skarbowi Kedricka i zapewniały jej czołową pozycję w dziedzinie medycyny naturalnej.

Hal przed ślubem dokonał interesującego wyznania. Znaleźli dla siebie kilka godzin w jej domu i usiedli przed kominkiem, żeby po prostu porozmawiać. – Gdybyś wyprowadziła się do Kalifornii, powędrowałbym za tobą.

Dixie zaniemówiła.

– Poważnie! Dużo się nad tym zastanawiałem, kochanie. Wiedziałem już, że nie mogę żyć bez ciebie, więc gdyby trzeba było wyrwać stąd rodzinę, zrobiłbym to.

– Ale nie powiedziałeś niczego, co pozwoliłoby mi sądzić...

– Nie chciałem w żaden sposób wpływać na twoją decyzję – uśmiechnął się. – Miałem nadzieję, że nie będę musiał się wyprowadzać. No i dzięki krukowi nie muszę.

Dziwne podejrzenie zaczęło kształtować się w jej umyśle.

– Kruki można wytresować, prawda? – spytała.

– Oczywiście, Jeśli masz dość cierpliwości, możesz wytresować każdego stwora.

– Hal! Ty chyba nie...

– Co nie? – Otoczył ją ramionami. – Myślisz, że namówiłem kruka, żeby pojawił się tamtego wieczoru u twoich drzwi?

– Zdarzały się już tutaj znacznie dziwniejsze rzeczy. Przyciągnął ją bliżej, ale nie pocałował. Utkwił wzrok w suficie.

– Masz rację. Pamiętasz tę chwilę, kiedy was znalazłem w jaskini, ciebie i Artiego?

– Byłeś gotów strzelać. Wiem o tym.

– Byłem gotów zabić. I wtedy usłyszałem Roberta. Naprawdę. Zabronił mi strzelać. Jakby tam był, aby mnie uchronić przed popełnieniem błędu, którego później tylko bym żałował. Nie przeżyłbym tego, że zastrzeliłem człowieka w obecności mego syna.

Dixie zadrżała, lecz nie z przerażenia. Słowa Hala głęboko ją poruszyły.

– Zmarli wolą nie pozostawiać nas samych – powiedziała i przytuliła się do swego mężczyzny. – I dzięki Bogu! – dodała.

– Esther posłała tego kruka, Dixie. Nie wątpię w to.

– Ja też nie.

– Jakie imię damy dziewczynce?

– Esther Blane? Nieźle! A pierworodnemu?

– Robert, oczywiście! Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Upierałabym się przy tym imieniu – powiedziała. Pocałował ją. I całował ją długo, bardzo długo...